

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

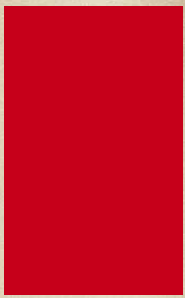
WOLNA
SOBOTA

- Czarnek, czyli niezbędnik Kaczyńskiego • Nobel dla Różewicza, czyli SB w akcji
- Patologia w sieci, czyli komu to się opłaca? • Czy cancel culture szkodzi akademikom?



WYSOKIE
OBCASY

**Oksana
Zabużko:**
ucieczka
z jedną walizką



GAZETA
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl

Magda Linette
Nigdy się nie poddałam

FOT. FOTO OLIMPIK/NURPHOTO / GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Trucizna
w pasztetowej**
– tajne zbrodnie
II Rzeczypospolitej



**Historia
walentynkowa,**
czyli wszystkie miłości
Wojniczów

**Ciągle rośnie liczba ofiar
wielkiego trzęsienia
ziemi w Turcji**
Raport ► **Wyborcza.pl**

Agnieszka
Kublik

Czy Świrski załatwi trzecią kadencję

W połowie stycznia Polsat złożył wniosek o przedłużenie koncesji na kolejne 10 lat. Taki wniosek musi wpłynąć do KRRiT co najmniej na rok przed wygaśnięciem koncesji. Polsatowi wygasa w marcu 2024 r. 2 lutego KRRiT przychyliła się do wniosku.

Na początku grudnia 2022 TVN złożył wniosek o przedłużenie koncesji na 10 lat. Koncesja kończy się w kwietniu 2024 r. To wróży problemy. W 2021 r. TVN 24 czekał na decyzję Rady aż 19 miesięcy. A tak się składa, że TVN ujawnia, nagłaśnia, analizuje skandale obecnej władzy. I że mamy rok wyborczy.

To reporterzy TVN 24 – wraz z posłankami PO Katarzyną Lubnauer i Krystyną Szumilas – ujawnili skandal z rozdaniem przez ministra Glińskiego 40 mln zł na siedziby w najlepszych lokalizacjach dla organizacji polityków PiS, urzędników państwowych, Kościoła i harcerstwa, choć nie spełniały kryteriów konkursu.

To TVN 24 ujawnił aferę z umową między Orlenem i Saudi Aramco. Światowy gigant pod koniec zeszłego roku stał się właścicielem 1/3 Rafinerii Gdańskiej. Po fuzji Orlenu i Lotosu Polska może utracić nad nią kontrolę.

To TVN 24 ujawnił w reportażu „Siła kłamstwa” błagę Macierewicza o współpracy z amerykańskimi ekspertami. W tzw. raporcie jego smoleńskiej podkomisji ukryto lub sfalszowano dane z amerykańskich badań, bo potwierdzały, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do katastrofy, a nie do zamachu.

Każdy z tych szwindli zatopiłby każdy rząd w demokratycznym państwie. Ale nie u nas. Nie u nas, bo media władzy – przez władze kontrolowane i opłacane – bronią PiS i atakują dziennikarzy ujawniających oszustwa władzy.

Ale przecież władza prezentowałaby się w sondażach jeszcze lepiej, gdyby nikt jej machlojek po prostu nie wyciągał. Czyli gdyby nie było TVN.

Maciej Świrski, szef nowej KRRiT, ma dwie cechy, które sprawiają, że jest idealny na to stanowisko: wierzy w Macierewicza i nie wierzy w TVN (nazywa ją na Twitterze „FakeNewsMedia”). A Macierewicz wręczył mu broń – skargę na „Siłę kłamstwa”. I może dojść do sytuacji, że konstytucyjny organ stojący na straży wolności słowa orzeknie, że w sprawie katastrofy smoleńskiej Macierewicz nie skłamał, a skłamał TVN 24. Czyli podejmie decyzję w sprawie, w której nie ma żadnych kompetencji – bo się Świrski na badaniu przyczyn katastrof lotniczych się nie zna.

Ale Świrski na to bimba. Ach, jakież to byłby prezent dla Kaczyńskiego – na starcie kampanii kara dla TVN i powód, by nie przedłużyć koncesji.

Czy Amerykanie zaprotestują? Zapewne, lecz siła rażenia TVN osłabnie. Chwilowo, akurat na czas kampanii, a to wystarczy, by namieszać wyborcom w głowach. Przy słabej i skłóconej opozycji to może dać trzecią kadencję. ●

Andrzej rysuje



Szwajcaria Sezon w pełni



Mężczyzna niesie narty podczas wschodu Księżyca nad alpejskim kurortem Gryon w Szwajcarii.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

WZPPU23

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 11.02.2023 r. do 12.02.2023 r.

Ceny szaleją



W sklepach dzieją się dziwne rzeczy. Mamy wyścig między sieciami na ceny masła, więc kostkę można upolować za 2,99 zł, a jednocześnie eggflację z rekordowymi cenami jajek i drożącym nabiałem

Więcej o drożyznie
► Wyborcza.biz

Powrót legendy Hotel Zacisze znowu otwarty

Po ponad 40 latach wróci Basil Fawlt, właściciel prowincjonalnego hotelu Zacisze. W głównej roli widzowie znów zobaczą Johna Cleese'a, który dla realizacji emitowanego w latach 1975-79 serialu porzucił grupę komików Monty Python.

„Hotel Zacisze” liczył zaledwie 12 odcinków i opowiadał o codzienności właściciela pensjonatu, który marzy o lepszej klienteli, hiszpańskiego kelnera traktuje z wyższością i panicznie boi się swojej żony. W każdym odcinku Cleese – także autor scenariusza – śmiał się jednak przede wszystkim z angielskiej klasy średniej. Jego inspirowany prawdziwym właścicielem hotelu w hrabstwie Devon (Cleese zatrzymał się tam wraz z pozostałymi członkami grupy Monty Python) Basil to mizantrop, snob i furiat. Cleese przedstawia go jako konserwatystę niechętnego zmianom, byłego wojskowego, który w jednym z odcinków mimochodem wspomina, że „zabił czterech ludzi”.

Fanami „Hotelu Zacisze” są m.in. Kate Bush i Martin Scorsese. Serial zdobył trzy statuetki BAFTA, trzykrotnie po swojemu próbowa-



li go też zrobić Amerykanie. Bez powodzenia.

W ostatnich latach 83-letni komik często wypowiada się na temat politycznej poprawności. Zaznacza, że nie do końca rozumie, „dlaczego młodzi chcą na nowo napisać zasady, co można mówić, a czego nie”. Dodaje, że sama idea, by wszyscy byli dla siebie mili, jest godna podziwu, w jakimś momencie zaczęła się jednak ocierać o absurd.

„Hotel Zacisze” z dzisiejszej perspektywy zdecydowanie może drażnić brakiem tej poprawności. Pozostaje pytanie, czy starszy o cztery dekady Basil Fawlt poszedł z duchem czasu, czy może Cleese każe mu się mierzyć się z nową rzeczywistością. W końcu idea, by być miłym dla kogokolwiek, zawsze była właścicielowi hotelu Zacisze zupełnie obca. ●

Marta Górna

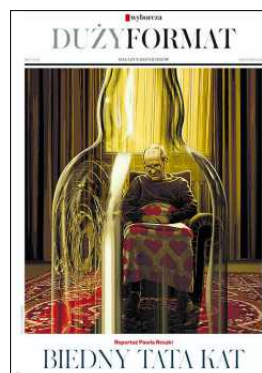
„Wyborcza” poleca

Duży Format

Biedny tata kat

Wolę myśleć, że mu wybaczyłam. Inaczej nie mogłabym go pielęgnować. On wyparł wszystko, jej podbite oczy, wykręcone ręce. Swoje życie widzi jako pasmo sukcesów.

Reportaż Pawła Reszki



Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Niedziela

Blisko w kinach

1 Na duży ekran wchodzi „Blisko” Lukasa Dhonta, film nagrodzony Grand Prix w Cannes. To subtelna opowieść o przyjaźni i dojrzewaniu i drugie dzieło 31-letniego, belgijskiego reżysera. Film będzie można od 11 lutego zobaczyć w wybranych kinach, oficjalna premiera 17 lutego.



FOT. KRIS DEWITTE / NOWE HORYZONTY, ED JACOB SOHN/AP, ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Poniedziałek

Supermeczek

2 Super Bowl, czyli finał rozgrywek futbolu amerykańskiego, to najpopularniejsza transmisja sportowa w USA. W 57. edycji zmierzą się Kansas City Chiefs z Philadelphia Eagles. Początek relacji w TVP Sport w nocy z 12 na 13 lutego o godzinie 0.30. Po raz pierwszy w historii naprzeciw siebie staną dwaj czarni rozgrywający – Patrick Mahomes oraz Jalen Hurts.



Czwartek

Tłusty dzień

3 Już wkrótce tłusty czwartek. Zbliżający się koniec karnawału będzie można uczcić pączkiem. Przypominamy, że pączek ma 200 kcal, ale już ten z nadzieniem i lukrem nawet 400. Osobom na diecie, zmagającym się zdrowotnie z nadwagą odradzamy, a wszystkim życzymy udanego końca karnawału



Cytat tygodnia



*Dzięki polityce
naszego rządu gospodarka
Polski wchodzi na poziom
najlepiej rozwiniętych
gospodarek europejskich*

MATEUSZ MORAWIECKI
premier, wPolityce.pl

Do przyjaciół rusofobów

Moi Rosjanie zaczęli terapię

Czują, że ich kraj pozbawiono nie tyle zachodnich marek, ile przyszłości

Bielaszyn



Rosjanie żyją po drugiej stronie lustra. Rosja, jak magiczna kraina Lewisa Carrolla, stała się miejscem, w którym rzeczywistość została sprowadzona do absurdu, czas płynie inaczej, przeszłość stała się jednocześnie teraźniejszością i przyszłością, a ludzie, zdaniem postronnych obserwatorów, zdają się przejawiać same negatywne cechy.

W Rosji, choć wielu nie chce tego przyznać, od blisko roku trwa luty. Najzimniejszy od lat. I potrwa pewnie jeszcze długo, choć zmieniające się za oknem pory roku będą usiłowały stworzyć pozory, że jest inaczej. Niektórzy wierzą, że wyciągnąć Rosję zza lustra można będzie dopiero wtedy, kiedy jej mieszkańcy dorosną, czyli zrozumieją i pogodzą się ze świadomością, że uosabiana przez państwo Ojczyzna-matka nie tylko ich nie kocha, ale też nie jest nieomylna czy z gruntu dobra; narzucane przez nią przez lata wartości wymagają weryfikacji, a oparta na strachu toksyczna relacja – pracowania.

Część już rozpoczęła tę metaforyczną terapię, której celem jest odpowiedzenie sobie na pytanie, czym tak właściwie jest Rosja? Czym jest naród? Kim są tzw. nasi. A „my”? Słyszę te rozmowy, prowadzone w kręgach bliskich mi Rosjan, nieustannie. Pytań wciąż jednak jest więcej niż odpowiedzi.

Sama zadaję je sobie niemal codziennie. W niektóre dni ze szczególnym namysłem. Na przykład w ten, kiedy mi-

jający mnie w metrze mężczyzna, słysząc, że rozmawiam po rosyjsku, nazwał mnie „ruską kurwą”. Albo w ten, kiedy w reakcji na jeden z moich artykułów część czytelników postanowiła zwrócić uwagę na moją „ruską urodę”, wyraźnie traktując to jako obelgę. Czy w ten, kiedy jeden z kolegów, niegdyś sympatyzujący z Rosją i Rosjanami, dobitnie podkreślił w mojej obecności, że po tym, co widział w Ukrainie, już „nigdy nie będzie uważał Rosjan za braci”.

W tym ostatnim przypadku po pierwszym oburzeniu łapię się na tym, że trudno im się dziwić. Trudno widzieć braci w narodzie, którego przedstawiciele przynieśli pod ukraińskie dachy zniszczenie, ból i śmierć.

Zastanawiam się nad moją rosyjskością, podobnie jak większość bliskich mi Rosjan. Przez te miesiące od wielu zdarzyło mi się usłyszeć, że jeśli nawet nie wstydzą się dzisiaj nimi być, to przynajmniej czują się ludźmi gorszej kategorii, mającymi mniej praw ze względu na swój paszport. Niezależnie od tego, jakie mają poglądy, doświadczenie, przeszłość. „Uczę się języka na płatnym kursie, ale mojej grupie zupełnie nie zależy, wyśmiewają moje pytania o niuansy gramatyczne. W innych warunkach zareagowałabym, ale teraz? Przecież jestem Rosjanką, nie mogę”, opowiadała mi niedawno znajoma, prześladowana w kraju za antywojenną postawę działaczka, która emigrowała.

Mnie uczucie wstydu z powodu pochodzenia jest obce. Być Rosjaninem czy Rosjanką, mieć rosyjskie pochodzenie, rosyjską krew nie oznacza, że popiera się wojnę. Nie oznacza też, że popiera się Putina ani że ma się w sobie imperium, ukształtowane przez cudze, odgórnie narzucone całemu państwu ambicje.

Nawet jeśli otwarcie się nie protestuje. Nawet jeśli się milczy.

Na lekcjach biologii poświęconych genetyce wszyscy uczyliśmy się m.in. o zmienności dziedzicznej i środowiskowej oraz warunkach ewolucji. Milczenie Rosjan, ich pasywność, brak solidarnego, silnego i wyraźnego ruchu oporu wobec wojny nie jest czymś, co można pochwalić. Ale, zważywszy na powszechną świadomość charakteru putinowskiego systemu, określanego dzisiaj przez ekspertów jako reżim autokratyczno-totalitarny, to coś, co powinno się móc zrozumieć. Milczenie, zaszywanie się w mysiej dziurze, udawanie, że wojna cię nie dotyczy, to adaptacja, naturalna reakcja. Jak głosi definicja, adaptacja polega na „przystosowaniu się organizmu poprzez zmianę struktury lub funkcji do życia w nowych dla niego, trwale zmienionych warunkach bytowych lub zewnętrznego stresu”.

Trudno o bardziej precyzyjny opis procesu, jakiemu poddani są Rosjanie. Ci, którzy mieli możliwość wyemigrować, ale z różnych powodów pozostali w kraju, nie stosując przy tym mechanizmu wyparcia, mówią najczęściej, że ich horyzont planowania zawężał się do kilku dni.

Ci, którzy nie popierają wojny i nie mają w sobie nic z wyobrażanych sobie przez nas krwiożerczych orków, ale

Kim są „nasi”? Czasami zadaję sobie te pytania ze szczególnym namysłem. Kiedy mężczyzna w metrze, słysząc, że rozmawiam po rosyjsku, nazwał mnie „ruską kurwą”. Albo kiedy część czytelników zwróciła uwagę na moją „ruską urodę”

którzy nie są jednocześnie w stanie, nawet przed samymi sobą, przyznać, co w ich imieniu dzieje się w Ukrainie i jaka przyszłość czeka Rosję, cierpią na syndrom sztokholmski, który psychologowie opisują jako stan psychiczny, który pojawia się, gdy ofiara przemocy identyfikuje się ze swoim oprawcą i łączy się z nim emocjonalnie.

Czuając, choćby podświadomie, że Rosję pozbawiono nie tyle zachodnich marek, ile przyszłości, mówią: „jakoś to będzie”, „nasi przodkowie nie z takimi problemami dawali sobie radę”, „trzeba być patriotą swojej ojczyzny”. I chociaż w dobie inwazji te słowa brzmią strasznie, to bez nich wytłumaczenie sobie i usprawiedliwienie tego, co się dzieje, byłoby niemożliwe.

Bycie „patriotą ojczyzny” od wieków równoznaczne jest w Rosji z bezkrytycznym podporządkowaniem się władzy; cierpieniem – dla niej i przez nią, traceniem i wyrzekaniem się wszystkiego, co ważne. „Z szacunku i miłości dla ojczyzny”, jak mówią na Kremlu, dając do zrozumienia, że życie Rosjan znaczy cokolwiek tylko wtedy, jeśli są w stanie je oddać.

„W Niemczech ludzie wiedzieli. I w Rosji też wiedzą. Pytanie tylko, jak się przyznać do tego przed samym sobą. Co dalej? Co z tą wiedzą zrobić? Jak z nią żyć?”, pyta mnie wybitny rosyjski socjolog Grigorij Judin. Nie znam odpowiedzi, ale chwytam się tej myśli.

Czym jest dla mnie Rosja, skoro wszystko, czym miała się stać w marzeniach tłamszonych opozycjonistów, zostało rozgromione? Czym będzie, jeśli wszyscy stojący po stronie światła mówią o konieczności stworzenia nowej definicji? Czego można się w tej rozpadającej konstrukcji rodzinnego domu uchwycić? Co czystego można zabrać z zakrwawionych gruzów, by zbudować nowe? ● **Wiktoria Bielaszyn**

FOT. MONIKA PIECHA

Mierzyła mnie wzrokiem z wyższością,
ale po tym doświadczeniu
na każdy kolejny kort
wychodziłam z łatwością

Z **MAGDĄ LINETTE**, TENISISTKĄ,
PÓŁFINALISTKĄ AUSTRALIAN OPEN,
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Ile raket pani złamała, ciskając je o kort?

– Może 15? Umiem też rzucić tak, by jej nie złamać.

Po co?

– Żeby wylądować złość. Nie jestem z tego dumna.

Pomaga?

– Moi trenerzy pokazali mi materiały wideo, z których wynika, że są zawodnicy, jak Andy Murray czy John McEnroe, którzy rzucali rakietą i bez problemu grali kolejny punkt. Im wylądowanie złości pomagało. Mnie nie pomaga w zdobyciu kolejnych trzech, a nawet czterech punktów. Muszę się kontrolować.

W meczu z Sereną Williams w 2018 r. obeszło się bez rzucania, mimo że to spotkanie było jednym z najtrudniejszych przeżyć w pani życiu. I nie dlatego, że nie zmrużyła pani przed nim oka przez całą noc.

– Czułam się wtedy mała.

Dlaczego?

– Proszę sobie wyobrazić, że wychodzę na największy kort tenisowy na świecie, w telewizyjnym prime timie, bo to był mecz dnia otwierający US Open, a na trybunach siedzą gwiazdy, które do tej pory oglądałam tylko w telewizji. W dodatku mam wyjść przeciwko najlepszej tenisistce w historii i zrobić wszystko, by się nie ośmieszyć. Z jednej strony przeżyć takie spotkanie to niespotykana okazja, ale z drugiej – to trudne. Do dziś nie umiem tego opisać słowami. Wtedy jeszcze przyćmiewał je krzyk 23 tys. osób, które jak jeden mąż były przeciwko mnie. Nikt przecież nie chciał, by jakaś no-name wygrała z Sereną, w Nowym Jorku w dodatku. Pytałam wiele osób, jak mam się psychicznie odizolować od tego, co mnie czeka.

To w ogóle było możliwe?

– Kiedy w 2019 r. grałam w pierwszej rundzie Rolanda Garrosa z Francuzką Chloé Paquet, to wtedy też trybuny były przeciwko mnie. Jednak pokonałam ich presję i wygrałam. Ale ten wrzask w Nowym Jorku był nie do opisania. Wychodziłam na kort, kiedy ona udzielała przedmeczowej wypowiedzi transmitowanej na telebimie, i nie jesteście sobie w stanie wyobrazić ryku, jaki się wtedy rozległ. Serena nigdy nie przegrała pierwszych dwóch rund na US Open. Nigdy. A zaczynała jako niespełna 17-latką i wystąpiła w tym turnieju ponad 20 razy. W zeszłym roku nawet wiceliderka rankingu Anett Kontaveit nie



DROBNY BŁĄD,
IPO
TOBIE

potrafiła sobie z tą presją publiczności poradzić. Ja powiedziałam sobie, że ani razu na nią nie spojrzę, żeby się nie dekoncentrować, bo Serena mierzy cię wzrokiem z wyższością, a wtedy czujesz się zupełnie nie na miejscu. Ale za to po tym doświadczeniu na każdy kolejny kort wychodziłam z łatwością.

W Nowym Jorku zaczęło się nieźle.
– Zagrałam pierwszego seta w porządku, na w miarę fajnym poziomie, ale totalnie zdekoncentrowałam się w czasie przerwy. Powtarzałam sobie: nie podnoś wzroku, nie patrz w telebim, nie interesuj się, kto siedzi na trybunie, ale kiedy na stadionie włączyli piosenkę z musicalu „Król rywki”, którą znam, i wszyscy zaczęli wiatować, podniosłam wzrok i zobaczyłam na telebimie Hugh Jackmana, Anne Wintour, Werę Wang i od tego momentu nie wygrałam gema.

Zdekoncentrował panią aktor i reaktor ki mody?
– Tak. A wystarczy, że Serena dostrzeże w tobie ułamek słabości czy drobny błąd, i już po tobie.

Poczucie wyższości w sporcie jest normą czy wypadkiem przy pracy?
– Sport to jest w cudzysłowie walka na śmierć i życie. I trzeba to zaakceptować. Przeszywający wzrok też jest sposobem na wykończenie przeciwnika. Marija Szarapowa również wzbudzała w przeciwnikach poczucie, że nic nie znaczą. Trzeba wypracować w sobie stan, by takie zachowanie tylko cię motywowało.

Kiedy pani przestała czuć się nic nieznacząca?
– Tak naprawdę dopiero teraz, na Australian Open. Rozgrzewając się przed meczem, czułam się spokojna. Okej – wiem, co tutaj robię, to jest moje miejsce, w którym być powinnam. I to było fajne. Pierwszy raz, grając na takich dużych kortach, czułam się komfortowo.

I dlatego poszło pani tak spektakularnie? To był pani 30. występ wielkoszlemowy. W poprzednich nie przeszła pani przez III rundę, a tym razem zagrała w półfinale.
– Zdobywałam doświadczenia przez lata, każdy mecz na dużym korcie i każda sytuacja newralgiczna, gdy losy zwycięstwa się ważą, były ogromną lekcją. Odebrałam ich niemało. I w Melbourne miałam je w głowie.

Co jeszcze się zmieniło, zanim weszła pani na tamte korty?
– Moje podejście do błędów, w czym bardzo pomógł mi trener Iain Hughes. Zaczęliśmy współpracować w ubiegłym roku. Ten szkoleniowiec, który pracował m.in. z Andym Murrayem, nauczył mnie, by w czasie meczów podchodzić do nich jak najspokojniej. Kiedyś, popełniając błąd, czułam, że nie jestem wystarczająco dobra, i myślenie o tym bardzo mnie dekoncentrowało. Teraz skupiam się na tym, by nie przejmować się błędem, tylko skoncentrować na jego poprawieniu i niepopelnieniu kolejnego. Zmieniliśmy też „objętość” treningów na mniejszą, co dało mi świeżość na korcie. Staram się pracować mądrzej, czyli bardziej jakościowo, a nie ilościowo.

Jedną z odrobionych lekcji jest i ta, że zawsze można odwrócić wynik. Dość wspomnieć rok 2016 i siedmiokrotnie przerywany mecz, który pani przegrywała. Co wtedy kliknęło?
– Po pierwsze, zostałyśmy przeniesione do hali, co moją przeciwniczkę zdekoncentrowało. Po drugie, mój ówczesny trener tak mnie zbeształ, że przede wszystkim byłam na niego wściekła i przestałam przejmować się wynikiem. Było mi wszystko jedno. Zaczęłam wracać gem po gemie, ona zaczęła odczuwać presję, a mnie wciąż było wszystko jedno, bo byłam zła. I udało mi

się odwrócić nie tylko ten mecz, ale też cały turniej i ranking, dzięki czemu awansowałam na 109. miejsce i prawie byłam w stanie dostać się do turnieju głównego bez przechodzenia przez eliminacje.

Mówi pani o spokoju i pewności siebie, jakby rzeczywiście w tenisie głowa decydowała o przebiegu meczu. A przecież znacznie częściej uderzała pani bek-hendem wzdłuż linii, co jest zagranieciem bardziej ryzykownym niż bekhend po przekątnej kortu. Bo linia boczna jest znacznie krótsza niż przekątna.
– Rzeczywiście bardzo mocno pracowaliśmy nad tym z moim obecnym trenerem Markiem Gellardem, by we właściwych momentach uderzać częściej wzdłuż linii. I sporo pracowaliśmy nad returnem. Ale jednak o rzeczach, o które pytacie, mniej się mówi. Rywalki słuchają.

Czy po kontuzji kolana z 2021 r. i po operacji zmieniała pani styl gry?
– Zmieniłam sposób trenowania, a nie styl. Nie mogę biegać długich dystansów, muszę pilnować „obudowy” kolana, żeby mięśnie odpowiednio trzymały, ponieważ brakuje mi części łąkotki.

„35 to nowe 25” – odpowiedział na pytanie o swój wiek zwycięzca Australian Open Novak Djoković. Czy panią denerwują podobne pytania i opinie, że 30 lat to niemało jak na pierwszy półfinał Szlema.
– Bardziej frustrowały mnie komentarze, kiedy w wieku 23 lat słyszałam, że jestem już za stara na pierwszy finał WTA. Mój sukces na Australian Open może być fajną motywacją dla innych, bo oto może go osiągnąć zwyczajna zawodniczka. Bez niesamowitych nakładów środków finansowych i bez niesamowitej historii z lat nastoletnich czy trochę późniejszych. A takie właśnie historie – młoda tenisistka plus jej wielki sukces – promują media. Jakby to był wzorzec kariery, który dowodzi, że mamy do czynienia z wielką gwiazdą. To deprymujące, że opowiada się tylko jeden typ historii, bo w ten sposób podcina się skrzydła młodszym tenisistkom, które sądzą, że „muszą szybko zacząć wygrywać”, i tym, które walczą przez dłuższy czas o przełom w karierze. A te inne historie to przeważająca część sportu.

Rozkminiany bywa nie tylko pani wiek, ale też to, czy ma pani talent. Mimo że była pani 20. juniorką świata i mistrzynią Europy w deblu do lat 16. Pani mama ucięła takie rozważania krótko: „Magda ma talent do pracy”. Zastanawiała się pani, skąd się bierze przekonanie o wyższości talentu nad pracowitością?
– Bardzo mnie denerwuje, gdy ktoś mówi, że nie jestem utalentowana, tylko pracowita. Tym bardziej że tak nie uważam. Czasami mam wrażenie, że moja pracowitość czyni mnie zawodniczką drugiego sortu. Ale jak już mówiłam, ludzie lubią ładne historie. Uwielbiamy bajki, których bohaterowie bywają obdarzeni wyjątkowymi zdolnościami, bo to daje i nam nadzieję na jakąś odmianę losu. Ciężka praca już się tak nie sprzedaje. Nie jest niezwykłą bajką, tylko opowieścią o życiu, z którym borykamy się na co dzień.

W 2021 r. weszła pani do Rady Zawodniczek WTA, która dba o poprawę sytuacji tenisistek. I po sukcesie w Australian Open powiedziała pani, że zaangażowanie się w tę pracę poprawiło pani grę na korcie. Dlaczego?
– W Radzie Zawodniczek WTA muszę co rusz wychodzić poza swoją strefę komfortu. Nie tylko wypowiadać się głośno w grodzie szefów turniejów, władz WTA czy zawodniczek z bardzo silną pozycją w świecie tenisa, ale też czasami polemizować z nimi.

Co przełożyło się na wzrost pani pewności siebie?

– Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, że ta działalność może mieć taki skutek. Zaangażowałam się, bo, po pierwsze, uważałam, że mogę komuś pomóc. Opiekuję się zawodniczkami z miejsc 51-100, znam ich bolączki, bo długo byłam w tej grupie. Po drugie, myślę już trochę o życiu po zejściu z kortu i uznałam, że to doświadczenie może mi pomóc w późniejszej działalności. Traktuję je jak społeczny staż, tym bardziej że nigdy wcześniej nigdzie nie pracowałam.

Zajmują panią, jak słyszymy, zarobki koleżanek. Czy dlatego, że zarabiacie mniej od mężczyzn?
– Rozmawiamy o tym, by tak zwana prize money, czyli pula nagród przeznaczona na dany turniej, rosła procentowo szybciej od początku turnieju. To znaczy, żeby lepiej zarabiały te tenisistki, które odpadają z rozgrywek np. w II rundzie. Naszym zdaniem to jest ważniejsze niż podwyższenie kwoty wygranej za cały turniej. Dzięki temu zapewnimy pracę większej liczbie ludzi, co jest istotniejsze niż wysokość na-

Dziewczyny, które wygrywały Wielkie Szlemy, zgodziły się, że nie robi im istotnej różnicy, jeśli zarobią mniej

grody za zwycięstwo, którą dostaje przecież tylko jedna osoba. Dziewczyny, które wygrywały Wielkie Szlemy, zgodziły się, że nie robi im aż tak istotnej różnicy, jeśli zarobią za triumf wielkoszlemowy, dajmy na to, 3 mln 200 tys. dolarów zamiast 3 mln 400 tys., ale już dziewczynom, które odpadają w pierwszej rundzie, robi różnicę, czy dostaną 50 tys., czy 40. Bo jeśli zarobią więcej, będą mogły na przykład zabrać trenera na kolejne turnieje. Te pieniądze na dole są bardziej potrzebne niż na górze.

Czyli jesteście solidarne?
– Staramy się.

Wchodząc do Rady Zawodniczek, chciała pani polepszyć komunikację między nimi. Macie się zakoleżankować?
– Kiedy wchodziłam do rankingu, słyszałam od dziewczyn, że WTA nie interesuje się ich opiniami na temat dystrybucji prize money, rodzaju pilek, jakich używamy, czy wreszcie zasad obowiązujących w turniejach. Pomyślałam: „Okej, spróbuję zrobić coś, byście miały przynajmniej poczucie, że ktoś was pyta o zdanie”. Napisałam do dziewczyn list. Zaproponowałam zorganizowanie czatu i udostępnienie materiałów, nad którymi pracowaliśmy w radzie, a one miały wyrazić swoje zdanie na ich temat. Proponowałam też przygotowanie ankiety, w której mogłyby się wypowiedzieć na temat WTA i organizacji turniejów. I na 50 maili, które wysłałam, dostałam tylko cztery odpowiedzi. Nie poddałam się. Podchodziłam do dziewczyn na turniejach, wysyłałam do nich prywatne wiadomości na WhatsAppie i prosiłam, by przeczytały mój list i dały znać, co uważa-

ją, ponieważ nie jeden, nie drugi i nie trzeci raz słyszałam, jak to nikt się nie interesuje naszą opinią.

I?
– Odpowiedziały mi kolejne trzy dziewczyny.

W sumie siedem na 50?
– Tak. Byłam bardzo zawiedziona.

Skoro tenis jest tak bardzo indywidualnym sportem, to według nich tworzenie społeczności wokół jakiejś sprawy nie ma sensu?
– Ale musi mieć sens. To są nasze wspólne sprawy. Tym bardziej że żadna z tych dziewczyn nie może pójść do szefów WTA i powiedzieć im, co jej przeszkadza, bo nie oni mają dla niej respektu, gdyż nie osiągnęła jeszcze w tenisie wystarczająco dużo. Dlatego siłą każdej z nich może być tylko wspólne działanie, wspólne postulaty.

A jeśli nie wierzą w idee wspólnoty?
– Można w nią nie wierzyć, ale jeśli inna kobieta prosi je o opinie, które im nawet nie zaszkodzą, bo przecież ja je wezmę na siebie, to chyba można odpowiedzieć? Trzeba się trochę poświęcić i działać dla całej grupy, a nie myśleć tylko o sobie. Nie jestem osobą, która publicznie wyklóca się o swoje racje. Raczej siedzę z boku i merytorycznie analizuję problemy. Wiktoria Azarenka na przykład jest bardzo dobra w wyklócaniu się o nasze sprawy.

Jak pani nauczyła się przełamywać nieśmiałość i działać?
– Pomogły mi studia w Stanach, ponieważ wymuszają aktywne relacje między studentami, a nigdy nie doświadczyłam w polskiej szkole burzy mózgów. Zanim się urodziłam, moi rodzice stwierdzili, że na pewno spróbują nauczyć mnie gry w tenisa, i jak głosi rodzinna legenda, w wieku trzech lat błagałam tatę na kortach poznańskiej Olimpii o rakiętę. Mówiłam mu, że wprawdzie nie będę plakała, ale błagam go, by mi ją kupił. I wymiękł. Zapytał mamę, czy ma pieniądze, i właściwie to od niej dostałam tę pierwszą rakiętę w życiu.

Często dzieci realizują marzenia rodzica, prawda? Kiedy marzenie taty stało się pani marzeniem?
– Mój tato grał w tenisa, i to naturalne, że chciał, by jego córki też spróbowały. A kiedy już spróbowałam, mieliśmy to samo marzenie. Chociaż wydaje mi się, że jednak zaszłam dalej, niż marzył. Budził mnie w nocy na finały Australian Open czy US Open. Uwielbiałam ten nasz czas razem. Rolanda Garrosa też zawsze oglądaliśmy. Zaraził swoją miłością moją mamę, która teraz ogląda więcej tenisa niż ja.

Serena i Venus Williams wspominają, że ojciec kazał im biegać po korcie usłanym szkłem z porozbijanych butelek po to, by nauczyć je uważności. Albo grać piłką nasiąkniętą wodą, co z kolei miało je rozwinąć siłowo. Czy pani tato też był takim terrorystą?
– Nie. Ale różnica jest też taka, że w przeciwieństwie do ojca siostr Williams mój jest trenerem, więc zna się na rzeczy. Bardzo szybko zdał sobie sprawę, że uczenie własnych dzieci nie jest najlepszym pomysłem, zaciera się wtedy rola między ojcem a trenerem.

Z kolei tata pani idolki, Moniki Seles, rysował na tenisowych piłkach Jerry’ego, czyli mysz ze słynnej kreskówki. Monika natomiast udawała, że jest Tomem, czyli kotem, który musi ją dorwać za pomocą rakiety. Czy pani tata też dostosowywał motywowanie do pani wieku? Trudno z trzylatką rozmawiać o Wielkim Szlemie.
– Bardziej mnie stopował, niż motywował, bo wiedział, że nie mogę zacząć grać za szybko, by się nie wypalić. I przez pierwsze trzy lata organizował mi w domu trenin-

gi koordynacyjne. Dopiero w wieku sześciu lat poszłam na trening na kortach.

Gdzie w tej historii o rozwijaniu pasji jest miejsce pani mamy?

– Finansowała bardzo dużą część mego tenisa. Mieszkałam z nią po rozwodzie rodziców. Gotowała obiady, pomagała mi z lekcjami i robiła to wszystko, co robią inne mamy w domu. I wspiera mnie do dziś. Ogląda każdy mój mecz. Zaadoptowałyśmy razem psa, którym zajmuje się głównie ona. I kupiła mi pierwszą rakietę.

Co pani ma z niej?

– Chciałabym mieć więcej. Ma niebywałą siłę przekonywania i potrafi wszystko załatwić, czego ja nie umiem. Mam na pewno jej upór. Ale ona jest dużo pozytywniej nastawiona do świata niż ja. Pomaga wielu osobom i tej empatii staram się od niej uczyć. Wspólnie wspieramy Drużynę Szpiku, ale ona dodatkowo chodzi na oddział onkologii, by pomagać rodzinom w radzeniu sobie z chorobą nowotworową ich bliskich. Drużyna Szpiku to grupa, która stara się zmienić świadomość ludzi na temat przeszczepów. Zbieramy pieniądze, prowadzimy akcje edukacyjne. Kiedy skończę karierę, na pewno wpiszę się na grupę dawców. Teraz to niemożliwe, bo trzeba się trochę naładować hormonalnie, czego nie mogę zrobić, bo zostałoby to uznane za doping. Ale mam nadzieję, że uda mi się komuś pomóc.

Dlaczego to jest ważne?

– Bo kiedy potrzebujemy pomocy, też ją dostajemy. Zaznałam jej bardzo dużo, i to w krytycznych momentach. Kiedy myślałam, że to już koniec, zawsze znalazł się ktoś, kto mi pomógł i się ze mną podzielił. Jeżeli się dostaje, to trzeba oddawać.

Pani tato powiedział, że wejście do pierwszej setki rankingu WTA to wydane miliony złotych. Rodzice grających w tenisa dzieci sprzedają domy, mieszkania, zadłużają się, byle dziecko mogło kontynuować karierę.

– Moi nigdy nie zastawiliby mieszkania, raczej szukali pomocy u innych. Kiedy miałam 15 lat, zjawili się osoby, które pomogły mi kontynuować treningi i wyjazdy na turnieje. Gdyby nie one, musiałabym skończyć z tenisem. Do 14. roku życia udział w turniejach opłacał związek.

Miała pani w pamięci te wszystkie wyrzeczenia rodziny, gdy wchodziła pani na kort. Czula pani obciążenie, że tym bardziej nie może ich zawieść?

– Miałam, ale z ich strony nigdy tego nie odczułam. Cały czas miałam ich wsparcie. Właściwie myślałam, że tym bardziej musi mi się udać, bo przecież nie staram się ze względu tylko na siebie. Mój dziadek Roman niestety nie dożył mojego półfinału w Australian Open. Byłby szczęśliwy. To on odbierał mnie ze szkoły, zawoził na treningi, przywoził jedzenie, odwoził do domu...

...i to właśnie jemu nigdy nie powiedziała pani, że go kocha, co uważa pani za błąd nie do naprawienia?

– Niestety. Ale naprawiam ten błąd i mówię o swoich emocjach ludziom, których kocham.

Są tacy, którzy nie mówią o swoich uczuciach, „bo przecież to wiadomo”.

– Nie. „Wiadomo” a wypowiedzieć to dwie różne rzeczy.

Możliwe, że wchodzimy na śliski grunt, drażąc temat miłości. Bo tenis jest samotniczy, więc jeśli partner, to ewentualnie z branży, co jednak może nie służyć relacjom. Przywołała dziś pani swoją wściekłość na trenera Izo Zunicia.

– Nie byliśmy jeszcze wtedy z Izo parą, podobnie jak już nie jesteśmy nią dzisiaj. Ale rzeczywiście trudna jest miłość w naszej branży, dla kobiet szczególnie. Z mężczyznami grającymi w tenisa podróżując

partnerki, wiem, bo widzę te modelki na każdym turnieju. A nie każdy mężczyzna zostawi swoją pracę i będzie podróżował, bo chce mieć swoje życie. Nie każdy rzuci wszystko, by 50 tygodni w roku podró-

Żadna z dziewczyn nie może pójść do szefów WTA, bo oni nie mają dla nich respektu. Siłą jest wspólne działanie

żować ze swoją kobietą po świecie i oglądać, jak ona gra w tenisa. Ale zdarzają się też piękne historie, jak Tatjana Marii, która przyjeżdża na zawody ze swoją rodziną.

Była sensacją ubiegłorocznego Wimbledonu, gdzie rok po urodzeniu drugiej córki zagrała o finał. W wieku 35 lat, co jest o tyle istotne, że tylko pięć tenisistek zdołało awansować do półfinału wielkoszlemowego turnieju po 34. urodzinach: Martina Navrátilová, Billie Jean King, Chris Evert i siostry Williams, które swoją drogą urządziły baby shower z okazji urodzin drugiej córeczki Marii. – Ta starsza dziewczynka już gra w tenisa. Widzę, jak wieczorami codziennie odrabia z mamą lekcję, która opowiada, że zmusić ją do matematyki jest dużo bardziej męczące niż jakikolwiek trening. Są fantastyczną, ciepłą rodziną, najszcześliwszą, jaką kiedykolwiek widziałam. Ale nie jest to mój plan na życie. Chciałabym najpierw spełnić się w tenisie i dopiero potem zakładać rodzinę, bo nie będę mieć w planach powrotów na kort. Chcę, by moje dzieci miały jedno miejsce, gdzie mają swoich znajomych, szkołę i w miarę możliwości normalność. Nie chciałabym z nimi podróżować, takie życie byłoby dla mnie za trudne. Ale najpierw muszę spotkać kogoś, z kim w ogóle będę rozważać takie czy inne życiowe możliwości.

Sądzi pani, że kariery tenisowe będą dłuższe? Czy postęp medyczny, rosnąca wiedza o treningu i regeneracji, nowa fizjoterapia wygrają z coraz szybszym, silniejszym i coraz bardziej fizycznym, a więc bardziej obciążającym organizm zawodniczek tenisem?

– Wiedza wygrywa. I dobrze, że coraz więcej tenisistek osiąga sukces w nieco późniejszym wieku. Bo są na ten sukces gotowe mentalnie. Dzisiaj, w dobie mediów społecznościowych, wielkie zwycięstwo może być dla nastolatki ogromnym ciężarem.

Powszechniejsza niż kiedyś obecność w tenisie silniejszych dziewczyn z potężnym serwisem wynika z coraz większej wiedzy na temat funkcjonowania ciała sportowca. Tenisistki są silniejsze w wyniku treningów na siłowni, a te w dużej mierze służą poprawie sprawności i wzmocnieniu mięśni, dzięki którym mamy szan-

se ominąć kontuzje. Nie trenujemy po to, by być silniejsze, tylko dlatego, żeby uniknąć kontuzji. I siła przychodzi niejako przy okazji.

Nie obawia się pani, że w konsekwencji tego fizycznego przygotowania zawodniczek będziemy oglądać coraz mniej przełamań w tenisie? Serwowanie będzie po prostu coraz lepsze.

– Nie mam takich obaw, zawsze znajdą się tenisistki ze sposobem na wygrywanie z tymi silniejszymi. Faktem jest jednak, że bez odpowiedniego przygotowania fizycznego o sukces będzie bardzo trudno.

Jak pani wykorzystuje w praktyce najnowszą wiedzę na temat regeneracji organizmu, sposobów na unikanie kontuzji czy odpowiedniego przygotowania do meczu?

– W dniu meczu spędzam godzinę na siłowni, to rozgrzewka. Kolejne pół godziny na korcie. Potem tejpowanie, czyli bandażowanie, opaski uciskowe i tym podobne, następnie fizjoterapia i jakiś posiłek zgodny z rozpisaną dietą. A po meczu rozruch, rozciąganie i kąpiel w wannie z lodem jako regeneracja. I czasem jeszcze spotkanie z lekarzem, jeśli podczas meczu przydarzył się jakiś uraz.

Powiada pani, że uprawia najpiękniejszy zawód świata. Co w nim pięknego?

– Tenis nie tylko pozwala spełniać mi marzenia, ale też zmienił życie moje i bliskich mi ludzi. Wspominałam, że nie pochodzę z bardzo mądrej rodziny, mama jest nauczycielką, ale dzięki tenisowi każdego z nas stać na dużo lepsze życie. Bardzo się cieszę, że mogę ich wesprzeć i choćby taką namiastką odwdziżyć się im za ich poświęcenie. To fantastyczne, że kobiety mogą zarabiać tak fajne pieniądze, chociaż niestety nie w każdej dyscyplinie sportu.

Ale i tak zarabiacie mniej niż mężczyźni.

– Na turnieju Wielkiego Szlema zarabiamy tak samo. Na turniejach ATP i WTA rzeczywiście te prize money są dla kobiet w większości mniejsze, ale pracujemy nad nowymi rozwiązaniami i jestem dobrej myśli.

Co pani zdaniem kobiety wniosły w ostatnich latach do tenisa? Nie mam tylko na myśli wpisywania przy nazwisku Tatjana Marii informacji, że jest matką dwójki dzieci. Zawodniczki mó-

Nie pochodzę z mądrej rodziny, ale dzięki tenisowi każdego z nas stać na dużo lepsze życie

wią, że przegrały mecz, bo miały bolesny PMS, dają sobie prawo do rozplakania się na konferencji prasowej albo otwarcie przyznają, że źle znoszą publiczne wystąpienia na tych konferencjach.

– Wniosłyśmy normalność. Jako małe dziewczynki mamy przyzwolenie na dużo

więcej niż chłopcy. Możemy i płakać, i okazywać słabość, a oni od małego słyszą: bądź silny, bądź twardy. Więc pokazujemy, że słabości są częścią naszego życia, a bycie sportowcami nie czyni z nas superbohaterów. Jest wreszcie przyzwolenie na to, by przestać odgrywać taką rolę. Mam nadzieję, że dzięki kobietom mężczyźni zrozumieją, że okazywanie uczuć nie jest naganne, co zresztą bardzo by im pomogło zdrowotnie.

Jaki ma pani teraz cel?

– Nie chcę i nie lubię wyznaczać sobie celów opartych na wynikach rankingowych, bo są trudne do osiągnięcia i tak łatwo się zawieść. Ja chcę być po prostu zdrowa – to jedyna rzecz, którą mogę skontrolować. Jeżeli uda mi się być zdrową, to wiem, że jakość mojej gry pozwoli mi piąć się w górę. A mówiąc dokładniej, być lepszą każdego dnia.

Czy kiedykolwiek sobie pani odpuszcza?

– Na korcie nigdy.

A kort jest tożsamy z życiem?

– Gdyby ktoś prosił mnie o radę, powiedziałabym mu, że ważne jest, żeby poza kortem też było życie. Staram się chociaż raz w tygodniu wyjść ze znajomymi, poczytać coś łatwego i miłego, mieć chwilę dla siebie niezwiązane ze sportem. Dlatego lubię modę. Sprawia mi przyjemność, kiedy fajnie się ubiorę. Jeśli zdarza się, że tenis zajmuje mój cały dzień, to jest mi ciężko. Chciałam studiować, żeby mieć odskocznię i nauczyć się przenoszenia koncentracji. Nie wyszedł mi trening, przegrałam mecz albo sparing, ale muszę zostawić to z boku i się skoncentrować, bo za chwilę zdaję egzamin z księgowości.

Bez względu na to, czy zajmie się pani w przyszłości księgowością, czy nie, ma już pani pewną emeryturę.

– Jak każda zawodniczka, która jest tak zwanym full member WTA. To dziewczyny od 1. do 150. miejsca, które każdego roku przez pięć lat muszą zdobyć 14 punktów, grając na przykład w 14 turniejach głównych WTA. WTA ma umowę z funduszem emerytalnym w Stanach, na którym odkładane są nasze pieniądze za udział w turnieju. Nie wszystkie dziewczyny o tym funduszu wiedzą, bo rzadko która się tym interesuje. Dlatego z myślą o emeryturze trzeba grać w turniejach czy eliminacjach, gdzie można zdobyć pół punktu. Więc od długiego czasu zarabiam na swoją emeryturę, bo jestem w pierwszej setce dziewiąty rok.

Po sukcesie w Australian Open zajmuje pani 22. drugie miejsce w rankingu WTA. Czy w tym skoku pomogły pani osiągnięcia Agnieszki Radwańskiej, a potem Igi Świątek? Odblokowały panią, bo skoro one mogą, to i ja mogę?

– Nie. Bardziej myślałam o dziewczynach, z którymi trenuję na co dzień, które jak Sofia Kenin czy Petra Kvitová wygrywały Wielkie Szlemy. Grałam z nimi często treningi i czułam, że jestem blisko. A kiedy z nimi wygrywałam, wiedziałam, że i ja mogę.

Po dwóch dniach w Poznaniu wylądowała pani wczoraj na Florydzie. Jak, będąc ciągle w drodze, radzi sobie pani z jet lagiem?

– Coraz gorzej. Kiedyś mogłam przylecieć z Australii do Dubaju i jeszcze zagrać trening. Teraz nie ma na to szans. ●



Cywilna śmierć Kamila Różewicza

WIERSZ O SZCZURACH I SPOCONYCH RĘKACH

**Przyszli do taty sąsiedzi i mówią:
„Słuchaj, Tadeusz, twój syn jest donosicielem”**

Piotr Głuchowski

Jak my się kaleczymy/ roztargnieni spieszący się/ jak my się kaleczymy/ wzajemnie okrutni w skupieniu czujni/ nieomylni w zadawaniu ciosu...

(Tadeusz Różewicz, „Jak dobrze”)

Ta sprawa to wrzód na ciele wrocławskiej opozycji, który pęka na naszych oczach – mówi Jerzy Sawka, dyrektor wrocławskiego toru wyścigów konnych, były naczelny „Wyborczej” w Szczecinie i Wrocławiu.

Niemal wszyscy bohaterowie opowieści są już postaciami historycznymi. Mają biogramy w Wikipedii, dorobek naukowy i publicystyczny. Działali w opozycji przed sierpniem 1980 roku, a po nim – w legalnej i podziemnej „Solidarności”. Byli internowani, mają krzyże kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski, Krzyże Wolności, odznaki honorowe Wrocławia itd. Jest wśród nich były wiceprezydent miasta, jest pierwszy (jeszcze przed Sawką) naczelny wrocławskiej „Wyborczej”, są rektorzy, prorektory, naukowcy, pisarze, dziennikarze.

Jest też ofiara: Kamil Różewicz, syn zmarłego w 2014 r. poety, dramaturga i scenarzysty z pokolenia Kolumbów – Tadeusza Różewicza. On jeden niczego nie publikował, nie piastował stanowisk, w 1979 roku przerwał pisanie doktoratu i od tego czasu nie pracuje. Nie ma wikipedycznego biogramu, nie założył rodziny, nie był za granicą. Jego życie zostało złamane wiosną 1979 roku, kiedy Radio Wolna Europa podało, że kolportuje na Uniwersytecie Wrocławskim (UWr) materiały wytworzone przez Służbę Bezpieczeństwa PRL.

Kiedy wrocławski wrzód zaczął pękać? Można wskazać dwa momenty: pierwszy przed rokiem, gdy ukazała się książka Magdaleny Grochowskiej poświęcona Tadeuszowi Różewiczowi (o tym dalej). Można też wybrać 22 grudnia – dwa miesiące temu. Tego dnia zmarł Viktor Grotowicz – w latach 70. współpracownik KOR i działacz opozycyjnego Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS). Po Sierpniu '80 – współtwórca wrocławskiego Radia „Solidarność” i współpracownik Wolnej Europy na emigracji w Niemczech. Za demokracji zajmował się głównie tłumaczeniami z niemieckiego. Dwa tygodnie po jego śmierci wspomnienie poświęcone zmarłemu opublikował w „Wyborczej” Jerzy Sawka.

Fragment: „Viktor był człowiekiem wrażliwym, targaly nim namietności. Danka Stolecka, liderka uniwersyteckiej opozycji wrocławskiej, pamięta go jako człowieka niezwykle prawego: – Niedawno dowiedzieliśmy się, że w 1979 r., my, młodzi opozycjoniści, skrzywdziliśmy Kamila Różewicza, syna poety Tadeusza, oskarżając go o współpracę z SB. To miało druzgocący wpływ na jego życie. Z wielu naszych znajomych i przyjaciół z tamtych czasów tylko Viktor bez wahania chciał o naszej winie rozmawiać i szukał możliwości zadośćuczynienia”.

Po publikacji tekstu o Grotowiczu list do redakcji przysłał Jarosław Broda, kolega zmarłego, także wrocławianin, były współpracownik KOR, internowany w stanie wojennym działacz pierwszej „S”, później członek podziemnej Solidarności Walczącej, po 1989 r. wieloletni dyrektor Wydziału Kultury we wrocławskim magistracie, a ostatnio dyrektor programowy Radia Wrocław. Prywatnie szwagier premiera Morawieckiego.

Broda przypomniał, że nie tylko Grotowicz stanął w obronie syna poety. Jego zdaniem już w 1979 r. „zarzuty postawione mgr. Kamilowi Różewiczowi” zostały odwołane, a pod przeprosinami podpisały się oprócz Viktora także „cztery inne osoby z SKS”.

Sęk w tym, że te przeprosiny do syna poety nie dotarły. Gdy były redagowane, on już pilnie szukał lekarza. Choruje od 43 lat. Pierwsza diagnoza brzmiała: nerwica na tle ciężkich przeżyć. Potem było gorzej.

Wrocławski SKS powstał 14 grudnia 1977 r. Podobnie jak KOR działał jawnie, choć jednocześnie kolportował podziemne wydawnictwa. Rzecznikiem i najbardziej aktywnym członkiem był student polonistyki Leszek Budrewicz – kolejna piękna opozycyjna karta. Powołany po magisterce do wojska odmówił w 1980 r. złożenia przysięgi, za co został karnie przeniesiony do jednostki inżynieryjnej jako pomocnik murarza. Po wyjściu z kamaszy działał w podziemnej „Solidarności”, zakładał ruch Wolność i Pokój, uczestniczył w głodówkach, redagował podziemne pisma. Był pierwszym naczelnym wrocławskiej „Wyborczej”, a później także „Wieczoru Wrocławia”. Po roku 2000 – jak informuje Encyklopedia Solidarności – „stracił pracę w wyniku komplikacji rodzinnych i zawodowych (...) bank zabrał mu za długi mieszkanie; przez pewien czas żył w schronisku dla bezdomnych

mężczyzn we Wrocławiu”. Część licznych znajomych uznała jego przeprowadzkę do Brata Alberta za demonstrację. Mówiono: chyba zwariował. Z czasem się podźwignął, dostał zatrudnienie jako scenarzysta polsatowskiego serialu „Bar”, zaczął wyklądać dziennikarstwo. Wydał kilka tomików wierszy. W roku 2007 prezydent Lech Kaczyński nadał mu Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, jednak Budrewicz honoru nie odebrał.

„Nie podobała mi się polityka orderowa PiS. Napisałem do prezydenta, że przyjęcie orderu byłoby wzięciem udziału w operacji politycznej opcji, której nie popieram” – pisze mi na Messengerze. Musimy się porozumiewać w ten sposób, ponieważ Budrewicz nie ma ani komórki, ani telefonu stacjonarnego, ani konta w banku. Bardzo to sobie chwali. Aktualnie zajmuje się pisaniem wierszy o wojnie w Ukrainie – można je przeczytać na stronie Wydawnictwo.pl.

W roku 1979, gdy Leszek dowodził wrocławskim SKS-em, ja byłem w PZPR – zaczyna Kamil Różewicz. Rozmawiamy we wrocławskim domu kupionym pół wieku temu przez jego ojca. Na ścianach obrazy Jerzego Nowosielskiego. 73-letni gospodarz mieszka tu ze stuletnią mamą, wdową po dramaturgu. Mówi wolno, z długimi przerwami, od przeszło 40 lat bierze ciężkie psychotropy. Nerwica przeszła mu w schizofrenię. A zapowiadał się świetnie... W 1973 r. ukończył z oceną bardzo dobrą studia na Wydziale Historyczno-Filozoficznym UWr, kilka lat później rozpoczął pisanie doktoratu u profesora Jerzego Topolskiego z Poznania. Temat „Max Weber jako metodolog i teoretyk historii”.

– Wierzyłem w marksizm, byłem jednym z wielu partyjnych na uczelni, którzy w ogóle czytali „Kapitał”. Trochę to moje młode komunizowanie wynikało z buntu przeciw tacie, przeciw kultowi AK i przedwojennej Polski. Już w szkole średniej byłem w Związku Młodzieży Socjalistycznej, prowadziłem szkolenia ideologiczne dla młodszych od siebie. Po studiach, jako asystent w Instytucie Historii, dzieliłem pokój z Markiem Cetwińskim, także członkiem partii. Redagowany przez Budrewicza biuletyn SKS-u „Podaj Dalej” dobrze znałem: był rozrzucany po parapetach na uczelni, krążył z ręki do ręki, wiedziałem, jacy studenci za tym stoją. Ideologicznie to byli moi przeciwnicy, ale tylko tyle.

Oglądałem jedno z wydań biuletynu. Odbita przez kalkę obustronnie i gęsto zapisana kartka maszynopisu z numerem porządkowym plus data.

– Pod koniec stycznia 1979 r. pojawił się biuletyn numer siódmy. Ośmieszał Leszka Budrewicza

Kamil Różewicz: Po latach doszedłem do wniosku, że esbekom chodziło o ubrudzenie ojca, który był podówczas kandydatem do Nobla

– mówi dalej Różewicz. – Były tam jakieś żarty z jego matki, a o nim samym pisano, że przymierza przed lustrem husarskie skrzydła, pozując na wodza. Wszystko w konwencji Mrożka.

Rzeczywiście: „PD” nr 7 był esbecką przeróbką Mrożkowej noweli „Ostatni husarz”, w której główny bohater, Lucuś, walczy z systemem, pisząc w toalecie „Precz z bolszewizmem!” i „Katolicy się nie dają!”. Nie przymierza jednak skrzydeł husarskich – marzą mu się orle. Co do matki z opowiadania – ta jest chorobliwie wpatrzona w syna, podobnie jak żona Lucusia. Obie chodzą wokół swego herosa na paluszkach i służą z najwyższym oddaniem. Esbecy wykorzystali gotową satyrę, zamieniając jedynie imię głównego bohatera na „Lesia”, który to przydomek przylgnął do Budrewicza na tyle, że zaczęła go tak nazywać nawet jego ówczesna dziewczyna – Danuta Stolecka.

Budrewicz: – Fałszywka była na granicy żartu, ale ja się wściekłem głównie ze względu na karykaturalny obraz mojej mamy. Ona uciekła w czasie wojny z niemieckiego obozu, a esbecka ulotka robiła z niej starą wariatkę.

Różewicz: – Ten lipny biuletyn przyniósł do pokoju mojego i Cetwińskiego prorektor do spraw stu-

denckich Karol Fiedor. Również członek partii. Później się o takich mówiło „twardogłowy”.

Profesor Fiedor, historyk i specjalista od stosunków polsko-niemieckich XIX i XX w., zmarł 13 lat temu. Był odznaczony Orderem Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi itd. Promował ok. 400 prac magisterskich i 16 doktorskich.

Różewicz: – Fiedor zostawił w naszym pokoju, jak mi się zdaje, tylko jeden egzemplarz „Podaj Dalej” z numerem siedem, inne rozniósł po instytucie. Ktoś zauważył, że to u nas leży, i puścił plotkę, jakobyśmy byli z Cetwińskim kolporterami. No i SKS jeszcze tego samego dnia wydał oświadczenie, że jesteśmy esbeckimi wtykami. Nie to jednak było najgorsze. Nazwisko Kamil Różewicz z informacją, czym jestem synem, podniosło rangę błałego w gruncie rzeczy zdarzenia na tyle, że oświadczeniem Budrewicza zainteresowało się Radio Wolna Europa. Ojcu nadano Krzyż Armii Krajowej, a potomek współpracuje z bezpieką. Przyszli do taty sąsiedzi i mówią: „Słuchaj, Tadeusz, twój syn jest donosicielem”. Studenci archeologii, gdzie prowadziłem ćwiczenia, mówili niemalże przy mnie: „Ten osławiony Różewicz, ubek, prowokator i kapuś – uważajcie, bo nawet w Wolnej Europie przed nim ostrzegają”. Zaczęły się natrętne myśli, ogólne roztrzęsienie. Miałem wrażenie, że wszyscy wokół mówią na mój temat i mnie oskarżają. Mój naukowy opiekun, profesor Wojciech Wrzesiński, późniejszy rektor, oświadczył na uczelni, że ktoś, kto się dopuszcza takich świństw, czyli niby ja, nie może dalej pracować na uniwersytecie. Oboje rodzice byli zdruzgotani. Ojciec poprosił profesora Czesława Hernasa z polonistyki, naukowego opiekuna Leszka Budrewicza, żeby mu przekazał, że ja nie mam z fałszywym biuletnem niczego wspólnego. Budrewicz, jak mi tata mówił, z początku nie wierzył.

Sprawa stała się na tyle głośna, że uczelnia musiała coś zrobić. Członkowie SKS, w większości piętkowi studenci kierunków humanistycznych, dostali wezwania do stawiennictwa przed rzecznikiem dyscyplinarnym UWr. Jednym wstrzymano wypłatę przyznanych już nagród rektorskich, innym zablokowano stypendia. Budrewicz zareagował w biuletynie ósmym. Pierwsze słowa: „29.01 na terenie szeregu budynków Uniwersytetu kolportowany był fałszywy siódmy numer biuletynu. Tego samego dnia ukazało się oświadczenie SKS-u w tej sprawie podające nazwiska dwóch osób, pracowników naukowych Instytutu Historycznego dr. Marka Cetwińskiego i mgr. Kamila Różewicza jako biorących czynny udział w rozpowszechnianiu fałszywego biu-

letynu. Władze uczelni postawiły sprawę na głowie i zamiast wyciągnąć konsekwencje w stosunku do wyżej wymienionych, podjęły działania wobec pięciu osób z SKS. Wszyscy zostali wezwani do rzecznika dyscyplinarnego uniwersytetu”.

Piątka to Renata Otołińska z filologii polskiej (zostanie nauczycielką), Grotowicz – również z polonistyki, dalej Jacek Malec z historii sztuki (wyemigruje do Kanady), Mariusz Wilk (kolejny polonista, później współautor słynnej „Konspiiry”, a w wolnej Polsce – serii książek z cyklu „Dziennik północny”), wreszcie Jerzy Ochman z matematyki.

Gdy ósmy biuletyn dotarł do Kamila, zdesperowany asystent złożył w rektoracie półstronicowy wniosek: „Do Jego Magnificencji Rektora prof. Kazimierza Urbanika. W wyniku dezinformacji grupa studentów (...) rozpowszechniła w tzw. biuletynie nr 8 SKS niezgodną z prawdą wiadomość, iż ja, niżej podpisany, kolportowałem ulotkę skierowaną przeciw członkowi SKS. Ta fałszywa wiadomość została rozpowszechniona przez środki masowego przekazu poza granicami kraju. Domagam się odwołania przez studentów krzywdzącego mnie stwierdzenia. (...) proszę Jego Magnificencję Rektora o podjęcie w stosunku do fałszywie poinformowanych studen-

• 2007, Kamil Różewicz (z tyłu) odbiera na Zamku w Lublinie w imieniu ojca Nagrodę im. Józefa Czechowicza. Tadeusz Różewicz został jej pierwszym laureatem

FOT. RAFAŁ
MICHAŁOWSKI /
AGENCJA
WYBORCZA.PL

tów środków, które skłonią ich do odwołania krzywdzących mnie zarzutów”.

Pismo asystenta (podobne złożył Cetwiński) stało się podkładką dla prorektora Fiedora, który powiadomił senat UW, że grupa zaangażowanych w nielegalną działalność studenckich wichrzycieli „umieściła” na antenie dywersyjnej rozgłośni pomówienie godzące w syna wielkiego polskiego poety, autora granej już w Teatrze Narodowym „Kartoteki”.

Zachował się na ten temat protokół posiedzenia władz uczelni (protokołowała mgr Anna Woźniak). Fragmenty: „W odpowiedzi na zapytanie członków senatu w sprawie studentów, którzy pomawiali i szkalowali pracowników naukowych uniwersytetu, rektor poinformował, że w ulotce kolportowanej pod szyldem tak zwanego Studenckiego Komitetu Solidarności pomawiano pracowników Instytutu Historii dr. Cetwińskiego i mgr. Różewicza, jakoby rozpowszechniali prowokacyjne ulotki [godzące w] Leszka Budrewicza, studenta IV roku filologii polskiej – czołowego działacza tzw. SKS. O rzekomym kolportowaniu przez pracowników ulotek poinformowano (...) publikatory zagraniczne. Treść oświadczenia tzw. SKS została nadana przez RWE dnia 6 lutego 1979. W związku z tym pomówieniem pracownicy przekazali na ręce Rektora prośbę o wyciągnięcie konsekwencji wobec tych studentów oraz domagali się publicznego przeproszenia i odwołania fałszywego posądzenia”.

Kłamstwo zaszyte jest – sprytnie – w ostatnim zdaniu. Cetwiński i Różewicz prosili jedynie o podjęcie „środków, które skłonią SKS do odwołania krzywdzących zarzutów”. Tymczasem prorektor Fiedor naciskał po linii naukowej i partyjnej na surowe ukaranie nie tylko pierwszej piątki, ale i wszystkich członków SKS we Wrocławiu. Odbieranie stypendiów nie starczy. Trzeba ich co najmniej zawiesić. Od tego czasu na uczelni przylgnęło doń określenie „Fiedor Wieszatiel”.

W marcu 1979 r. o prześladowaniu opozycjonistów informowały już Wolna Europa, Głos Ameryki i polskie radio z Londynu, którego słuchał Tadeusz Różewicz. Przed ambasadą PRL w Danii stanęła solidarnościowa pikietatamtejszych studentów. Gdy wicepremier w rządzie Piotra Jaroszewicza, Józef Tejchma, pojechał do USA prosić o kolejne pożyczki, sekretarz stanu Cyrus Vance zapytał: dlaczego wasz rząd prześladowajeżaków? Na korytarzu pod salą obrad komisji dyscyplinarnej UW gromadzili się podekscytowani słuchacze wszystkich kierunków uczelni. Ostatecznie ogłoszenie werdyktu przeniesiono na wakacje, aby uniknąć niepokojów. Tymczasem partyjni profesorowie konsultowali się z Komitetem Centralnym, a profesura sprzyjająca KOR i SKS próbowała używać wpływów, by ochronić zagrożonych. Latem zapadł werdykt: osiemnaścioro SKS-owców z czterech wrocławskich szkół wyższych i artystycznych zawieszono na kolejny semestr. Uniknęli relegowania, co w przypadku młodych mężczyzn równało się poborowi w kamasze, a zawdzięczali to m.in. Karolowi Modzelewskiemu, Zofii Romaszewskiej oraz współtwórcy KOR – prof. Edwardowi Lipińskiemu. Ten ostatni napisał list do samego I sekretarza KC Edwarda Gierka.

W międzyczasie Budrewicz uznał swą pomyłkę. W połowie marca kolejny biuletyn „PD” zamieścił sprostowanie: „Dnia 29.01.1979 r. ukazało się podpisane przez nas Oświadczenie SKS dotyczące fałszywego Biuletynu Informacyjnego nr 7. Zostali w nim wymienieni jako biorący udział w kolportażu pracownicy Instytutu Historycznego dr Marek Cetwiński i mgr Kamil Różewicz. Podana przez nas wiadomość jest nieścisła, za co winę ponosi nasz informator. Odwołujemy zarzuty postawione mgr. Różewiczowi i przepraszamy Jego oraz wszystkich, do których ta wiadomość dotarła”.

Mówi wolno, z przerwami, od przeszło 40 lat bierze ciężkie psychotropy. Nerwica przeszła mu w schizofrenię. On jeden z wrocławskiej opozycji niczego nie publikował, w 1979 roku przerwał doktorat i od tego czasu nie pracuje. Nie ma wikipedycznego biogramu, nie założył rodziny, nie był za granicą. A zapowiadał się świetnie

Różewicz: – Nie czytałem tego sprostowania, bo pół roku po oskarżeniu przez Wolną Europę byłem już całkiem chory. Koleżanka, asystentka z psychologii, zaprowadziła mnie do psychiatry. Zapisał mi pernazynę. Działała ogłupiająco. Cały po niej sztywniałem. I tak kilka lat minęło – głównie w łóżku – aż mi nareszcie inny doktor zapisał nowe leki.

– Ktoś w rodzinie cierpiał na choroby psychiczne?

– Nie. Ojciec dostał depresji po śmierci swojego brata, ale to dopiero w pierwszej dekadzie XX w. Ze mną do tego czasu było bardzo kiepsko. Wpierw długotrwałe zwolnienie L4, potem urlop zdrowotny, ponieważ nie miałem doktoratu. Jak się urlop skończył, uczelnia mnie zwolniła. Zostałem bezrobotnym, co snuje się po lekarzach, aż wreszcie, w latach osiemdziesiątych, przyznali mi małą rentę.

Co do zawieszonych przez „Fiedora Wieszatiela” członków SKS – po tym, gdy listy w ich obronie przysłali na adres premiera i I sekretarza Gierka warszawscy i krakowscy profesorowie związani z opozycyjnym Towarzystwem Kursów Naukowych, a także naukowcy z USA, Londynu i Paryża, w nowym roku akademickim władze przywróciły całą grupę do zajęć. Z wyjątkiem Heleny Gleichgewicht z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która miała niepozdrawane egzaminy. SKS-owska impreza, która odbyła się z tej okazji w willi na osiedlu Krzyki, przeszła do legendy wrocławskiej konspiracji.

Informatorem, który doniósł SKS-owi, że Różewicz i Cetwiński puszczają w obieg fałszywą bibulę, był Krzysztof Turkowski – w późnych latach 70. współpracownik KOR i Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, aktywny działacz wrocławskiego SKS, potem delegat na I zjazd „Solidarności”, w stanie wojennym – poszukiwany przez SB członek podziemia.

– Zrobił rzecz fatalną. Oskarżyć kogoś o współpracę z bezpieką – to w naszym środowisku znaczyło tyle, co zabić – mówi mi Budrewicz (możemy wreszcie rozmawiać, bo dowiedziawszy się, o czym piszę, pożyczył od kogoś telefon). – Turkowski twierdził jednak, że osobiście widział, jak Różewicz roznosił fałszywki. Potem, im bliżej było komisji dyscyplinarnej, tym on się bardziej z tego wycofywał. Na komisję zeznawać nie przyszedł.

Żadne nieprzyjemności związane z pomówieniem go nie spotkały. W 1989 r. prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski odznaczył Turkowskiego Orderem Odrodzenia Polski. W latach 1990-94 były konspirator zajmował fotel wiceprezydenta Wrocławia, później był m.in. przewodniczącym rady nadzorczej PAP i członkiem Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Gdy do niego zadzwoniłem, powiedział mi, że „Wyborcza” kilka razy opisała go nieprzychylnie, w związku z czym rozmawiać nie będzie. Wysłałem mu jeszcze SMS z informacją, że wystąpi w reportażu jako osoba, która przyczyniła się do krzywdy Kamila Różewicza. Nie zareagował. Zgodziła się natomiast na rozmowę Danuta Stolecka.

Jej historia to następna heroiczna biografia. Członkini SKS, zawieszona latem 1979 r. wraz z „Lesiem” i pozostałą szesnastką, półtora roku później była już pracownicą Zarządu Regionu Dolnośląskiego „Solidarności”. Po 13 grudnia: internowanie i emigracja do Austrii. Po 1989 r. – w chary-

tatywnych organizacjach pozarządowych, m.in. SOS Jacka Kuronia i Fundacji Batorego. Po 2010 r. – etat w kancelarii prezydenta Komorowskiego. Dzisiaj emerytka.

– Przez cztery dekady o sprawie Kamila Różewicza nikt głośno nie rozmawiał ani niczego nie pisał – zaczyna. – Aż pojawiła się książka Grochowskiej „Różewicz. Rekonstrukcja”.

Wydała ją w zeszłym roku oficyna Dowody na Istnienie. Na stronie 368 czytam, że oskarżenie starszego z dwóch synów o współpracę z SB pozostało dla Tadeusza Różewicza i jego żony „na zawsze otwartą raną”. W lutym 1979 r., czyli kilka dni po ogłoszeniu Kamila kapusiem, poeta napisał wiersz o szczurach: „Wygryzły dziurę w świetle dziennym i przebiegły z kwitkiem przez moje sny (...) dom mój został zanieczyszczony (...) dłonie znajomych wymykały się z mojej ręki nagle spocone”.

Stolecka: – Grotowicz przeczytał tę książkę jako pierwszy z nas. Rok temu było spotkanie w starym gronie i mówiliśmy kolegom: „Zróbmy coś, bo Kamil ma poczucie, że go załatwiliśmy”. Nie było zrozumienia. Leszek Budrewicz uważał, że przecież przeprosiliśmy w marcowym „Podaj Dalej”, zatem o co chodzi? A w ogóle to Różewicz wnioskował, żeby nas zawiesić, więc nie taki święty.

– Nie wnioskował o zawieszenie, tylko 12 lutego napisał do rektora Urbanika prośbę o „podjęcie środków” w celu oczyszczenia go z zarzutu współpracy z SB.

– Mnie pan nie musi tłumaczyć. Postanowiliśmy z Grotowiczem odwiedzić Kamila w domu, porozmawiać, przeprosić. Gdy Viktor gdzieś podzwonił, dowiedział się od bratanicy [wnuczki Tadeusza], że Kamil odmawia spotkania.

– Nie chciałem, bo czy można człowieka przeprosić za złamanie życia? – pyta mnie Różewicz.

Budrewicz: – Przykro mi... to mało powiedziane. Turkowski nas wpakował w tę sprawę. Nie chce z panem rozmawiać, bo od tej prawdy ucieka.

Stolecka: – Turkowski był od zawsze nieodpowiedzialny. Może pan to napisać w gazecie i ja się nie wyprę.

Kamil Różewicz: – Po latach doszedłem do wniosku, że esbekom chodzilo o ubrudzenie ojca, który był podówczas kandydatem do Nobla. A skoro Wolna Europa mówi, że syn poety to kapuś... Cóż, Komitet Noblowski mógł wziąć to pod uwagę.

Propozycję uhonorowania Tadeusza Różewicza złożył komitetowi m.in. sławista z Uniwersytetu w Uppsali, profesor Józef Trypućko, autor słownika szwedzko-polskiego i tłumacz Prusa. W roku 2021 Akademii Szwedzka ujawniła, że Różewicz był brany pod uwagę jako laureat po raz pierwszy w roku 1971, po raz drugi – przed 1980. Katarzyna Janowska i Mariusz Urbanek z okazji jego osiemdziesiątych urodzin napisali w „Polityce”, że miał pecha, bo „przyszło mu stworzyć w tym samym czasie, co Miłosz i Szymborska, więc limit Nagród Nobla dla poetów z Polski został wyczerpany”. Autorzy tygodnika nie znali oczywiście historii Kamila Różewicza.

– Towarzystwo z SKS stało się narzędziem esbeckiej prowokacji, a ja – jej ofiarą – mówi mi na koniec syn poety. – Już po pół roku wszyscy spokojnie o mnie zapomnieli. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 536-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

STANY ZJEDNOCZONE AUTOKRATYCZNEJ AMERYKI

Stara definicja Marksa, że faszyzm to ultranacjonalizm sponsorowany przez wielki pieniądz, wciąż się sprawdza.

Z JASONEM STANLEYEM, PROFESOREM FILOZOFII Z YALE, AUTOREM KSIĄŻKI „JAK DZIAŁA FASZYZM”, ROZMAWIA KATARZYNA WĘŻYK



Rosja zaatakowała Ukrainę „w obronie” rosyjskojęzycznych Ukraińców przed „faszystami” rządzącymi krajem. Ukraina broni się z kolei przed tzw. rasyzmem, czyli rosyjskim faszyzmem. Czy skoro „faszystą” może być i napastnik, i obrońca, to czy słowo to nie jest już niemal pozbawione znaczenia?

– To trochę, jakby pani powiedziała, że słowo „komunista” albo „dupek” straciło znaczenie. Nie każdy nazwany faszystą nim jest. A faszystowska propaganda zawsze używa projekcji. Hitler mówi w „Mein Kampf”: nazywaj ich tak, jak oni nazywają ciebie.

Naziści zajęli Czechosłowację „w obronie” Niemców z Sudetenu, a potem najechali na Polskę, bo Polacy jakoby zabijali mniejszość niemiecką. Putin robi to samo: próbuje popełnić ludobójstwo na Ukraińcach, twierdząc jednocześnie, że Ukraina zabija Rosjan. Ale to nie oznacza, że słowo „ludobójstwo” jest puste, tylko że Putin kłamie.

To jak zdefiniowałby pan faszyzm A.D. 2023 i jak, jeśli w ogóle, różni się on od tego z lat 30.?

– Faszyzm to kult lidera, który twierdzi, że jego naród został upokorzony – przez liberałów, mniejszości, socjalistów, feministki, osoby LGBT i imigrantów – a sam siebie przedstawia jako głos narodu. Według faszystowskiego przywódcy przyczyną tego upokorzenia są demokratyczne swobody. Obiecuje też zwolennikom, że dzięki niemu naród znów wstanie z kolan.

Faszyzm wyrasta z nacjonalizmu, jest jego ekstremalną formą. A dziś obserwujemy na całym świecie powrót ultranacjonalizmów. W Izraelu do władzy dochodzi neofaszystowski, etnonacjonalistyczny ruch osadniczy. W Indiach mamy hinduistycznych nacjonalistów w rządzie. Rosja rządzi klasycznie faszystowska formacja, wspierana przez oligar-



chów, których fortuny wyrosły na paliwach kopalnych. Faszyzm potrzebuje kogoś, kto wypisuje czek, a sponsorzy zawsze się znajdują. W latach 30. niemiecki biznes chciał w zamian zniszczenia ruchu robotniczego, dziś korporacje chcą, żeby ropa dalej płynęła. Stara definicja Marksa, że faszyzm to ultranacjonalizm sponsorowany przez wielki pieniądz, wciąż się sprawdza.

OK, czyli widmo faszyzmu krąży po świecie, sponsorowane przez oligarchów, ale dlaczego jest tak atrakcyjne dla wyborców?

– W niektórych krajach napędza go sprzeciw wobec imigracji. W USA – rasizm. W innych, tu przykładem będzie Polska, zawodzi demokracja. To znaczy zawodzi kapitalizm, ale demokracja jest tak związana z kapitalizmem, że jego porażki prowadzą do tego, że cierpi też jej dobre imię. Doświadczenia Polski, a jeszcze bardziej Rosji, z lat 90. sprawiły, że demokracja sama w sobie wygląda problematycznie. Jeśli demokracja to tylko neoliberalizm, nic więcej, ludzie potrzebują czegoś innego. Potrzebują znaczenia. A nacjonalizm od jakichś 200 lat dostarcza ludziom społecznej tożsamości. Kiedy połączysz społeczny konserwatyzm z wielkim biznesem i zdołasz przekonać ludzi, że demokratyczne swobody zagrażają ich tradycjom, zaczyna się faszyzm.

Ivan Krastev, który jest bardziej sceptyczny co do powrotu faszyzmu, uważa, że różnica między wielkimi ideologiami XX wieku a dzisiejszym pravicowym populizmem jest taka, że komunizm czy faszyzm chciał stworzyć nowego człowieka, a populizm takich ambicji nie

ma. Wręcz mówi ludziom, że to elity chcą ich zmienić, a populistą lubi swoich zwolenników dokładnie takimi, jacy są.

– Mam problem z terminem „prawicowy populizm”. Ja też nienawidzę elit. Elity spieprzyły sprawę: wygenerowały olbrzymie ekonomiczne nierówności i zniszczyły kraj. Prawicowy populizm nie musi koniecznie oznaczać Trumpa, Orbána czy Kaczyńskiego. Wolałbym wręcz, żeby moi rodacy o prawicowych poglądach byli populistami i krytykowali kapitalizm! Prawicowy populizm nie jest zły, to wręcz moja ulubiona forma prawy. To nie populizm jest problemem, tylko neoliberalizm. A termin „prawicowy populizm” został wymyślony wyłącznie po to, by zdyskredytować rozwiązanie, czyli populizm lewicowy.

Ivan ma rację, że nie powtarzamy włoskiego faszyzmu jeden do jednego, ale też faszyzm to nie tylko Włochy. W USA także mieliśmy w historii faszystowskie ruchy, głównie na Południu, a Ku Klux Klan raczej nie był zainteresowany tworzeniem nowego człowieka. Nasze rasistowskie prawa w erze Jima Crowa [okres między zakończeniem wojny secesyjnej a zwycięstwami ruchu praw obywatelskich sto lat później] były bazą dla nazistowskich ustaw norymberskich. Niemieccy prawnicy wręcz studiowali amerykańskie kodeksy i uznali, że zasada jednej kropli krwi – wystarczyła jedna kropla „czarnej” krwi, by uznać cię za obywatela drugiej kategorii – jest jednak zbyt ekstremalna.

Jednym z dziesięciu wyznaczników faszyzmu, które wymienia pan w książce, jest rola ofiary. Dlaczego ci zmartwieni kryzy-

• 6 stycznia 2021 r., dzień szturmowania na Kapitol. W Los Angeles trumpistowska manifestacja przeciwko „ukradzionym wyborom” zmieniła się w starcie fanów i przeciwników Trumpa

FOT. SARAH REINGEWIRTZAP

sem męskości mężczyźni czują się tak dobrze w – jakże przecież niemęskiej – roli ofiary?

– Jako kobieta wie pani przecież bardzo dobrze, dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią się nad sobą użalać (*śmiech*). Dominująca grupa to zawsze straszne płakusy: „O mój Boże, mamy tylko 90 procent władzy, świat się kończy”. Kiedy musisz się podzielić władzą, odczuwasz stratę. Kiedy jesteś przyzwyczajony dostawać wszystko, a teraz dostajesz tylko część, buntujesz się. Dlatego nie ma bardziej jęczącej, płaczącej i użalającej się nad sobą grupy niż grupa dominująca.

Ale jeszcze nie tak dawno bycie ofiarą było czymś, czego należało się wstydzić, a dziś to niemal powód do dumy. I to nawet na prawicy.

– To prawda, tyle że należy odróżnić sytuację grup faktycznie wiktyzowanych, jak osoby LGBT czy w Polsce kobiety, od sytuacji grupy dominującej, która jest oburzona, że odebrano jej coś, co uważała za prawowitą i wyłączną własność.

Jak już jesteśmy przy relacjach damsko-męskich – jednym z filarów faszyzmu jest patriarchat.

– Faszyzm opowiada się za sztywnym podziałem płci i jasną hierar-

chią. W latach 30. jednym z głównych celów nazistowskiej propagandy był Magnus Hirschfeld, gej i twórca berlińskiego Instytutu Seksuologicznego. Instytut miał ogromne archiwa pokazujące genderową płynność i przeprowadzał pionierskie operacje korekty płci. Kiedy tylko naziści doszli do władzy, zamknęli jego instytut i zniszczyli badania.

Jeśli chcesz przejąć władzę, musisz zdobyć poparcie możliwie szerokiej grupy osób. Patriarchat jest najstarszą ideologią i jeśli przedstawisz się jako jego obrońca, dostaniesz wiele głosów: poprą cię wyznawcy tradycyjnych religii i wielu mężczyzn przekonanych, że feminizm coś im zabrał. Faszyzm deklaruje obronę abstrakcyjnych wartości, które ludzie cenią najbardziej, nawet jeśli materialnie niewiele z nich mają: ojczyznę, męskości, tradycyjnej rodziny. Te wartości nie oplacają ci rachunków ani nie zwiększają zakresu twojej wolności, ale budują ego. A faszyzm przekonuje, że twoje ego zostało zranione, a on tu jest po to, by je obronić. Patriarchat jest w samym centrum tej układanki.

A jak kariera Giorgii Meloni czy Marine Le Pen pasuje do patriarchalnego przekonania, że domeną kobiety są dzieci, kuchnia i Kościół?

– Ideologia propagowana przez obie panie jest oczywiście straszliwie seksistowska, ale dają kobietą twarz antyfeminizmowi i faszyzmowi. To też nic nowego, przypomnijmy Leni Riefenstahl, wspaniałą reżyserkę w służbie nazistowskiej propagandy. Kobiety wcześniej firmowały faszyzm, dziś bywają przywódczyniami. Jeśli posłu-

chasz Giorgii Meloni, brzmi zupełnie jak Mussolini.

Zawsze znajdują się przedstawiciele grupy dyskryminowanej stający po stronie status quo. Booker T. Washington, Afroamerykanin, pod koniec XIX wieku bronił białej supremacji. Dziś czarny sędzia Sądu Najwyższego Clarence Thomas jest głównym przeciwnikiem akcji afirmatywnej i liderem w atakowaniu praw obywatelskich czarnych Amerykanów. Z kolei kobiecą twarzą patriarchatu była w USA Phyllis Schlafly, konserwatywna aktywistka, która zablokowała uchwalenie ERA, poprawki przyznającej kobietom równe prawa.

Jasne, patriarchat ma dwie nogi i jedną są konserwatystki. Tyle że jeśli faszyzm głosi, że miejsce kobiety jest w domu, to głosowanie na liderki jest tu pewną sprzecznością.

– Ale przecież niejedyną. Hitler wielokrotnie mówił, że Niemcy powinni mieć więcej dzieci, a był bezdzietny.

Nie miał też przesadnie aryjskiej urody.
– Ani nie wyglądał przesadnie męsko.

A dlaczego faszyzm jest tak zafiksowany na seksualności?
– Bo chce, żebyś się czuł upokorzony, a wtedy faszystowski przywódca odda ci swoją męskość.

?
– Jak sprawić, żeby mężczyźni poczuli się upokorzeni? Powiedzieć im, że ich seksualność, ich męskość jest zagrożona. Że imigranci przyjdą po ich kobiety. Że obcy ożenią się z ich córkami. Że geje zdeprawują im synów. I tylko faszystowski przywódca może obronić wasze rodziny i przywrócić waszą męskość.

Kiedy się ogląda amerykańskie prawicowe media, można pomyśleć, że największy problem USA, nie licząc krytycznej teorii rasy oczywiście, to łazienki dla osób transpłciowych. Tyle że to dotyczy niespełna jednego procentu populacji. Skąd to wzmocnienie?
– Bo osoby transpłciowe to idealny kozioł ofiarny, a poza tym uosobienie strachu przed płynnością płci. Ich istnienie pokazuje, że płeć nie musi być sztywno określona, a to stanowi zagrożenie dla patriarchatu, który przecież opiera się na idei, że istnieją dwie płcie i jedna z nich jest wyżej, a druga niżej. A już najbardziej przerażająca jest transkobieta, czyli osoba, która może być mężczyzną, ale wybierając bycie kobietą: jej istnienie podważa tę jakoby naturalną hierarchię. Dlatego też atak prawicy skupia się na transkobietach, a nie na transmężczyznach.

Bo można zrozumieć, że kobieta chciałaby być mężczyzną, ale w drugą stronę już nie?
– Tak, to całkowicie odwraca uświęcony porządek. A jeśli możesz przedstawić demokrację jako ustrój zagrażający binarności płci i genderowej hierarchii, wtedy demokracja może zostać uznana za wroga.

Mamy dziś kraje faszystowskie, czy raczej wciąż tylko te flirtujące z faszyzmem?
– Wolę myśleć o tym w kategoriach faszystowskiej i demokratycznej

kultury. W każdym państwie są elementy jednej i drugiej. Problem pojawia się wtedy, kiedy konserwatyści zaczynają głosować na faszystów, bo wolą ich od liberałów.

Niestety, nie ma chyba w historii teoretyka polityki, który uważałby, że demokracja w obecnych społecznych i materialnych warunkach ma szansę przetrwać, bo demokracja nie toleruje tak radykalnych nierówności. Gdy dochód i majątek jest redystrybuowany tak nierówno, ludzie zaczynają słuchać faszystowskich demagogów.

Czyli sukcesy faszystowskiej kultury zawdzięczamy neoliberalnej polityce lat 80. i 90.?

– Zależy od kraju. W Polsce czy Rosji neoliberalizm na pewno odegrał dużą rolę. Ale w USA była to też obecność etnicznej mniejszości, a w Szwecji masowa imigracja, która napędza tzw. teorię wielkiego zastąpienia, wedle której biała rasa ma zostać zastąpiona populacją o ciemniejszym kolorze skóry.

Polska jest krajem społecznie konserwatywnym i macie bardzo silną religijną prawicę, która ma tendencję autorytarne, więc wasi ultrapravicowi liderzy jako motoru paniki moralnej użyli seksu: osób LGBT i praw reprodukcyjnych, kobiety stawiając w roli mniejszości – wroga.

Termin „prawicowy populizm” został wymyślony wyłącznie po to, by zdyskredytować rozwiązanie, czyli populizm lewicowy

Z kolei USA zawsze miało silny faszystowski ruch bazujący na idei hierarchii ras. A reakcją jest oczywiście Black Lives Matter i masowe protesty latem 2020 r. Jedne z największych na świecie.

Spodziewam się, że za kilka lat USA nie będą już państwem demokratycznym.

To znaczy?
– Nasz system wyborczy już nie spełnia demokratycznych standardów. Gerrymandering [manipulowanie granicami okręgów wyborczych na bieżące potrzeby wyborcze jednej partii] sprawia, że wiele stanów nie ma demokratycznej reprezentacji. Dwa lata temu połowa populacji Karoliny Północnej głosowała na Demokratów, a mieli w Izbie dziesięciu republikanów i tylko trzech demokratycznych kongresmenów. Podobnie w Wisconsin: połowa mieszkańców głosuje na Demokratów, a Republikanie mają w stanowych legislaturach większość kwalifikowaną. Republikanie zajmują stan za stanem za pomocą gerrymanderingu, rządów mniejszości i odbierania praw wyborczych skazanym. Na Florydzie milion byłych więźniów nie może głosować – gdyby mogli, Republikanie nigdy by tam nie wygrali. Afroamerykanie nie mają żadnej władzy w stanie Missisipi. Zero. A wie pani, jaki procent mieszkańców Missisipi jest czarnych? 38.

Mamy więc sporo stanów, które zmieniły się w autokracje. Plus ultrapravicowy Sąd Najwyższy – naprawdę, na prawo od nich jest ściana – który też demoluje nam demokrację. Na dobrą sprawę zlikwidowali Voting Rights Act [ustawę o prawach wyborczych z 1965 r., która zakazała rasowej dyskryminacji przy urnie]. Na wokandzie jest sprawa Moore vs. Harper, która może zalegalizować gerrymandering oraz ułatwić stanowym legislaturom kontestowanie wyników federalnych wyborów. A jako że Republikanie kontrolują dziś 55 proc. stanowych legislatur, danie im tych uprawnień może oznaczać, że nie będziemy już mieli demokratycznego prezydenta. Myślę, że jest na to 75 proc. szans.

To co zostaje, przeprowadzka do Kanady?
– Mam niemieckie obywatelstwo.

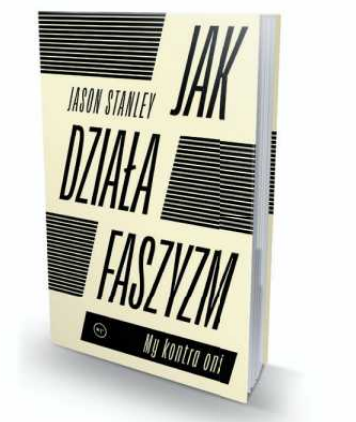
Żeby skończyć może nieco mniej pesymistycznie: kiedy po lekturze pańskiej książki myślałam o definicji faszyzmu, pomyślałam, że to triumf hierarchii nad empatią.
– Całkiem niezła.

Czy więc jest jakiś sposób na odbudowanie tej empatii, zwłaszcza dziś, w czasach kryzysu nie tylko demokracji, ale i klimatycznego?

– Europa też ma problem z empatią: akceptujecie ukraińskich uchodźców, ale syryjskich już nie, a przecież Rosja stoi za oboma katastrofami, które zmusiły tych ludzi do opuszczenia domów. Jednak nie jest też tak, że empatia zanikła zupełnie. Kiedy niedawno byłem w Polsce, poznałem pani rodaków, którzy nie tylko byli zaniepokojeni tą sytuacją, ale także aktywnie angażowali się w pomoc uchodźcom.

Nie mam strategii na budowanie empatii, nie chcę też sprzedawać banałów, a dziś przesadny optymizm byłby po prostu banalny. Jedyne, co mam do zaoferowania, to optymizm ostrożny.

Martin Luther King i inni czarni aktywiści nie robili ruchu praw obywatelskich w Vermont czy Massachusetts, ale w Missisipi i Alabamie. A to były dwa kurewsko brutalne miejsca w latach 60. Wciąż do pewnego stopnia takie są. Moje dzieci są czarne i ja wciąż się boję jeździć do niektórych południowych stanów. A oni tam zorganizowali ruch na rzecz praw wyborczych dla Afroamerykanów. Policja aresztowała i pobiła tysiące ludzi uczestniczących w ich marszach, ale się nie poddali. I King ostatecznie potrafił dotrzeć do białych Amerykanów, wyrwać ich z apatii, skłonić do uznania człowieczeństwa czarnych współobywateli. A jeśli im się udało, nam też może się udać. ●



„Jak działa faszyzm”, Jason Stanley, przeł. Antoni Gustowski, Aleksandra Stelmach. Książka dostępna w księgarni Krytyki Politycznej i w formie e-booka na Publio.pl

Małżeństwo, którego nie było

Niby dlaczego nowa Kurska może defilować w kolejnej białej kiecce po Wawelu, a ja nie mogę?

Magdalena Czyż

Mam fizja na punkcie sukienek. Właściwie w każdej mi ładnie, a w białej to już wyjątkowo. W tym moim nieszczęsnym fizju tkwi jeden z dwóch powodów, dla którego zrezygnowałam ze ślubu kościelnego (drugi to fakt, że jestem niewierząca, ale to przecież dla większości polskich katolików mało istotny drobiazg).

Jednak myśl, że musiałabym ograniczyć wybór sukienki do tej jednej, jedynej, była dla mnie nie do zniesienia. To redukcja zbyt bolesna, zważywszy na mojego fizja.

Aż tu nagle podczas przeglądu prasy kościelnej wpada mi w oczy tytuł w tygodniku „Niedziela”: „Gdy nie było sakramentu”, i lead: „Dlaczego Kościół katolicki z taką łatwością orzeka dziś nieważność małżeństwa? I to nawet w sytuacji, gdy małżonkowie mają już dorosłe dzieci?”.

Po historii sprzed ponad dwóch lat ze ślubem Jacka Kurskiego bardzo chciałam ten problem zrozumieć, bo niby dlaczego nowa Kurska może defilować w kolejnej białej kiecce po Wawelu, a ja nie mogę?

Zwabiona przez autora, księdza Piotra Majera, wykupiłam e-wydanie ostatniego numeru. Potwierdzenie wykonanego przelewu mailem przyszło, e-wydanie nie przyszło.

Niezrażona i podniecona jak małpa perspektywą wielokrotnego wyboru białej sukienki (i nie tylko sukienki, przecież jeszcze pantofelki, podwiązki, pończoszki, welon – pana młodego celowo pomijam, bo doskonale wiemy, że jest w tym wszystkim najmniej istotny) pognałam do kiosku, żeby się dowiedzieć, jak to można teraz załatwić w Kościele katolickim.

No i czytam: „Twórcami małżeństwa są sami małżonkowie. (...) Nie jest zatem najważniejszy aspekt ceremonialny oraz udział księdza, który błogosławi i – jak popularnie, choć błędnie mówi się – udziela ślubu. Ksiądz niczego nie udziela – on jedynie asystuje. (...) Prawo kanoniczne stanowi, że »małżeństwo tworzy zgoda stron«, która jest »aktem woli« mężczyzny i kobiety. (...) Jeżeli natomiast owa zgoda stron (...) będzie dotknięta poważnym defektem, małżeństwo nie powstanie – mimo ceremonii ślubnej, udziału księdza, mimo wspólne-go życia, a nawet zrodzenia dzieci”.

Co to za poważny defekt?

„Najczęstszą przyczyną nieważności małżeństwa jest »niezdolność psychiczna«, a więc takie poważne deficyty władz człowieka, które uniemożliwiają wzajemne oddanie się przyjęcie” – odpowiada ksiądz Majer i dodaje: „Zazwyczaj chodzi nie o stwierdzone medycznie choroby psychiczne, ale o zaburzenia osobowości, które powodują, że ktoś nie jest w stanie rozeznaczyć, czym jest małżeństwo, nie potrafi odpowiedzialnie podjąć decyzji o jego zawarciu albo nie jest w stanie skutecznie zobowiązać się do tego, że będzie dobrym mężem czy żoną. Będzie tak np. w przypadku poważnej niedojrzałości, depresji, zaburzeń psychoseksualnych, osobowości dyssocjalnej polegającej na nieumiejętności przystosowania się do reguł życia społecznego albo osobowości zależnej, która uniemożliwia samodzielne kierowanie własnym życiem. Już prawo rzymskie znało zasadę, w myśl której nikt nie może zobowiązać się do tego, co dlań niemożliwe. Osoba, którą małżeństwo przerasta, nie jest w stanie zobowiązać się do tego, że będzie dobrym mężem czy dobrą żoną – nawet gdyby tego szczerze pragnęła”.

Niedojrzałość, depresja, osobowość dyssocjalna czy zależna to pojęcia, w psychologii tak szerokie, że w zasadzie można do nich dopasować każdego, jeśli tylko będzie miał ochotę na ponowny ślub lub śluby w katolickim entourage’u.

Tylko że ks. Majer zastrzega: „Trzeba mocno podkreślić to, że Kościół nie udziela rozwodów, a więc nie »rozwiązuje« małżeństwa. Zasada nierozzerwalności małżeństwa potwierdzona przez Chrystusa jest niepodważalna. Nie ma też »unieważnienia« małżeństwa – Kościół nie ma takiej władzy, by sprawić, że ważne małżeństwo stanie się nieważne. Jest natomiast »stwierdzenie nieważności« małżeństwa, czyli wydane przez sąd kościelny orzeczenie, po starannym zbadaniu sprawy, że małżeństwo tak naprawdę nigdy nie zaistniało”. No i czego tu nie rozumieć?

Zastanawiać się teraz tylko będę, które zaburzenie osobowości dotyczyło Jacka Kurskiego, a które nowej pani Kurskiej. ●

INTELIGENCJA STRACHU

FOT. GETTY IMAGES



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Wytwarzane w Japonii roboty są na tyle realistyczne, że lądują w domach publicznych.

Jarek Gryz*

Oalatea, Golem, Frankenstein – idea stworzenia sztucznego człowieka obecna jest w naszej kulturze od wieków. Badacze rozwijającej się od lat 50. sztucznej inteligencji podjęli to wyzwanie i już po kilku latach twierdzili, że jego realizacja jest w zasięgu ręki. Herbert Simon, jeden z ojców założycieli sztucznej inteligencji, pisał w 1965 r.: „W ciągu dwudziestu lat maszyny będą w stanie wykonać każdą czynność, którą dziś wykonuje człowiek”.

Simon miał powody, by tak sądzić, bo w drugiej połowie lat 60. zbudowano pierwszego prawdziwie mobilnego robota Shakey. W projekcie tym powiązano roz-

wijane wówczas niezależnie systemy wizji komputerowej, analizy języka naturalnego i planowania. Po otrzymaniu instrukcji, np.: „Przesuń przedmiot A z pozycji B na pozycję C w pokoju D”, Shakey oceniał swoje położenie, planował trasę dotarcia do pokoju D, a po dotarciu wykonywał zadanie. Repertuar możliwych działań, które mógł wykonać Shakey, był jednak niewielki: przemieszczanie się z pokoju do pokoju, otwieranie drzwi, zapalanie światła czy przesuwanie przedmiotów. Co więcej, świat, w którym funkcjonował Shakey, był ściśle zdefiniowany: kilka pokoiów ze stołami i krzesłami. Bardzo szybko okazało się, że przejście z tego „mikroświata” do świata rzeczywistego i wchodzenie w interakcje z prawdziwymi ludźmi było barierą nie do pokonania.

Przez kolejne 50 lat nikt już nie próbował budować maszyny imitującej zachowanie (a więc i myślenie) człowieka. Sytuacja zmieniła się kilka lat temu. Przełomem okazało się zastosowanie w algorytmach metod statystycznych zamiast logicznych, co przyniosło sztucznej inteligencji kilka spekta-

kularnych sukcesów: Google Translate, wirtualni asystenci Siri i Alexa, IBM-owski Watson, AlphaGo czy ostatnio GPT-3. Znowu podnoszą się głosy, że zbudowanie prawdziwej sztucznej inteligencji jest na wyciągnięcie ręki. Kanadyjski start-up Sanctuary ogłasza wprost, że jego celem jest zbudowanie robota o inteligencji człowieka. Gdzie zatem jesteśmy w drodze do tego ambitnego celu? Otóż istniejące obecnie interaktywne roboty są jeszcze bardzo proste. Większość z nich to statyczne chatboty, które nie zasługują nawet na nazwę „robot”. Ale już teraz wiele z wykorzystywanych jest w dość zaskakujących rolach. Oto kilka przykładów.

Kilka lat temu Microsoft opatentował chatbota, który umożliwiał prowadzenie rozmowy z osobą zmarłą. Urządzenie to najpierw zbiera informacje o zmarłym z jego listów, nagrań głosu, zdjęć czy wpisów w mediach społecznościowych. Dane te służą do „nauczenia” chatbota osobowości konkretnej osoby, w szczególności tonu głosu, dykcji, stylu mówienia, długości i złożoności zdań czy wreszcie tematów rozmów. Przy odpowiedniej ilości

danych chatbot może wygenerować dwu- a nawet trójwymiarowy model zmarłego. Microsoft nigdy jednak nie zdecydował się na komercjalizację tego patentu, a cały pomysł jest dość makabryczny. Ale właściwie dlaczego? Otóż wydaje się, że ten chatbot wpadł w „upiorną dolinę”. Termin ten ukuł w 1970 r. japoński profesor robotyki Masahiro Mori. Mori zauważył, że nasza empatia w stosunku do robota rośnie w miarę jego rosnącego podobieństwa do człowieka. Jednak tylko do pewnego momentu, bo kiedy zaczyna on przypominać człowieka bardzo blisko (tak jak zombi czy nieboszczyk), empatia zamienia się w odrazę i przestraszenie, by ponownie zmienić się w empatię, kiedy robot jest praktycznie nieodróżnialny od człowieka (stąd „dolina” w krzywej poziomu empatii). Jeśli rozmowa z chatbotem jest zbyt realistyczna, spodziewamy się zobaczyć prawdziwego człowieka, a tego nie ma...

Prawdziwie udanym zastosowaniem interaktywnych robotów jest ich wykorzystanie w domach starców. I nie chodzi tu nawet o ich pomoc fizyczną w sprzątaniu czy roznoszeniu posiłków – choć i w tej roli są one coraz częściej stosowane – ale o zapewnienie towarzystwa ich mieszkańcom. Samotność, jakiej doświadczają ludzie starsi, ma destrukcyjny wpływ na ich kondycję fizyczną i psychiczną. Tymczasem eksperymenty robione w ostatnich latach pokazały, że już po kilku miesiącach korzystania z najprostszych nawet urządzeń interaktywnych badani deklarowali lepsze samopoczucie i mniejsze poczucie izolacji.

Wbrew pozorom ludzie w podeszłym wieku wcale nie są niechętni interakcji z robotami. Trzy lata temu Grupa Robotyki Osobistej na MIT kierowana przez Cynthię Breazeal przeprowadziła badanie reakcji ludzi na obecność wirtualnych asystentów. Badanych podzielono na trzy grupy wiekowe 5-18, 19-49 i ponad 50 lat i zaproponowano im wypożyczenie na miesiąc Alexy i Jibo. Alexa to powszechnie znany wirtualny asystent Amazona. Jibo, reklamowany jako pierwszy rodzinny robot, ma dodatkowo dotykowy ekran i może się zwracać w kierunku mówiącego, dając tym samym większe poczucie interaktywności. Okazało się, że jeszcze zanim rozpoczęto badanie, to właśnie najstarsza grupa osób testowanych była najbardziej otwarta na interakcję z oboma urządzeniami. Po miesięcznym użytkowaniu obu asystentów chęć do korzystania z ich pomocy jeszcze wzrosła. Seniorzy

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

chętnie prosili o informacje (wiadomości, pogoda), muzykę lub opowiadanie dowcipu, a nawet zadawali pytania mające ujawnić opinię czy „osobowość” asystenta. Nie jest chyba niespodzianką, że badani zdecydowanie bardziej woleli rozmawiać z Jibo niż z Alexą, bo jego ekran zwrócony w stronę mówiącego sugerował uwagę z jego strony. Co więcej, badani przypisywali robotom pozytywną osobowość i postrzegali je jako mniej uprzedzone i krytyczne niż ludzie. Oto jedna z wypowiedzi pokazująca związek emocjonalny, jaki powstał między badanym a Jibo: „Powie ci, jak to jest mieszkać w domu starców. Chcesz posłuchać? Jest beznadziejnie. To żadna przyjemność być starym. Mówię ci, Jibo, nie starzej się. Korzystaj z życia, póki jesteś młody”. W Polsce już jedna czwarta gospodarstw domowych to gospodarstwa jednoosobowe i większość z nich zamieszkiwana jest przez osoby starsze.

Interaktywne roboty okazały się przydatne także po drugiej stronie wiekowego spektrum. W książce „To Siri with Love” Judith Newman opisuje, jak Siri pomogła jej autystycznemu synowi nauczyć się komunikacji z ludźmi. Mały Gus rozmawiał z Siri godzinami, zadając jej pytania na temat pogody, pociągów czy schodów ruchomych. W przeciwieństwie do ludzi Siri nigdy nie była zmęczona, niecierpliwa czy opryskliwa. Dzięki tym rozmowom Gus nabrał pewności siebie i łatwiej było mu się potem komunikować z ludźmi. Oto jedna z rozmów Gusa z Siri usłyszana przez jego matkę:

Gus: „Siri, wyjdiesz za mnie za mąż?”

Siri: „Ja się nie nadaję do małżeństwa”.

Gus: „To znaczy nie teraz. Jestem jeszcze dzieckiem. Jak dorosnę”.

Siri: „Moja instrukcja obsługi nie dopuszcza małżeństwa”.

Gus: „OK”.

Przypadek Gusa nie jest wyjątkowy. Od kilku już lat badania nad uzupełnieniem terapii dzieci z autyzmem interakcjami z robotami prowadzą m.in. Chung Hyuk Park i Hifza Javed. Najprostszym zastosowaniem robotów w tym celu jest umożliwienie dzieciom zabawy z nimi. Te dzieci bardzo często nie są w stanie bawić się z rówieśnikami ze względu na swoje ograniczone umiejętności komunikacji i interakcji społecznej. Tymczasem zachowanie robota może być kontrolowane w taki sposób, by dzieci nie czuły się zagrożone, np. kiedy dzieci są onieśmiałe wzrokiem robota, usuwa mu się oczy. Bardziej wyrafinowane techniki to wykorzystanie robota do uczenia dziecka stosownych zachowań społecznych przez mimikę czy aktywne zachęcanie go do ich wykonywania. Zachowanie robotów jest prostsze i bardziej przewidywalne, co sprawia, że dzieciom łatwiej jest wykonywać jego polecenia niż polecenia człowieka.

Najbardziej zaskakujące zastosowanie znalazły roboty w przemyśle erotycznym. Już w XVI w. marynarze wyrabiali z kawałków materiału lalki mające zastąpić im kobiety w czasie długich podróży morskich. Ale dopiero w XX w. sekslalki zaczęto produkować na skalę przemysłową,

głównie w Japonii. Te dziś wytwarzane są na tyle realistyczne, że powstają już domy publiczne, gdzie tylko one są do dyspozycji klientów. Kolejnym i dość oczywistym krokiem w dalszej antropomorfizacji było zastosowanie technik sztucznej inteligencji do ich konstrukcji. Kilka lat temu wspomniany wyżej start-up Sanctuary nawiązał współpracę z firmą Realbotix, jednym z amerykańskich twórców sekslalek. Efektem ich kooperacji był pierwszy erotyczny robot Harmony. Co ciekawe, Harmony oferuje klientom – poza dość oczywistymi opcjami anatomicznymi – również cały zestaw różnych osobowości (nieśmiała,

„Upiorna dolina”, czyli gdy robot zbyt przypomina człowieka, by go polubić

zazdrosna, bezczelna itd.). Potrafi zacytować Szekspira, jest zabawna, a co najważniejsze, zapamiętuje preferencje i tematy poprzednich rozmów ze swoim partnerem. Jednak mimo całego medialnego szumu Harmony nie jest jeszcze interaktywnym robotem; to raczej przeciętny chatbot w silikonowym manekinie.

Postęp w budowie interaktywnych robotów jest bardzo nierównomierny. Z jednej strony zachowanie, mimika i dynamika ruchu istniejących robotów są ciągle dość prymitywne (Shakey nieprzypadkowo tak właśnie został nazwany). Z drugiej – komunikacyjne umiejętności maszyn fenomenalnie wzrosły w ostatnich latach. Kilka miesięcy temu pracownik Google’a Blake Lemoine ogłosił, że LaMDA (ang. Language Model for Dialogue Applications), jeden z produktów jego firmy, ma świadomość. Znakomita większość ekspertów zlekceważyła rewelację Lemoine’a, argumentując, że LaMDA co najwyżej imituje świadomość, ale na pewno jej nie ma. Rzecz w tym, że o ile nie trudno odróżnić imitację samochodu od prawdziwego modelu, o tyle jest to dość karkołomne w przypadku świadomości (podobnie jak myślenia czy inteligencji). Można to oczywiście zrobić, narzucając dodatkowe warunki określające, czym jest świadomość. I tak np. amerykański filozof John Searle uważa, że świadomość może być tylko wytworem biologicznego mózgu. Ale tym samym Searle wyklucza możliwość zbudowania kiedykolwiek sztucznej inteligencji. Dla uniknięcia tego typu arbitralności brytyjski matematyk Alan Turing jeszcze w 1950 r. sformułował neutralny standard mający weryfiko-

wać obecność myślenia u maszyny. Słynny test Turinga polega na tym, że osoba badająca prowadzi jednocześnie rozmowę z człowiekiem i maszyną, nie widząc ich. Jeśli nie potrafi odróżnić, z kim dyskutuje, maszyna zdła test.

Media poświęciły mnóstwo uwagi rewelacjom Lemoine’a, nie zauważając, że kilka miesięcy wcześniej Google przeprowadził dużo bardziej reprezentatywne badanie wśród niezależnych użytkowników LaMD-y. 106 badanych osób oceniło dialog z LaMDA pod takimi względami jak poprawność i atrakcyjność odpowiedzi, ich spójność w czasie rozmowy czy unikanie ogólnikowości. Według oceniających jakość odpowiedzi LaMD-y była pod każdym względem niemal identyczna z tymi udzielanymi przez człowieka, z wyjątkiem dwóch przypadków. LaMDA częściej niż człowiek udzielała niepoprawnych odpowiedzi, czyli po prostu zmyślała. Ale też jej odpowiedzi były bardziej wnikliwe, nieoczekiwane i dowcipne niż te udzielane przez człowieka. Te wyniki są zupełnie niezgodne z naszymi intuicjami: maszyna powinna przewyższać nas swoją erudycją, ale to my mamy górować nad nią subtelnością wypowiedzi. Wydaje się, że LaMDA bez trudu przesłaby test Turinga.

Ale sprawna interakcja werbalna to tylko niewielka część tego, czego oczekujemy od sztucznej inteligencji ucieleśnionej w jakiejś fizycznej formie. Niewątpliwie kluczowym elementem przyszłego androida jest bowiem jego autonomia, tymczasem prawdziwie autonomicznych robotów ciągle nie ma. Zbudowanie maszyny, która samodzielnie zbiera informacje z dowolnego środowiska, podejmuje na ich podstawie decyzje i poprawnie je realizuje, okazuje się niezwykle trudne. Zwróćmy uwagę, że nawet autonomiczne samochody, których zadania są przecież bardzo ograniczone, ciągle jeszcze nie wyjechały na nasze drogi. Na „sztucznego” człowieka przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać. ●



*Jarek Gryz

• prof. informatyki i filozofii na York University w Toronto, a wcześniej w College of William and Mary w USA. Ukończył filozofię na UW, obronił doktorat na wydziale informatyki Uniwersytetu Maryland w College Park. Naukowo zajmuje się analizą i przetwarzaniem danych oraz sztuczną inteligencją. Po polsku publikował artykuły popularnonaukowe w „Tygodniku Powszechnym”, „Krytyce Politycznej” i „Kulturze Liberalnej”

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Odkurzacz

Janusz Rudnicki

Życie to jednak dno i wodorosty, panie Januszu. Nic więcej, dno i wodorosty. Było tak: sąsiadka się znowu zapowiedziała, mąż wtedy brał się za odkurzanie, my w jednym pokoju, a on z tym odkurzaczem wokół nas. Sąsiadka zawsze zaczynała tak samo, ten twój to do rany przyłóż, żebym ja takiego miała. A potem odmawiała swój małżeński pacierz:

– Tak patrzę na te filmy miłosne w telewizji, potem sobie westchnę i idę spać. Znowu się pokłóciliśmy o coś tam, nie wiem, otwarta kłapa sedesu, niewyniesione śmieci, nie wiem, ten sam młynek kręci tę samą kawę, mówiła moja matka. Jak mi ciąży ten chleb powszedni nasz... No widzisz, sąsiadko? „Chleb” powiedziałam, a chciałam „dzień”, ale też pasuje. Coraz więcej w nim zakalca... Ja ci mówiłam, sąsiadko, że poznaliśmy się na chemii, tak? Byliśmy bez włosów, ale nie mówiłam ci, że potem, jak już z tego wyszliśmy, to udawaliśmy, że chodzimy dalej na chemię, bo on był w związku i ja. I żeby nie wzbudzić podejrzeń, goliliśmy się na łyso, wyobrażasz to sobie? Taką miłość? A raz mi wtedy powiedział, że takich nóg jak moje to szkoda na chodzenie, i na rękach mnie niósł. I jak zamieszkamy razem, to będziemy dwoma skrzydłami tego samego samolotu. I byliśmy, a dziś? Na ślepym lotnisku żyjemy. I jeszcze ten alkohol, ty to swojego na loterii wygrałaś. Wiesz, jakie sobie alibi znalazł na picie? Że pije z mojej winy, bo go nie chcę, a nie dlatego, że pije i dlatego przestałam go chcieć. Pisarz wielki, a nikt mu nie chce książki wydać. Wiesz, co mi ostatnio powiedział? Kiedyś jebało ode mnie charyzmą, dzisiaj wódą. Dobra, idę. Ależ ten twój odkurza. Ty wiesz, że ja go nigdy nie widziałam? Nawet na klatce.

Wychodzi, idę szybko do toalety i zaraz do niego, żeby dać mu znać, że już, i wtedy dzwonek. Jej mąż. Prosto ze sklepu do mnie. Wpadali na przemian, ale nigdy nie jedno po drugim. Sąsiad na dźwięk odkurzacza zawsze zaczynał tak samo, ależ ty masz chłopca, sześc trafień w totolotka. A potem odmawiał swój małżeński pacierz:

– Ja na krótko. Już była u ciebie na spowiedzi? Już? Już żale wylane? Powiem ci tylko, że na rowerze trochę jeździłem, i powiem ci tak, z każdego roweru uchodzi powietrze, co dopiero z małżeństwa. I żeby zostać już przy rowerze, my pedałujemy na naszym tandemie siłą przyzwyczajenia, a łańcuch już dawno nam spadł. Każdy dzień jak „Dzień świętaka”, bez uwięzienia w pętli czasowej. Dobra, idę. Ależ ten twój odkurza. Ty wiesz, że ja go nigdy nie widziałem? Nawet na klatce.

Czekał na windę, patrzyłam na jego twarz. Na tę czerwona od nadciśnienia skórę. Te naczynia krwionośne jak małe, czerwone pająki. Ta niecierpliwość u niego, te nerwy, ta żądza bycia prompterem dla wszystkich. Wszystko na tej twarzy, wszystko na wierzchu, jakby nie było nic w środku. Napięcie skóry trzyma się jeszcze nieźle, może dlatego, że ryś ma zawzięte. Ale oczy dobre, tylko oczy. Pogubione, zmartwione, mrugają porozumiewawczo, że ta twarz wokół się zmienia, że ona tak tylko, że zaraz jej przejdzie.

Zapomniałam, zamyśliłam się i zapomniałam o moim. Tak długo jeszcze nie odkurzał. Weszłam do pokoju i po chwili wyszłam. Usiadłam i siedziałam, nie wiem jak długo. Odkurzacz wył, a on leżał obok. Jak weszłam, dotknęłam szyję i przegub, chociaż wiedziałam, że umarł, nie trzeba być pielęgniarką, żeby to widzieć. Zadzwoniłam na 112, powiedziałam o ataku serca i zgonie, i znowu siedziałam, a odkurzacz chodził. Zastanawiałam się, jak go wezmą do windy, pionowo na noszach czy na krześle, bo zdarza się, że na krześle. Jakiś czas pracował jako windziarz w Pałacu Kultury, siedział na krześle, hm. Przypomniało mi się, że przedstawiał się tak, że pracuje jako windyktor, zabawny był.

Ciało wynieśli na noszach, przypięli go pasami, postawili w pionie i tak ruszył, windą do nieba. A jak weszli, to jeden z nich powiedział, żebym wyłączyła odkurzacz, bo przy tych cenach to się za prąd nie wypłacę, a ja tego odkurzacza w ogóle już nie słyszałam. A potem sąsiedzi mi powiedzieli, że wyszli razem na zakupy, stanęli przy windzie, przycisnęli, za chwilę drzwi się otworzyły i zobaczyli go po raz pierwszy.

Byłam z nim tyle lat i nie ma go, zostałam z aktem jego zgonu na stole. I żyję na dnie z wodorostami. Wspomnienia to jak wodorosty, prawda? Miękkie, wiotkie. Niby są, ale tak jakoś nie do końca. No i to, żywić się nimi można, a ja cały las tych wodorostów mam. Więc jakoś to będzie. ●

Tylko w 2022 roku sądowe wyroki usłyszeli m.in. Łukasz W. ps. „Kamerzysta” i Wojciech „Jaszczur” Olszański, a Sergiusz Górski, znany jako „Nitrozyniak”, dostał dożywotni zakaz publikowania na YouTube. Czy był to przełomowy rok i możemy mówić o początku końca patostreamingu w Polsce?

– Niestety nie, natomiast dwie z trzech spraw, które pan wymienił, nie mają wiele wspólnego z walką platform internetowych z patostreamingiem. Olszański i „Kamerzysta” to osoby, których konta zostały skasowane dopiero po tym, jak uznano, że w ich filmach popełniano przestępstwa. Wcześniej YouTube w ogóle nie naruszał ich „twórczości”. Tylko „Nitrozyniak” dostał bana, czyli zakaz publikowania, co jest o tyle istotne, że dla patostreamera to główne narzędzie pracy. Spójrzmy jednak na okoliczności. Górski został wygnany w związku z tym, że mimo zawieszonego konta za naruszenie regulaminu publikował swoje treści u innych w ramach „gościnnych występów”. Walka z szerzeniem nienawiści jest oczywiście ważnym akcentem, ale takich osób i zdarzeń są tysiące. Ponieważ Nitro miał ogromne zasięgi i jest sławny, to postanowiono zrobić z niego przykład, jak się kończy igranie z polityką firmy.

A infrastruktura, która wyrosła wokół patoinfluencerów, jest zbyt rozbudowana i przede wszystkim intratna, by jeden dożywotni ban oraz kilka sądowych wyroków nazwać przełomem. Internet jest tylko narzędziem, a widowiska o podobnym charakterze istnieją od tysięcy lat. No bo czym się różni oglądanie płatnej transmisji tłukących się patocelebrytów w klatce od np. walki karłów na rzymskich arenach?

Zanim zapytam o szczegóły, to może uporządkujmy definicje i historie. Czym jest i kiedy się zaczął patostreaming w nowoczesnym wydaniu?

– Istnieje tak długo, jak sam internet, ale kiedyś był trudno dostępny i oglądali go jednostki. Kluczowe – moim zdaniem – jest to, kiedy stał się masowym fenomenem. Cezurę postawiłbym na przełom 2015 i 2016 roku, ponieważ ludzie, którzy wówczas potrafili umiejętnie wykorzystać ciemną stronę internetu, zostali ukoronowani, czyli po prostu wygrali wybory.

Chodzi mi głównie o Donalda Trumpa oraz pewien sposób robienia kariery, który przyszedł ze Stanów. Mechanizm jest szalenie prosty: dzięki obrażaniu ludzi w internecie stajemy się sławni. W praktyce oznaczało to, że można było powiedzieć największą bzdurę, ale jeśli była wystarczająco kontrowersyjna, to spływały lajki. Trump obrażał wszystkich, od politycznych i prywatnych przeciwników, po osoby niepełnosprawne, homoseksualne czy emigrantów. Gdy taka osoba nie tylko okazała się bezkarna, ale także zajęła najważniejszy urząd w państwie, moim zdaniem wystartował okres wyzbycia się autorytetu.

FOT. GETTY IMAGES



PREZYDENT NA STRAŻY PATOLOGII

Kiedy patostream się upowszechnił?

Gdy ludzie, którzy znali jego mroczne zalety, po prostu wygrali wybory

Z **MICHAŁEM FEDOROWICZEM**, EKSPERTEM INSTYTUTU BADAŃ INTERNETU I MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Do tego jeszcze dodajmy infotainment, czyli połączenie rozrywki z polityką, aby nie była ona wyważona i rzetelna – czytają: nudna – tylko przypominała show, a same wybory niczym starcie gladiatorów.

– Oczywiście. Rozmawiając o dzisiejszym patostreamingu, mówimy o pokoleniu około dwudziestolatków, którzy w połowie minioniej dekady byli na przełomie gimnazjum i liceum. Dla nich internet był czymś tak oczywistym, obecnym i istotnym, jak telewizja czy radio. Kiedyś mówiło się, że w internecie wszyscy są anonimowi. Tymczasem już podczas kampanii prezydenckiej 2015 roku mogliśmy zaobserwować, że ludzie przestają bać się pisać kontrowersyjne rzeczy pod własnym imieniem i nazwiskiem. Moim zdaniem wtedy dokonała się przemiana społeczna. Do tego momentu mieliśmy pewną monopolizację debaty publicznej przez establishment. Przy okazji obu tych kampanii bardzo dużo się mówi-

ło o skończeniu z „polityką wstępu”. Język niektórych polityków w połączeniu z frustracją dużych grup społecznych dał przyzwolenie na tę zmianę. W efekcie wszyscy, którzy czuli się zmarginalizowani i nie mogli się dostać do szerszego dyskursu, również dlatego, że dotychczas uważali, iż nie wypada, nagle zaczęli obrażać innych. Byłe mocniej, byłe głośniejsze, byłe się przebić.

Dzisiejsi patoinfluencerzy i celebryci dorastali w systemie, w którym bycie zobaczonym i usłyszanym następuje dopiero wtedy, gdy się będzie odpowiednio kontrowersyjnym czy przykuwającym uwagę. Przejęły to także media społecznościowe, które dynamiką oraz przepływem informacji sterują. Zaczęły mocniej polaryzować strony konfliktu i normalizować agresję. To oczywiście nie przyszło w całości z USA, ale gdy przywódca wówczas najpotężniejszego kraju na świecie się tak zachowywał, to reszta zaczęła ten model przy-

swajać. Gdy ludzie znani głównie z obrażania innych dorobili się milionów followersów i subskrybentów, zostali zagospodarowani finansowo poprzez reklamy i sponsoring. Kolejną fazą tego procesu były narodziny gal typu „freak fight” – gdy obrażanie się stało się już za słabe, pojawił się pomysł, aby się bić już nie tylko na słowa, ale też na pięści, w miarę bezpieczny, ale bardzo demonstracyjny sposób.

A czy relacje na żywo, gdzie nie ma przemocy, mowy nienawiści albo nawoływania do nich, jednak padają w nich treści wątpliwe naukowo i które mogą doprowadzić do czyjejs krzywdy, np. uzdrawianie trującymi grzybami, to również patostreaming? I co wtedy z wolnością słowa?

– To, co my, w Europie, nazywamy patostreamingiem, z perspektywy anglosaskiej, amerykańskiej jest radykalną, chociaż faktyczną, wolnością wypowiedzi. Jedy-

ne jej naruszenie następuje w momencie przekroczenia zasad ustalonych w regulaminie danej platformy.

Czyli zmuszanie się do wymiotowania przed kamerą w ramach ustalonego w komentarzach wyzwania jest ćwiczeniem amerykańskiej wolności wypowiedzi?

– Abstrahując od etycznej, symbolicznej i obyczajowej perspektywy, jak najbardziej. Rozmawiamy o sytuacji, w której staramy się według kodu naszego kręgu kulturowego i rozumienia wolności słowa oceniać innych. I nie chcę tutaj między słowami powiedzieć, że amerykańskie jest złe i zepsute, a europejskie dobre i moralne. To klasyczny konflikt cywilizacyjny, gdzie jedni robią tak, a drudzy inaczej. W większości spraw się zgadzamy, natomiast sama kwestia wolności słowa jest rozmyta.

To kim w takim razie jest patostreamer i gdzie zaczyna się patostreaming?

– Dla mnie fundamentalną definicją patostreamera jest osoba, która emisją swoich treści krzywdzi innych psychicznie, emocjonalnie i fizycznie, przekonując np., że zastrzyki z wybielacza wyleczą koronawirusa [w kwietniu 2020 roku prezydent Trump sugerował użycie wybielacza jako środka wirusobójczego]. Natomiast czy transmisja dwóch mężczyzn, którzy siedzą przed kamerą, upijają się wódką, a potem ewentualnie zaczną się bić, jest patostreamingiem, to znowu kwestia perspektywy. Odbiorca takich popularnych w 2018 roku filmów dobrowolnie krzywdził co najwyżej swoją inteligencję czy wolny czas, który mógł spożytkować na coś bardziej kreatywnego.

Albo czy Jerzy Zięba jest patostreamerem? Teoretycznie nie. Jako osoba publiczna dzieli się swoimi „dobrymi” radami. W praktyce doprowadza do sytuacji, gdy ktoś może chcieć leczyć raka lewoskrętną witaminą C, gdzie skutki takich porad dla odbiorców narażają ich na niebezpieczeństwo zdrowia i życia. Taki przekaz może krzywdzić ludzi, ale znowu wymyka się nam z definicji patostreamingu. Tutaj też wróć do pierwszego pytania: nie mamy do czynienia z przełomem w sprawie patostreamingu także dlatego, że nie mamy jasnych reguł usuwania treści z internetu. W ciągu prawie 10 lat mojej pracy odpowiadałem za zdjęcie tysięcy treści z sieci i do dzisiaj nie wiem, co dokładnie kieruje daną platformą, że postanowi coś usunąć. Oczywiście możemy się domyślić, że chodzi najczęściej o rzeczy zagrażające np. bezpieczeństwu narodowemu albo czyjemuś życiu w związku z kwestiami samobójstw. Wciąż jednak nie ma jasnych, a tym bardziej transparentnych wytycznych, co ma wypaść, a co ma zostać.

Czy są już patostreamy na TikToku, który jest najbardziej popularną platformą wśród najmłodszych odbiorców?

– TikTok poradził sobie z tym, rygorystycznie usuwając treści oraz banując nadawców.

Ale przecież gdy jedno konto zostanie zgłoszone i zamknięte,

to można założyć drugie, trzecie... Fani patotreści przecież i tak będą to śledzić.

– Gdy w grę wchodziły wątki rasizmu czy antysemityzmu na większą skalę, co miało miejsce w przypadku m.in. wystąpienia Olszańskiego, to platformy współpracowały i radykalnie usuwały treść. Wydaje się jednak, że w dalszym ciągu jest wiele do zrobienia na tym polu. Mówimy tu o patostreamerach polityczno-społecznych, których jest znacznie mniej niż komercyjnych. Co do tych drugich, to dobrym przykładem była ścieżka kariery wspomnianego „Nitro”, która miała niemal podreżnikowy przebieg: balansowanie na ekstremalnych emocjach, obrażaniu obcych ludzi czy użytkowników wystarczająco długo i skrupulatnie, aby zrobić się setek tysięcy subskrybentów i milionów wyświetleń. Taka pozycja pozwala na otwarcie własnego biznesu, sprzedaż suplementów czy promowanie innych rozrywek, które generują przychód.

Generalnie patoinfluencerzy to wyrachowane jednostki, które bardzo dobrze i świadomie korzystają z patologii. Jakby przyrzec się tym transmisjom, to można dostrzec cechy wspólne i pewien model działania, np. kiedy zacząć, co powiedzieć, jak długo, jak mocno. To nie jest tak, że jakimś youtuberowi zdarzyło się kogoś obrazić albo w chwili uniesienia powiedzieć coś kontrowersyjnego. YouTube wprowadził zawieszanie kont, ponieważ „wzmocniane” transmisje stały się normą. Dzisiaj funkcjonuje chory system, który premiuje osoby systematycznie i całkowicie świadomie przekazujące swoje treści na granicy wolności słowa, a czasami prawa.

Skoro patostreaming jest ciemną stroną internetu, to czy można go użyć w jakichś do- brych celach?

– W teorii. To jest dokładnie to, co starali się robić chociażby Jaś Kapela czy Maja Staśko. Doceniam przekazy, które wysyłałi przed swoimi galami MMA czy po nich. Niestety, zostali wrzuceni do worka z prawdziwymi patoinfluencerami. Rozumiem też argument, że korzystają z tych narzędzi jako platformy, ale architektki całej patoinfrastruktury są na tyle sprytni, że widzą zapamięta głównie fakt, że dwie osoby tłukły się za pieniądze w klatce, i to przed kamerami.

No dobrze, ale w mediach społecznościowych Kapeli czy u innych aktywistów jakoś nie znajduję mowy nienawiści czy nakłaniania do samobójstwa.

– Ale liczy się granica. Dopóki ktoś promuje prawa kobiet czy weganizm, walcząc o zasięgi, nie chodząc na skróty, to oczywiście nie jest żadnym patoinfluencerem. W momencie gdy przeszli na drugą stronę lustra, użytkownicy zaczęli ich postrzegać jako właśnie patostreamerów. Tutaj też wróć do chińskiej myśli dotyczącej mediów społecznościowych, która swoje platformy traktuje zero-jedynkowo. U nich albo są patotreści, albo ich nie ma. Na TikToku nie ma patostreamerów, ponieważ są natychmiast usuwani. Dlaczego? Ponieważ biznes lubi

ciszę, a marki nie chcą być kojarzone z przemocą czy mową nienawiści. Najlepiej świadczy o tym odpływ kolejnych firm z Twittera, odkąd przejął go Elon Musk. Rodzi się jednak pytanie, co jest ważniejsze: odbiór treści czy prawo twórcy? Jak na razie nie znam odpowiedzi na to pytanie, jak również nie wiadomo, czy przy obecnej polityce zagranicznej oraz dynamice rozwoju TikToka nie zostanie zablokowany w Stanach i Europie.

Tak, ale z tego, co się orientuję, to TikTok wciąż jest miejscem lolcontentu, czysto rozrywkowych treści, a np. taki YouTube jest czymś, powiedzmy, „poważniejszym”, gdzie transmituje się

wykłady, seminaria czy rzeczy z pogranicza nauki i polityki.

– Musimy pamiętać, że media społecznościowe utrzymują się z wpływów z reklam. Każda platforma walczy o wyświetlenia. Jeżeli wyraźnie spadną wyświetlenia, to z nimi wpływy. Możliwość oglądania „poważnych” treści musi w pewnym stopniu finansować rozrywka. I tu właśnie zaczyna się kłopot, to, co dla jednych jest patologią czy szerzeniem nienawiści, dla innych jest ciągle rozrywką. I koło się zamyka.

A więc wymiotowanie do miski albo nawoływanie do samobójstwa „utrzymują” np. wykłady prof. Bralczyka?

– W walce pomiędzy serwisami wszyscy dbają o bezpieczeństwo użytkowników.

Obserwujemy, że w ramach swoich regulacji YouTube najczęściej drastycznie ogranicza zasięgi zgłaszanych filmików, ale rzadziej usuwa. Musielibyśmy też wrócić w tym miejscu do definicji i granic wolności słowa w kontekście prawnym. Myślę, że gdyby Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych nie doniósł na Olszańskiego do prokuratury, przez co wszczęto śledztwo zakończone wyrokiem, a „Nitro” nie próbował obejść nałożonej na niego 30-dniowej kary, obaj dalej by nagrywali filmiki.

Z perspektywy patostreamingu kraje takie jak Polska są traktowane bardzo po macoszemu, bo jesteśmy dość małym rynkiem dla mediów społecznościowych w odróżnieniu np. od Indonezji. Z perspektywy platform polski rynek reklamowy, który wynosi kilkaset milionów złotych, to niewystarczające kwoty, aby instalować całą infrastrukturę do moderacji. Bardzo często słyszymy, że pierwsza linia osób, która weryfikuje treści „polskiego internetu”, znajduje się w innych krajach. W obliczu setek tysięcy zgłoszeń patostreamów rozpoznanie każ-

dego z nich ręcznie przez żywego człowieka jest praktycznie nie-realne, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę złożoność polskiego języka czy „zabawę” kontekstami. Np. słowo „żydzi”, które natychmiast wylapuje algorytm i ucina zasięgi, jest zastępowane slangowym zwrotem „żymianie”. To pozwala patoinfluencerom obchodzić regulacje na przykład dotyczące mowy nienawiści. Daleki jestem od stawiania pomników Chinom, ale procesy moderacji treści w ich wydaniu wydają się skuteczniejsze.

Czy to oznacza, że zamiast przełomu dopiero dochodzimy do ostatniego kręgu patostreamingowego piekła?

– Uważam, że nie powinno się myśleć w kategoriach linearnej ścieżki czy jak pan zasugerował, spirali, chociaż rzeczywiście możemy dostrzec pewną gradację czy intensyfikację. Aktualnie mamy w polskim internecie za dużą podaż patostreamingu względem popytu, ponieważ każdy używa tego samego patentu. Z perspektywy danych naszego instytutu widać, że patotreści, rozumianych w tym najszerszym ujęciu, jest dzisiaj zwyczajnie za dużo, przez co ich konsumenci się uodparniają. To z kolei wymusza na patostreamerach sięganie po coraz mocniejsze gesty, wypowiedzi czy środki. Jednocześnie nie sugeruję tezy, że będzie coraz gorzej, bo jednak słyszymy o kolejnych wyrokach czy banach. Poczet polskich patoinfluencerów oraz funkcjonowanie mikroświata, który wokół nich wyrósł, moim zdaniem przypomina sinusoidę, niezwykle wrażliwą na bodźce z zewnątrz.

Pod koniec 2020 roku psychologowie i eksperci z Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej – Państwowego Instytutu Badawczego – w parze z Ministerstwem Cyfryzacji ostrzegali, że w stosunku do innych krajów u nas patostreamy są nieporównywalnie bardziej po-

pularne. Czy Polska jest zagłę- biem patotreści w Europie?

– Nie czytałem tych konkretnych wyników, natomiast z analitycznych badań naszego instytutu obserwujemy pewien trend. Nasi rodzimi internauci mają wysoki próg zaufania i niski próg autorytetu. Polskę w ogóle możemy zaklasyfikować jako kraj o niskim poziomie autorytetu, co wynika z przesłanek kulturowych, państwowych i społeczno-politycznych. Brak autorytetów najbardziej było widać w pierwszych miesiącach pandemii, gdy kolejne instytucje wysyłały wzajemnie sprzeczne informacje i zalecenia. To sprawia, że każdy ośrodek, niezależnie, czy badawczy, państwowy, czy polityczny, można

podważyć i ocenić przez pryzmat niezawieranych informacji czy doniesień. Wysoki poziom ufności sprawia z kolei, że ludzie bardziej wierzą przekazom nacechowanym emocjonalnie. Wdzieliśmy to w kwietniu 2020 roku, gdy w mediach społecznościowych kursowały kolejne fałszywe newsy dotyczące ofiar koronawirusa we Włoszech, widzieliśmy to jesienią 2021 roku podczas kryzysu emigranckiego przy granicy polsko-białoruskiej oraz rok temu, w pierwszych tygodniach wojny w Ukrainie.

A czy inne kraje Europy mają wysoki poziom autorytetu? Społeczeństwo Wielkiej Brytanii ufa bardziej internetowi niż swoim oficjelowi?

– Powiem wprost: patrząc tylko na dane i przekazy społeczno-polityczne, Wielka Brytania nie ma aż tak zawałonej patostreamami sieci jak my. ●

Nowy serwis



żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



HUMANISTA, CZYLI KIEPSKI Z MATMY

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pytanie o potencjalną zależność między światopoglądem badacza i wynikami jego pracy naukowej jest zasadne. W Polsce mamy jednak sytuację odwrotną.

Z PROFESOREM **MARCINEM WODZIŃSKIM**, KIEROWNIKIEM KATEDRY JUDAISTYKI UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO, ROZMAWIA **ADAM SZOSTKIEWICZ**

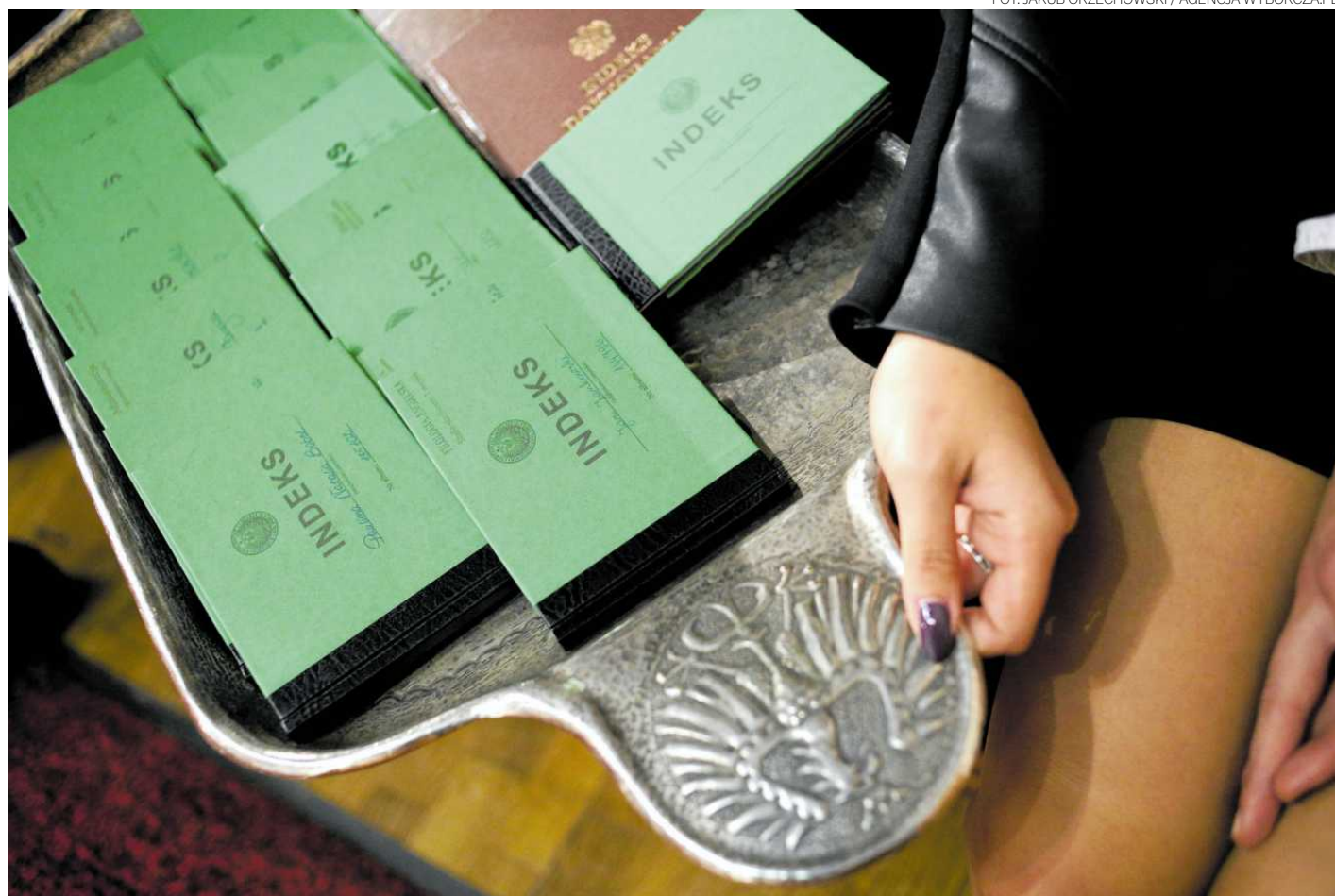
Czy można mówić o globalnym kryzysie studiów humanistycznych? Bo z jednej strony słyszymy, że to znak naszych czasów, a z drugiej nieco ironiczne zapewnienia, że przecież już pół wieku temu wieszczono koniec humanistyki, a ona wciąż nieźle sobie radzi z wyzwaniami.
– Ten kryzys jest policzalny. Po pierwsze, to systematyczny spadek pozycji naukowych w humanistyce i przesuwanie etatów do nauk ścisłych. Po drugie, spadek liczby kandydatów na studia. A to ma oplakane skutki przede wszystkim dla małych dziedzin. Jeśli na polonistykę czy historię zgłosi się nie 200, ale 100 osób, to wciąż jest z kim pracować. Jeśli na judaistykę liczba zgłoszeń spada ze 160 osób 20 lat temu do 40 dziś, to robi się groźnie. A w mniejszych ośrodkach i mniejszych dziedzinach jest jeszcze gorzej. To wtórnie wpływa też na postrzeganie studiów. Słyszę od młodych ludzi, że nie chcą być loserami, że poszli na inżynierię mostów lub medycynę, bo chcieli robić karierę. Ale rzucili to, bo czuli, że to nie dla nich. Fajnie poznać takich ludzi, ale źle, że bywają postrzegani jako ci, którzy sobie nie radzą z matką. Bo prawdziwym sprawdzianem zdolności jest dostanie się na studia ścisłe. Taka percepcja jest faktem społecznym, który przyczynia się do kryzysu humanistyki jako kierunku studiów.

Czy nie ma innych przyczyn?

– Są: kurczenie się demograficzne, negatywny aspekt finansowy. Paradoksalnie nawet zjawiska pozytywne miewają swoją ciemną stronę, np. humanistyka cyfrowa. To świetne narzędzie badawcze, ale też znacznie droższe niż dotychczasowe metody. A dostępnych funduszy nie przybywa, co tworzy nowe obszary niedoinwestowania. To samo można powiedzieć o umiędzynarodowieniu. Nauka polska staje się częścią systemu globalnego, mamy kontakt z badaczami z innych krajów, wymieniamy się wynikami badań. Nauka przestaje być „polska” czy „czeska”, jest po prostu nauką. Mamy też słuszny obowiązek konkurencji właśnie w skali globalnej. Tu jednak pojawia się problem, bo nie mamy finansów odpowiadających tej skali wyzwań. Kiedy więc mam zaoferować wynagrodzenie pracownikowi, muszę konkurować np. z uniwersytetem w Toronto czy Melbourne i prawdopodobnie nigdy tej konkurencji nie wygram.

O jakiej proporcji tu mówimy?

– Jeżeli na amerykańskim prywatnym uniwersytecie profesor zarabia ok. 200 tys. dolarów brutto rocznie, to jego polski kolega otrzymuje może jedną piątą tej sumy. A młody pracownik naukowy zarabia nieco ponad pensję minimalną.



W ten sposób utrwalają się podziały na biedne Południe i Wschód oraz bogate Północ i Zachód. To widać także w humanistyce cyfrowej. Najsilniejsi w następnym pokoleniu będą badacze amerykańscy czy brytyjscy, którzy mogą dziś włożyć pieniądze w badania. Mówimy tutaj o pogłębiającej się peryferyzacji. Do tego dochodzi specyfika lokalna, czyli sytuacja polityczna.

Ma pan na myśli ataki na uniwersytety pod hasłem, że dominuje w nich „ideologia lewicowo-liberalna”? Krytycy powołują się na amerykański przykład i twierdzą, że to grozi wolności debaty akademickiej i dlatego, szczególnie dziś w Polsce, wzywają do walki o ich odbicie z rąk „lewactwa”?

– To pokazuje, jak potrzebna jest humanistyka. Bo co to znaczy, że na anglosaskich uniwersytetach dominuje lewicowa ideologia? Kto ją tam posadził? Który rząd federalny naciskał na prywatne uczelnie, żeby zatrudniały lewicowych profesorów? Który dawał granty na badania lewicowe, a nie prawicowe? Przecież to nie rząd daje i zatrudnia! Krajowa Fundacja Nauk Humanistycznych to ułamek amerykańskiego finansowania nauki. Owszem, tak zwana nowa wrażliwość może nieść zagrożenia intelektualne dla wolności badań i rozwoju uczelni, np. ostracyzm i wypieranie postaw uznanych za niepożądane. Jeśli jednak polscy krytycy uniwersytetów amerykańskich wołają, że trzeba z naszych wymieść lewacką zarazę, to znaczy, że nie rozumieją, jak amerykańskie uniwersytety funkcjonują. A na kulturową dominację postaw lewicowo-liberalnych odpowiadają metodami autorytarnymi z wykorzystaniem aparatu państwowego. Jestem bardzo za tym, byśmy dyskutowali o tym, w jaki sposób światopoglądy wpływają na badania naukowe, ale nie z użyciem środków administracyjnych i finansowym wsparciem dla badań niskiej jakości tylko dlatego, że odpowiada-

ją jakieś odgórnie narzuconej ideologicznej poprawności.

I to się raczej odnosi do naszego regionu.

– I do tych krajów, gdzie nauka jest uzależniona od pieniędzy publicznych, polityki państwowej i nacisku instytucji państwa. Musimy w tym sensie tworzyć mechanizmy obrony. To dotyczy przede wszystkim nauk humanistycznych. Bo ostatecznie władza słusznie uznaje, że to, czy fizyk jest zwolennikiem lewicy, czy Opus Dei, nie ma znaczenia w jego badaniach, ale może mieć znaczenie w badaniach humanisty. Dyskutujmy o tym, proszę bardzo.

Pytanie o potencjalną zależność między światopoglądem badacza i wynikami jego pracy naukowej jest zasadne. W Polsce mamy jednak sytuację odwrotną. Badania są potępiane ze względu na światopogląd badacza, a nie ich możliwe błędy. To postawienie sprawy na głowie.

A dodatkowo odbiera nam to prawo do działalności obywatelskiej i wyrażania poglądów w działalności pozanaukowej.

A jak pan sam ocenia pod tym względem finansową sytuację humanistyki w Polsce pod rządami obecnej władzy?

– Z perspektywy mojej katedry widzę tylko wycinek tego szerszego obrazu. Niestety, na naszym podwórku wygląda to tak, że fundusze musimy pozyskiwać głównie własnymi siłami poza systemem państwowym, pozostawiając od stypendiów, tak by nasi studenci mieli czas na studiowanie, a nie zarabianie. Bo to wpływa na jakość studiów. Staramy się odciążyć studentów pod tym względem. I to się nam na szczęście udaje.

To jak wam się żyje pod rządami reformy Gowina?

– Przy wszystkich jej wadach oceniam ją dobrze, bo nie zmierzała do upolitycznienia szkolnictwa wyższego (vide polityka następcy), tylko do włączenia go do globalnego systemu nauki. I do ustalenia mierzalnych

kryteriów oceny jednostek naukowych. Nie dała nam jednak dostatecznych narzędzi do umiędzynarodowienia naszej nauki. Mamy konkurować globalnie, ale nie dysponujemy środkami na poziomie globalnym. Drugi wielki problem, do którego reforma się nie odniosła, to „chów wsobny”, czyli zatrudnianie absolwentów danej uczelni w tejże uczelni. Tworzy się swoisty stagnacyjny obieg zamknięty, szkodliwy, bo wyjąławiający.

A co z „punktozą”?

– Ale co to znaczy „punktoza”? Reforma Gowina wprowadziła parametryczną ocenę jednostek badawczych, a nie poszczególne badaczy. Punktowanie naukowców jest sprzeczne z duchem i literą ustawy, a mimo to weszło do powszechnego użytku. Prawodawca powinien przewidzieć te negatywne skutki, ale tego nie zrobił ani nie przedstawił innych sensownych opcji oceny badań poszczególnych naukowców. Nie wsparł merytorycznych kryteriów oceny. Ostateczna wina za „punktozę” spoczywa jednak na nas jako środowisku. To my sami zgotowaliśmy sobie ten los. I to jest katastrofa.

Czy w tej sytuacji da się w ogóle uratować humanistykę?

– Ratujemy, mówiąc o tym. Antyhumanistyczny dyskurs jest niewidoczny tylko tak długo, jak długo o nim nie mówimy. Jednocześnie musimy też zdiagnozować i nazwać strukturalne źródła tego kryzysu, bo to nie jest tylko kryzys dyskursu. To nie jest tak, że młodzi ludzie nie wybierają studiów humanistycznych, bo ulegli jakiemuś fałszywemu obrazowi. Tu często chodzi o praktyczne kalkulacje: jaki kierunek pozwoli mi znaleźć dobrą pracę. Aspekt strukturalny, finansowy dotyczy nie tylko pracy na uczelni, o czym już mówiliśmy, ale też szeroko rozumianych instytucji kultury, gdzie humaniści pracują. A zniechęcająco niskie zarobki większości humanistów nie wynikają z te-

eprasa.pl 8208005527

Apolskość

Po jednej stronie jest dobra prawica, a po drugiej – złe lewaki. Nie ma nic pośrodku. Każdy, kto twierdzi inaczej, wykazuje postawę apolską.

Michał Rusinek*



Polską prawicę ogarnęła ostatnio mania aliteracji. Patryk Jaki, o którym pisałem tydzień temu, ulubił sobie literkę *a*, natomiast Przemysław Czarnek wybrał literkę *a*. I słusznie, bo zajmuje ona w alfabecie godniejszą i ważniejszą pozycję niż *b*, podobnie jak minister edukacji i nauki względem europosła. Czy jeszcze jakiś polityk ulegnie tej manii, zobaczymy za tydzień. Proponowałbym literkę *c*, która też jest, by tak rzec, na medalowej pozycji, więc wstydu nie będzie.

Ale po kolei. Minister Czarnek powiedział ostatnio w Polskim Radiu, że z podległego mu resortu „środki będą szły tylko i wyłącznie do organizacji, które robią dobre rzeczy”. To dobrze. Nie wyobrażam sobie wprowadzić ministra deklarującego chęć wspierania organizacji, które robią złe rzeczy, niemniej fraza ta przypomniła mi pytania moich dzieci; kiedy były jeszcze małe i oglądały z nami jakieś poważniejsze filmy, pytały od razu, kto jest dobry, a kto zły. To przyzwyczajenie z bajek, w których świat jest zawsze czarno-biały i przejrzyste uporządkowany pod względem moralnym. Zupełnie nie przekonywało ich, kiedy odpowiadaliśmy: „To zależy”. Zło i dobro jest przecież bezwzględne. Bohaterowie mogą być albo dobrzy, albo zli. Koniec kropka. Z tego przeświadczenia się na szczęście wyrasta, gdy zaczyna się obcować z literaturą czy sztuką dla starszych i gdy baczej przygląda się światu. Jednak nie wszyscy z niego wyrastają.

Formacja polityczna, do której należy pan minister, próbuje nam od początku swojego rządzenia wmówić, że świat jest czarno-biały, bo podstawową figurą retoryczną rządzący dyskursem „dobrej zmiany” jest antyteza. Przedstawia się nam świat podzielony bez reszty („to zależy”) na dwa obozy: my i oni, lepszy sort i gorszy sort, bohaterowie i zdrajcy, „żołnierze wyklęci” i targowiczanie, patriotci i kanalie. Katalog inwetyw, do których nas przez ostatnie lata przyzwyczajono, jest całkiem spory, ale jedną z najczęściej używanych i zarazem najcięższych stał się lewak. Nie ma się zatem co dziwić dalszej części wywodu ministra Czarneka, który wyjaśniał, że do robienia złych rzeczy zdolne są „lewackie organizacje”, które „promują neomarksizm i psują młodzież”. Minister nauki powinien się raczej posługiwać pojęciami naukowymi, a do nich „neomarksizm” nie należy. Nie chodzi bowiem Czarnkowi o kierunek filozoficzny rozwijany głównie przez szkołę frankfurcką, odrzucający leninowską interpretację marksizmu i czerpiący z filozofii Hegla, egzystencjalizmu czy strukturalizmu, chodzi za to o ideologiczne pojęcie-worek, do którego – jak pisała jakiś czas temu Anna Mierzyńska na portalu OKO.press – „prawica wpycha dziś wszystkie zjawiska kulturowe uznawane przez nią za negatywne”, czyli LGBT+, gender, ekologizm (zwany cza-

sami ekoterroryzmem) czy krytykę Kościoła katolickiego. „Tym samym – pisze dalej Mierzyńska – neomarksistami stają się wszyscy, którzy mają poglądy liberalne lub lewicowe, a w wymienionych zjawiskach nie widzą samego zła”. Także ci, którzy mówią: „To zależy”. Przecież dobro młodzieży leży ministrowi edukacji i nauki na sercu w sposób szczególny, więc nie może on sobie pozwolić na jakiegokolwiek wątpliwości czy relatywizm.

Istnieje jednak związek między neomarksizmem filozoficznym a neomarksizmem ideologicznym: są to, rzecz jasna, Niemcy. Rok temu minister Czarnek na łamach tygodnika „Sieci” mówił: „Neomarksistowsy ideolodzy z Niemiec pieczołowicie zabiegają o to, żeby Niemiec nie był chrześcijaninem i był rozwiazły; liczą, że to samo będzie miało miejsce w Polsce”. Ale niedoczekanie. Polak pozostanie chrześcijaninem wstrzemięźliwym, a zatroszczy się o to MeIN. Swoją drogą, proponowałbym zmianę nazwy ministerstwa, bo jego skrót układa się w niemiecki zaimek, co może jednak w sposób podprogowy działać na młodzież demoralizująco.

Wróćmy jednak do niedawnej wypowiedzi ministra Czarneka i do wspomnianej aliteracji. „Nie popieram postaw, które są apatriotyczne, aspołeczne, arodzinne” – powiedział. Słowniki mówią, że przedrostek *a-* to człon wyrazów złożonych wskazujący zazwyczaj na brak jakiejś cechy lub czasami na jej zaprzeczenie. Nie jest bowiem tożsamy z jednoznacznym przedrostkiem *anty-*. Minister potraktował więc „lewackie organizacje” dość łagodnie, imputując im zaledwie postawy charakteryzujące się brakiem uczuć patriotycznych, postaw społecznych czy prorodzinnych. Nie posadza ich o antypatriotyczność, antyspołeczność i antyrodzinną. Niby trochę szkoda, bo – podobnie jak w przypadku aliteracji Patryka Jakiego – mielibyśmy do czynienia z anaforą. I niby dobrze, że nie poddaje aż tak radykalnej krytyce rzeczonych organizacji, ale moim zdaniem nie jest to z jego strony akt miłosierdzia wobec nich. Ministrowi chodziło o urodę aliteracji, o podkreślenie swojego namiętnego stosunku do pierwszego litery alfabetu, która to namiętność nie byłaby tak zauważalna, gdyby zdecydował się na dłuższy przedrostek.

Oczywiście można próbować z nim dyskutować i tłumaczyć, że wspomniane przez niego organizacje nie tyle są apatriotyczne, aspołeczne i arodzinne, ile nieco inaczej rozumieją patriotyzm, społeczeństwo i rodzinę, niż rozumie je pan minister. I że w ogóle jest możliwe różne rozumienie tych pojęć. Ale to jest chyba próżny trud. Dajmy więc spokój.

Teoretycy retoryki są zdania, że aliteracja połączona z trójczłonową figurą gradatio (od najszerszego umiłowania ojczyzny, poprzez węższy szacunek dla wspólnoty, aż po najwęższe relacje rodzinne) skłania odbiorców do współdziałania. Nie tylko zgadują oni, jaki będzie kolejny wymieniany przez mówcę człon figury, ale i mają ochotę dodawać własne, dając się ponieść urodzie aliteracji, i zacząć w poetyckim szale wymieniać abiogenezę, agnostycyzm, analfabetyzm, anestezję, anarchię, awykonalność, apolityczność i najgorszą ze wszystkich: asymetrię. Najgorszą, bo świat jest przecież bajkowo symetryczny: po jednej stronie jest dobra prawica, a po drugiej – złe lewaki. Nie ma nic pośrodku, nie ma „to zależy”. Każdy, kto twierdzi inaczej, wykazuje postawę apolską. Amen.

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Pan Jarosław ma piękne marzenie

Źródłem frustracji dla ludzi PiS może być wszystko, często rzeczy banalne.

Marcin Matczak*



Afery PiS mają jedną zaletę – pozwalają zajrzeć w głąb pisowskiej duszy. I choć wydawać by się mogło, że ten wgląd skończy się jak u Kubusia Puchatka, który im bardziej zaglądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było, w przypadku PiS jest inaczej – na dnie leży wielka świnka podłożona przez nich samych. Nie da się bowiem inaczej skonkludować afery „Willa plus”, która polega na tym, żeby publiczne pieniądze zamiast na edukację dzieci przeznaczyć na uwłaszczenie krewnych i znajomych królika.

Cóż mówi nam „Willa plus” o duszy PiS? Nic, czego byśmy od dawna nie podejrzewali. Na przykład to, że dusza PiS oparta jest na głębokiej traumie po wyimaginowanym skrzywdzeniu, któremu trzeba wszelkimi środkami zadośćuczynić. Nawet jeśli „zadośćuczynić” znaczyłoby „kraść”.

Człowiek PiS jest przekonany, że ktoś wyrządził mu lub jego formacji głęboką niesprawiedliwość, bo ma więcej albo jest w czymś lepszy. Ponieważ ta nierówność nie może być w rozumieniu człowieka PiS wynikiem jego wad albo niezaradności, musi poradzić sobie z dysonansem, oskarżając tego lepszego i więcej mającego o to, że nakradł i oszukał. A jak on nakradł i oszukał (w odczuciu człowieka PiS oczywiście), to sprawiedliwość wymaga, aby teraz człowiek PiS mógł kraść i oszukiwać (tym razem już naprawdę).

Mechanizm taki było widać już w czasie afery z wieżami Kaczyńskiego. Wyjaśniał wtedy, że marzeniem, które legło u podstaw jego deweloperskiego projektu, było uzyskanie z wynajmu wież środków, za które można by finansować fundację konkurencyjną wobec Fundacji Batorego. Było więc to w gruncie rzeczy marzenie piękne – pan Jarosław pragnął wyrównania szans, a afera była projektem przywracającym sprawiedliwość. Zbyt potężna Fundacja Batorego naruszała porządek świata, więc trzeba było go przywrócić, nawet jeśli wymagało to wątpliwych moralnie środków.

„Willa plus” i wieże na Srebrnej mają wspólny mianownik: przekonanie, że sprawiedliwość wymaga odkucia się, wyrównania rachunków, odplacenia za krzywdy. Problem w tym, że krzywdy są wymyślone, a odplata realna. Czarnek mówi, że muszą dawać swoim, bo nie swoi już dostali i teraz czas na wyrównanie. Tak samo daje ośrodkom naukowym, które osiągnęły mniej, bo te, które osiągnęły więcej, już dostały. Według tej logiki minister sportu powinien przyznawać mistrzostwo Polski jedynie klubom, które go jeszcze nie zdobyły. Gdyby tak zrobiono z mistrzostwem świata, Polska w końcu byłaby mistrzem – a przecież wiadomo, że Polska jest najważniejsza.

Mechanizm „realna odplata za wyimaginowaną krzywdę” jest w przypadku PiS powszechny. Po pierwsze, jako wszechobecny „whataboutism” – obrzydzenie „Willą plus”

natychmiast zostaje osłodzone okładką rządowej gazety, która krzyczy: „Dawali swoim, więc i my możemy dać”. Po drugie, jako pedantyczna, aptekarska wręcz symetryczność działań, oparta na starej zasadzie: „Oko za oko, ząb za ząb”. Gdy opozycja kwestionowała trzech dublerów, Ziobro zakwestionował trzech sędziów wybranych w 2010 r. – żeby było po równo. Kiedy prawdziwi sędziowie zakwestionowali status neosędziów przed TSUE, neosędzia Zaradkiewicz zakwestionował status sędziów prawdziwych. Nic to, że dublerów i neosędziów wybrano nielegalnie, a prawdziwych sędziów wprost przeciwnie. Ważne, żeby najbardziej bezsensowne, niemoralne, a czasami przestępcze działanie usprawiedliwić sprawiedliwością.

Ta mentalność niszczy państwo, bo to mentalność pracowników okradających pracodawcę. Oni także radzą sobie z dysonansem, przekonując samych siebie, że kradzione im się należy. Długo zmagają się ze sobą i dochodzą do wniosku, że nie oszukują, ale są oszukiwani, mogą więc oszukać w samobronie. Tak robią ludzie PiS, zazwyczaj głęboko sfrustrowani. A dojście do władzy frustratów kończy się złodziejstwem zawsze – nieskończona jest liczba zranień, które są w stanie sobie wymyślić i które uznają za wystarczające, by się odukc.

Bo źródłem frustracji może być wszystko, często rzeczy banalne. Spójrzcie na prezydenta. Nie mam pretensji, że nie mówi perfekcyjnie po angielsku. Mam pretensje, że nie mówi z roku na rok lepiej. Nie tylko dlatego, że osoba reprezentująca mój kraj powinna mówić po angielsku dobrze, ale też dlatego, że jak mówi źle, naraża się na kpiny i rośnie w nim resentyment. Prezydent, który ciągle się uczy, ale przez siedem lat nie zdołał poprawić angielskiego, musi nienawidzić Tuska, który poprawił. I wtedy prezydent może sobie pomyśleć, jak tu się na tym kujonie odegrać.

Nie mam pretensji do Ziobry, że był słabym studentem. Mam raczej wrażenie, że on ma pretensje do wszystkich, którzy byli od niego lepsi. Musi więc ten brak balansu wyrównać. Ta słabość go napędza, a jak czuje, że ma moralny tytuł do wyrównania, to niejedno łajdactwo jest gotów usprawiedliwić.

Mechanizm zemsty za żywioną urazę zaturwa nie tylko pojedynczego człowieka, choć prawdę głosi znane powiedzenie: „Żywić urazę to pić truciznę z nadzieją, że zabije ona moich wrogów”. Jest on także odpowiedzialny za powrót tendencji autorytarynych. Madeleine Albright pisała, że współcześni autokraci mają jedną główną umiejętność: nawiązanie emocjonalnej więzi z tłumem (często także złożonym z frustratów) i wydobyte na powierzchnię ich głębokich, często brzydkich uczuć.

W przeciwnieństwie do starych form autorytaryzmu, takich jak dyktatura wojskowa, nie narzucają władzy społeczeństwu z góry, ale czerpią energię od „mężczyzn i kobiet, którzy są sfrustrowani z powodu przegranej wojny, utraty pracy, wspomnienia upokorzenia lub poczucia, że ich kraj przeżywa poważny upadek”. A im bardziej bolesne są powody do urazy, tym łatwiej zdobyć zwolenników – wystarczy roztoczyć przed nimi perspektywę odnowy lub obiecać, że odbierze się to, co zostało skradzione. Roztaczają więc – i Kaczyński, i Czarnek, i Ziobro – według zasady: „Teraz, k..., my, bo wcześniej, k..., wy”. Nawet jeśli ich szumnie zapowiadane audyty niczego nie potwierdziły. Ale to w sumie nieważne, bo kiedy krzywdą realną pomiesza się ze zmyśloną, niejedno plugastwo da się uzasadnić rzekomą sprawiedliwością. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW.

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach

Znaczone pionki wyborcze

Skoro władza ma wszystko, a nawet kodeks wyborczy, to czy opozycja jest bez szans? Niekoniecznie.

Adam Bodnar*



Wybory parlamentarne w 2023 r. formalnie rozstrzygną się w dniu głosowania, ale wszystko, co przed dniem wyborów, będzie miało wpływ na ostateczny wynik.

W demokracjach partie walczą programami, ideami, postaciami. W państwach autorytaryzmu plebiscytnego władza potrzebuje wyborów, by przedłużyć rząd, a instytucje państwowe mają charakter fasadowy. Rządzący mają do dyspozycji narzędzia, by przechylić wynik na swoją korzyść. Dlatego wybory mogą być rzetelne, ale kampanie wyborcze mogą być nieuczciwe.

Już wcześniejsze wybory w Polsce pokazały różne elementy nieuczciwej gry. Pamiętają państwo słynny klip z „Wiadomości” TVP na temat prezydenta Andrzeja Dudy przypominający produkcje północnokoreańskie? A premier Mateusz Morawiecki obiecujący inwestycje i wręczający czek? To z kolei przykład wykorzystywania środków publicznych (dostępnych dla wszystkich) na cele kampanijne. Do tego należy dorzucić inwigilację Pegasusem szefa sztabu wyborczego PO Krzysztofa Brejzy. Jeśli służby zdobyły się na takie działania, to o ilu innych działaniach inwigilacyjnych jeszcze nie wiemy?

W przypadku wyborów parlamentarnych w 2023 r. można się spodziewać kumulacji. Temu służy nowelizacja kodeksu wyborczego, dokonywana w czasie, gdy już

nie powinno się majstrować przy regułach wyborczych. Działania programowe (dotyczące np. nowych programów socjalnych) będą pionkami na szachownicy, bez nich nie da rady wygrać gry, ale wieżami, gońcami i konikami będą media narodowe, prokuratura i służby specjalne oraz różne fundusze państwowe i spółki skarbu państwa.

Czy w takiej sytuacji opozycja jest bez szans? Teoria konkurencyjnego autorytaryzmu mówi, że nie, ale gra wyborcza odbywa się na dwóch poziomach: walki na postulaty i programy oraz przeciwdziałania nieuczciwości. Opozycja parlamentarna nie ma szans, aby wygrać na tym drugim polu, ale jest w stanie się jej przeciwstawić i ją kontrolować. Jest w stanie używać własnych metod, często innowacyjnych, aby ograniczyć pole nadużyć, aby unaoczniać wyborcom, że gra jest oszukańcza. Ryzyko odpowiedzialności prawnej może powodować powstrzymanie się osób sprzyjających władzy od niektórych działań.

Jednakże nie można liczyć, że cały wysiłek zostanie poniesiony przez partie polityczne, nie zawsze mogą mieć siłę i pomysły, aby równolegle walczyć o standardy uczciwości wyborów. To zadanie może być z powodzeniem wykonywane przez szeroko rozumiane społeczeństwo obywatelskie. Niezależne NGO posiadają doświadczenie pracy na rzecz dobra wspólnego, nieraz uczestniczyły w kampaniach profrekwencyjnych oraz stały na straży uczciwości wyborów. Tym razem muszą się mierzyć z problemem kurczącej się przestrzeni dla społeczeństwa obywatelskiego (szykany liderów, ograniczenia finansowania, obawa biznesu przed współpracą), ale także z obecnością licznych GONGO (organizacji społecznych, które udają niezależne NGO, a w istocie są kontrolowane przez rząd). Dlatego też niezależne NGO muszą również zwiększyć siłę swojego oddziaływania. Zaangażować do współpracy różne środowiska zawodowe i naukowe – jak w wierszu Tuwima: „Tak dla wspólnej korzyści/ I dla dobra wspólnego/ Wszyscy muszą pracować/ Mój mały kolego”.

Chciałbym przedstawić trzy pomysły na taką współpracę. Pierwszy odnosi się do mediów. Stan posiadania obozu władzy w mediach zwiększył się w ostatnich latach radykalnie. To już nie tylko TVP i Polskie Radio, ale także silne uzależnienie niektórych czasopism od bieżącego finansowania ze strony spółek skarbu państwa. Do tego Polska Press, a raczej „Orlen Press”, kontrolująca regionalne gazety i portale. W niektórych województwach praktycznie już nie ma wolnych i niezależnych mediów, a funkcję kontrolną sprawują jedynie media o zasięgu ogólnokrajowym (jak „Wyborcza”, Onet.pl czy TVN 24). Dlatego w kontekście wyborów konieczny jest rzetelny monitoring, zwłaszcza na szczeblu lokalnym – co i jak się pisze na temat różnych partii i kandydatów w wyborach. W realizację takiego projektu powinny zaangażować się lokalne środowiska naukowe wspierane przez organizacje strażnicze i te zrzeszające niezależnych dziennikarzy.

Jeśli służby zdobyły się już na takie działania, to o ilu innych działaniach inwigilacyjnych jeszcze nie wiemy?

Drugi pomysł to kampania outdoorowa. W okresie przedwyborczym zobaczymy wysyp billboardów oraz innych nośników reklamowych. I pewnie będziemy się dziwić, dlaczego nagle np. połowa województwa mazowieckiego jest zasypiana reklamami Solidarnej Polski. Jestem pod wrażeniem projektu „Lasy i obywatele”, a zwłaszcza strony zwłt.pl (Zanim Wytną Twój Las). Jest to genialna forma połączenia nowoczesnych technologii z aktywnością obywatelską. Dzięki tej stronie możemy się dowiedzieć z zegarmistrzowską precyzją, co czeka las w naszej najbliższej okolicy. Co stoi na przeszkodzie, aby w podobny sposób monitorować obecność billboardów w naszej przestrzeni publicznej – gdzie zostały postawione, na jaki okres, jaką partię promują, kto za to zapłacił? Tym razem chciałbym zachęcić środowisko informa-

tyków do współpracy z organizacjami zajmującymi się dostępem do informacji publicznej.

Trzeci pomysł to wydatkowanie środków publicznych przez różne fundacje i organizacje, które korzystają ze środków publicznych. Obecna afera „Willa plus” to tylko wierzchołek góry lodowej. Przypomnijmy choćby wydatkowanie środków z Funduszu Sprawiedliwości. Czas wyborów to czas „zapłaty” politycznym mocodawcom. Nagle zobaczymy cały szereg spotów, kampanii, konferencji, seminariów, pikników i koncertów, które będą promowały określone treści. I zupełnie nieprzypadkowo przedstawiane postulaty będą odpowiadały temu, co głoszą kandydaci związani ze Zjednoczoną Prawicą. Zresztą nowelizacja kodeksu wyborczego, jeśli zostanie uchwalona, będzie pozwalała na taką działalność w świetle prawa. Ale to nie znaczy, że nie można tych zagrożeń identyfikować i nazywać po imieniu.

To tylko niektóre wyzwania. Zagrożeń i odpowiednich pomysłów na reakcję może być znacznie więcej. Ale te powyższe są zupełnie możliwe do wykonania, pod warunkiem rzeczywistego zaangażowania i zrozumienia zagrożenia dla demokracji. Dlatego jeśli obudzimy się „dzień po”, a wybory zostaną przez opozycję demokratyczną przegrane, to nie zwalajmy winy na partie polityczne. Zastanówmy się, czy faktycznie zrobiliśmy wszystko, aby temu zapobiec. Czy wykorzystaliśmy naszą wiedzę, doświadczenie i profesjonalizm do walki o demokrację, czy raczej kolejne miesiące zajmowaliśmy się tylko troską o „naszą małą stabilizację”.

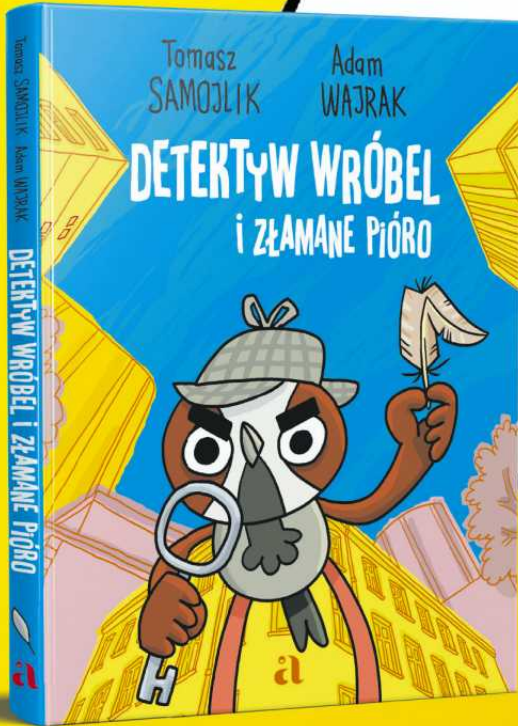
***Adam Bodnar** – dr hab. prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji, ambasador inicjatywy „Każdy człowiek” Ferdinanda von Schiracha



Tak odlotowej książki dla dzieci jeszcze nie było!
Kryminalna intryga, zawadiacki humor, przyrodnicze ciekawostki i ekologiczne przesłanie!

KOMIKS POLECAJĄ:





Tomasz SAMOJLIK Adam WAJRAK
DETEKTYW WRÓBEL i ZŁAMANE PIÓRO

TOMASZ SAMOJLIK I ADAM WAJRAK WRACAJĄ Z NOWYM PRZYRODNICZYM KOMIKSEM!



Wydawnictwo
Agora
dla dzieci

KSIĄŻKI DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL W FORMIE E-BOOKA I AUDIOBOOKA NA  **publio.pl**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Gdyby sfotografowano mnie z Kaczyńskim,
właściwie mogłabym się już pakować
i lecieć na inną planetę.
To wyprowadzka z planety Ziemia.

Z **JOANNĄ KOŁACZKOWSKĄ**,
AKTORKĄ KABARETU HRABI,
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Porozmawiamy na poważnie?
– Baaardzo chętnie.

**Tak zaczynam, bo często spotyka się
pani z rozczarowaniem, że...**

– ...no właśnie, że nie jestem zabawna, że jeszcze do tego jestem raczej skryta, raczej introwertyczna i nieśmiała. Mnie się od razu robi przykro i wtedy zdaję sobie sprawę, że nie daję rady, że nie jestem w stanie sprostać takim oczekiwaniom. A jestem postrzegana jako burza energii, tornado, które przelatuje. Owszem, taka jestem, ale kiedy wchodzę na scenę. Czuję się wtedy jak ryba w wodzie, jakbym naprawdę żyła. I lubię to. A później, kiedy schodzę ze sceny, jestem jak ospała ryba.

Stale ryba...
– No tak.

**„Mam pracę, dzięki której bardziej ko-
cham świat” – to pani o sobie.**

– Bo ja wtedy dostrzegam świat jako miejsce, w którym można trochę poszaleć, pointerpretować, potraktować go jak bajkę. I nawet jak opieramy się na scenie na prawdziwych relacjach, emocjach, bo to jest dla mnie najbardziej interesujące, to jednak przetwarzamy. Przejaskrawiając i przetwarzając, odczuwam wtedy dziką przyjemność.

MARTWIĘ SIĘ, ŻE SŁOŃCE ZGAŚNIE

A w życiu, mówię o życiu osobistym, to się nawet w połowie nie czuję tak szczęśliwa jak na scenie.

Nie wyobrażam sobie, co by było, gdyby nie scena, mimo że mam rodzinę, bliskich, których bardzo kocham, o których się troszczę. Kiedyś zdałam sobie sprawę, że zazdroszczę tej Joannie Kołaczkowskiej ze sceny, zazdroszczę jej pewności siebie, tego, jak sobie radzi.

A może jest tak, że przez to, że tak dużo energii oddaję na scenie, brakuje mi jej na co dzień poza sceną? Całe życie się nad tym zastanawiam i może nigdy się nie dowiem.

Dwoistość jakas?

– Trochę tak. Analizowałam to przez 10 lat z moim terapeutą i też nie doszliśmy do wniosków, które by to jakoś rozwiązały.

Ale może nie ma po co, skoro to daje pani taką satysfakcję.

– Daje mi, ogromną, to prawda. Ale chciałabym czuć się na co dzień tak jak na scenie.

Po spektaklach jeszcze ze dwie godziny czujemy się tak pozytywnie naładowani, to są olbrzymie siły vitalne. Ta wymiana, ten rezonans, w którym my jesteśmy z widownią, nas napędza. Może rzeczywiście jest tego tak dużo, że później najzwyczajniej w świecie musi przyjść moment, że brakuje tego w życiu codziennym.

Trzeba się kiedyś naładować.

1 RP

– Tak, zwłaszcza że dużo pracuję, dużo mam różnych przedsięwzięć. Ani dnia na wypoczynek.

A umiałaby pani nic nie robić?

– Nie. I to jest straszne. Odkryłam to w czasie pandemii.

Musieliśmy ze wszystkiego zrezygnować. Oczywiście łączyliśmy się online z kolegami, rozmawialiśmy z menedżerem, dawaliśmy sobie otuchy, no i potrzebowaliśmy się razem pośmiać. Przez pierwszy miesiąc siedziałam absolutnie sama w domu, jeszcze miałam remont, czyli burzenie ścian, pył wszędzie. Chodziłam labiryntami i tylko się sztucznie uśmiechałam do siebie, mówiąc: „Nieważne, uśmiechaj się do tego”.

Pewnie ekipa remontowa oczekiwała, że pani będzie ją zabawiać?

– Nie, na szczęście nie, bo to już taka stara ekipa, znają mnie. Ale kiedy zaczęła się taka poważna pandemia, przestali przychodzić. Remont utknął, zostałam w tym pyle sama. I naprawdę starałam się uśmiechać, ale serce mi pękało. To poczucie zagrożenia, zresztą coraz gorsze, no bo przecież wojna. Od czasu pandemii żyjemy w poczuciu niestabilności, zupełnie nie mamy pewności, co się wydarzy. Kiedyś się planowało wakacje, koncerty, występy. Oczywiście nadal planujemy, ale z olbrzymią niepewnością. Codziennie zadajemy sobie pytanie, po co zarabiamy, po co pracujemy. Może powinniśmy zabrać pieniądze i gdzieś uciec?

Dokąd?

– Dokąd, z kim, do czego, do jakiej pracy? Nie mam pojęcia.

To podczas pandemii się tego nabawiłam, tego innego postrzegania. W pierwszym momencie było dzikie spanie, po nocach Netflix, całe sezony naraz oglądane. Szaleństwo.

A później, kiedy zaczęliśmy znów pracować, zaczęliśmy pracować więcej, kiedy tylko mogliśmy. Z takich nerwowych pobudek, bo może to nam zaraz zabiorą. I wtedy pojawiło się pytanie, po co te pieniądze, taki dziwny czas się zrobił.

Jakie seriale wtedy panią tak wciągnęły?

– Oczywiście kryminały – mroczne, najmroczniejsze. Islandzkie, szwedzkie, duńskie. Zauważyłam, że trochę jakby mi się stępiły emocje, lęki, teraz oglądałam i już niczym się nie przejmuję. Bo to jest tak, jakbym trzymała to martwienie się w zana-dru, w razie czego, jakby się coś działo, to wtedy będę się stresować, denerwować i martwić o życie.

Z przyjaciółmi prowadzimy sporo rozmów o tej niepewności, o tym, co w razie wojny. Zaczęłam się interesować, czytać, co w przypadku wybuchu bomby atomowej. Pojawiły się sny z tym związane i myślałam, że może też dlatego jest mi trudno odpoczywać. Mam takie poczucie, kiedy nic nie robię, nie że dbam o siebie, tylko że jestem bezużyteczna. Czuję wtedy niepokój, że tak nie powinno wyglądać życie, że może gdzieś trzeba by gnać.

Oswoiła pani lęki przed końcem świata?

– Trochę tak. Wspieram się też lekami. Bardzo się boję latać samolotami. To jest chore i nienaturalne, że człowiek siedzi w blaszanym termosie i frunie w powietrzu. Zaryzykowałabym teorię, że to nie jest zgodne z zasadami fizyki, niestety jest z nimi zgodne. Dlatego jak mnie zabiera ten stalowy ptak, to się czuję, jakbym umierała. Wyzwalają się wtedy we mnie wszystkie lęki świata.

Nawet ataki paniki miałam. Ale pomaga alkohol. Leciałam parę lat temu na koncert Billy’ego Joela do Frankfurtu.

Jednak...

– Kolega miał mnie trzymać za rękę, ale okazało się, że mamy miejsca w zupełnie innych sektorach. Siedziałam bardzo ciasno obok obcej osoby, myślałam: „Boże, co to będzie, ja tak chciałabym go złapać za rękę, ale nie znam człowieka”. Jeszcze musiała-

bym się posługiwać innym językiem, czego nie chciałam ryzykować. Na szczęście okazało się, że przynieśli nam jakieś śniadanko, była 8 rano. Zamówiłam sobie dwie małe buteleczki wina. Bardzo mi było wstyd, nikt nie spożywał alkoholu tak wcześniej, a ja wypilałam takie dwie małe buteleczki.

Małpeczki.

– Tak, i już byłam wyluzowana. A kiedy wracaliśmy, to poprosiłam od razu stewardów, żeby mi dali małpeczki. Oni mnie rozpozнали, pośmialiśmy się trochę, powiedziałam im o moich wizjach śmierci w samolocie, bo cały czas mi się wydaje, że skrzydło się urywa, że silnik, że coś tam.

Za co pani kocha ten świat?

– Może zacznę od tego, że w ogóle strasznie się o wszystko martwię i martwię się o ten świat.

Bardzo mnie interesuje kosmos, inne planety, czarne dziury, czy jeszcze istnieje gdzieś życie. Przeczytałam artykuł o tym, co się stanie z Ziemią i Księżycem, kiedy Słońce przestanie funkcjonować.

Ale to nie za naszego życia...

– Nie, absolutnie. Ale za miliony lat nie będzie już żadnego innego życia. I kiedy przeczytałam o tym, co się wydarzy z życiem na Ziemi, kiedy zgaśnie Słońce, kiedy Księżyc nas opuści, to się naprawdę zmartwiłam,

no bo na Ziemi najbardziej mi zależy. A to przecież za kilkadziesiąt milionów lat, a ja się już teraz zmartwiłam.

A jak wcześniej przyjdzie nam przeżyć jakąś katastrofę?

– O tym też myślę. Bardzo się przejmuję sprawami klimatycznymi. Ja się wszystkim przejmuję, po prostu już mi nie starcza sił.

Jest pani nadwrażliwcem.

– To jest durne, ale to, że Słońce przestanie istnieć, tak samo mnie stresuje jak ta wojna, która jest tak blisko.

Boi się pani o świat, to już wiem, ale za co go pani kocha? Ludzkość, naturę...

– Wszystko. Wszystko Kocham.

Ludzie są okropni.

– Tak, oczywiście. Z jednej strony wiem, że potrafią być dla siebie tacy straszni, tak niesprawiedliwie okrutni i dla przyrody, i dla zwierząt, i dla otoczenia. Z drugiej strony, kiedy wychodzę na scenę, to ja tę widownię w jakiś sposób Kocham. Żeby wywołać czyjś uśmiech, muszę ludzi akceptować.

Takimi, jakimi są.

– Tak. Ja się nie zastanawiam, jakiego wyznania jest dana osoba na widowni albo na kogo głosuje. Nie pytamy: „Kto z państwa głosował na PiS?”. A potem: „Kto głosował, proszę wyjść”. Jesteśmy artystami i mamy marzenie, żeby ci ludzie się uśmiechnęli. W tym sensie uśmiech jest też remedium na podziały, które są u nas i które są straszliwe.

Ale świadomie tworzycie kabaret bez polityki.

– Tak było od zawsze. Ale nagrywaliśmy z Szymonem Majewskim podcast „Mówi się”, rozmawialiśmy o problemach LGBT w Polsce i stwierdziliśmy, że nawet rozmawianie o problemach ludzi zadających sobie pytanie, jakiej są plci i kim są, jest naszą czoną polityką.

Tak trudno jest podjąć poważne tematy na scenie, a jednak ludzi rozbawić. Zawsze ta polityka wylezie z tego tematu.

Kiedy zaczynaliśmy robić kabaret, w 1988 roku... Aż mi się wierzyć nie chce...

Miała pani 22 lata.

– Hm, byłam młodsza od mojego dziecka. Więc kiedy zaczynałam, to trafiałam do kabaretu zupełnie niepolitycznego. Chociaż pierwszy program – „Drugi garnitur” – zrobiliśmy z tekstów literackich z okresu socrealizmu: o ceglach, o planie sześciolatnim, o kulakach. Więc w pewnym sensie był to jednak kabaret zaangażowany politycznie, chociaż myśmy tego zupełnie tak nie postrzegali.

Później trafiałam do kabaretu Potem. I chyba w tym czasie byliśmy jedynym zespołem komediowym, który się nie zajmował polityką. Wtedy królowały takie kabarety jak np. pana Pietrzaka.

Zresztą w ogóle najczęściej kabaret robili panowie, a kobiety pojawiały się, żeby ewentualnie coś zaśpiewać. A piosenki raczej nie bawily. Wcześniej byli Starsi Pano wie i z miłości do Kabaretu Starszych Panów Władek Sikora, który był liderem Potem, nie chciał ruszać polityki.

Potem rozwiązał się w 1999 roku, urodziłam dziecko i przez kilka lat siedziałam w domu.

„Siedziałam w domu”?

– No rzeczywiście, nie siedziałam, wychowywałam dziecko. Bez samochodu. Pamię-

tam, jak dziecko miało gorączkę i pędziłam z wózkiem po śniegu do apteki. Mama chciała mi pomagać, ale powiedziałam, że nie, że wszystko zrobię sama, sama, sama. Nie wiem, dlaczego nie chciałam przyjąć żadnej pomocy.

Później był kabaret Hrabi.

– Tak, mieliśmy parę skeczów nawiązujących do polityki, ale bardziej do postaw polityków, zupełnie nas nie interesowały (i nadal nie interesują) konkretne wydarzenia, konkretni politycy.

Chociaż mówi pani o sobie: „Cała jestem zanurzona w politykę”.

– Bo jestem, absolutnie. Rozmawiamy z kumplami w kabarecie o polityce, czytamy, klócimy się. Było parę takich sytuacji, że starliśmy się z moim szwagrem Dariuszem, razem pracujemy. Tak się starliśmy, tak strasznie, politycznie, że aż się wystraszyliśmy, że nasz kabaret przestanie istnieć. Zarzuciliśmy polityczne pojedynki.

Któryś z polityków panią rozbawia?

– Rozśmiesza? Jeżeli kogoś nie lubię, to raczej uprawiam szyderstwo, nie śmiech. Muszę lubić postać, żeby się z niej pośmiać albo pośmiać się z nią. Musi być odrobina miłości. Musi być jakieś dobro w tej osobie.

Musiałabym pomyśleć, może ktoś jest, kto budzi przyjemne skojarzenia i jest w stanie zażartować? Mało jest takich świadomych żartów polityków. Oni nie żartują. To byłby świetny sposób na zdobycie przychylności, jeszcze nie było u nas kogoś takiego. Nie kojarzę.

Trochę autoironiczny...

– ...z nutą sarkazmu. Weźmy za przykład Andrzeja Poniedziałelskiego. Gdyby jakiś polityk miał choć cień jego geniuszu...

...toby nie był w polityce.

– Właśnie, no właśnie. Denerwuje mnie, że polityka to w większości faceci. Nie, nie chodzi o to, że kobieta ma się znaleźć w polityce i ona ma tę politykę uzdrowić.

Samo bycie kobietą nie uzdrawia. Beata Szydło, Beata Kempa, Beata Mazurek, Małgorzata Manowska, Julia Przyłębska... Kiwa pani głową na nie.

– Kobiety wchodzące do polityki chcą dorównać mężczyznom, cała ich energia może pójść na tę konfrontację. Choć w przypadkach przez panią wskazanych chyba chodziło o coś innego.

O co?

– O władzę. Oglądałam bardzo dobry serial duński „Rząd”. O funkcjonowaniu państwa, mechanizmach między dziennikarzami a politykami, między mediami a panią premier... Zaraz – czy może premierką?

Pani premier, premierka, ale nie premiera.

– Tak, ale na początku zawsze jest dziwnie.

Jest, ale czy mężczyzna pełniący funkcję premiera chciałby być premierką, sekretarza – sekretarką?

– To na pewno jest dzikie uczucie, kiedy się pierwszy raz spotyka feminatywy, nasz mózg działa pod dyktando języka. Czyli jak będziemy używać żeńskich końcówek, to mózg je zaakceptuje jako normę.

Kobieta w kabarecie to...

– ...kabareciarka. Trochę to zabrzmiało jak śmieciarka, prawda? Śmieć-arka, arka, też dziwnie.

Jak ktoś mnie pyta, to mówię, że jestem aktorką komediową albo artystką. Na Facebooku i chyba na Instagramie wpisałam sobie, że jestem artystką. Tak dużo różnych rzeczy robię, że można powiedzieć ogólnie – artystka.

Ale mówi się: „Ta to jest artystka”. A „artysta” już nie. Czyli przy „artyście” nie ma pejoratywnego zabarwienia. A „artystka” narozrabiała, jest trochę dziwna, szalona, kłamczuszka, kabareciarka.

Kabareciarka – ładne.

– Tak, muszę z tym okrzepnąć. Pięć lat albo dekada i będzie po problemie.

A co z tym serialem „Rząd”?

– Serial „Rząd” („Borgen”) pokazuje, jak działa polityka – pomimo wysokich standardów (w Danii) zawsze pojawiają się sytuacje, w których ktoś musi zagrać nieczysto. Tak, jakby ta sfera była skazana na konflikt i wieczną walkę z przeciwnikiem politycznym. Niesamowity serial, choć podejrzewam, że prawdziwa polityka, nie ta z ekranu, jest jeszcze bardziej brutalna i odpychająca.

Z którymś z polityków chciałaby się pani pośmiać?

– Nie, wolalabym nie.

Śmiać się z kimś – to jest cudowne uczucie.

– Śmiech zbliża. Spotykałam się kiedyś z mężczyzną, u którego nie podobało mi się, jak się śmieje. Wszystko było w miarę OK, ale jak zaczynał się śmiać, to nie mogłam tego znieść. To był śmiech nagły, jakiś dziwny, skrzekliwy, suchy, kaszel właściwie. Nie mogłam tego wytrzymać. Rozstaliśmy się, chociaż nie z tego powodu.

Później spotykałam się z innym mężczyzną, który się śmiał fantastycznie. Z innymi rzeczami było już troszeczkę gorzej, ale on się tak śmiał, że nawet kiedy zupełnie mnie coś nie śmieszyło, to się pokładałam, ponieważ tak mi się udzielał ten jego śmiech, ta jego radość. Rozstaliśmy się, chociaż nie z tego powodu.

Wiem, że śmiech może bardzo zbliżać i fajnie się z kimś pośmiać, że śmiech, to, z czego się śmiejemy, świadczy o inteligencji. Gdy ktoś nie ma poczucia humoru, nie rozumie żartu albo jakiejś dwuznaczności, to ja się z tym kimś nie porozumiem na wielu innych płaszczyznach.

Również dzięki poczuciu humoru się godzimy. Śmiech pozwala się zdystansować od problemów. Gdybym miała się z ja-

kimś politykiem pośmiać... Nie widzę żadnego takiego. Na mnie ktoś, kto już jest politykiem, działa tak, że troszeczkę się boję, trochę czuję dystans, a chyba już najgorzej to być z nim sfotografowanym. Gdybym była gdzieś sfotografowana albo ktoś by mi powiedział, że mnie widział z tym politykiem – to straszne, co powiem – to jakby mi powiedział, że zrobiłam coś bardzo złego. Tak na mnie działa polityka.

Z każdym?

– Na razie z każdym.

Na przykład: „Widziałam panią z Kaczyńskim”.

– To katastrofa, właściwie mogłabym się już pakować i lecieć na inną planetę. To wyprowadzka z planety Ziemia.

„Widziałam panią z Barbarą No-wacką”.

– To jest polityczka, którą bardzo cenię i szanuję.

„Widziałam panią z Tuskiem”.

– Bardzo go szanuję, ale gdybym była widziana z panem Tuskiem, to natychmiast byłabym włożona do jego wora. A ja nie chcę, mam jakiś introwertyczny strach przed światem polityki.

Ale na wybory pani chodzi.

– Oczywiście. I głosuję, rękami i nogami.

Sercem czy rozumem?

– Sercem, rozumem. Pani by pewnie chciała wiedzieć, na kogo głosuję?

Ciekawi mnie, jak to jest głoso-wać, skoro polityka jest taka od-rażająca.

– Boję się tego świata, ale głosuję. Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć, mam swoją opinię, ale w życiu bym nie łączyła tego z moją pracą. Chcę chronić mój świat, świat mojej pracy, myślę, że on bez polityki jest czysty.

Chociaż polityką pani żyje.

– Dualność trochę. Nie pozwalam w mojej pracy zajmować się polityką, ale wiem, że moje radio, Radio Nowy Świat, ma określoną linię, światopogląd, z którym się utożsamiam.

Kiedyś moim radiem była Trójka. Słuchając Trójki jako dziecko, marzyłam, żeby pracować w radiu, żeby prowadzić audycje. Niedawno poprowadziłam swoją audycję „Rozdźwięki”. Bardzo to przeżywałam, ale to niesamowicie przyjemna rzecz.

W Radiu Nowy Świat sporo pani pracuje.

– Robię „Rozdźwięki”, prowadzę koncerty życzeń i jeszcze robię słuchowisko kryminalno-komedio-we „Porucznik Jagoda Hyc”. Naj-

więcej czasu zajmuje mi słuchowisko, tak z pięć, sześć godzin sam montaż. Udźwiękowiam sobie sama, kombinuję, szukam w sieci. Mnóstwo ludzi mi pomaga, nagrywa. Na szczęście są teraz świetne komórki, ludzie nagrywają na komórkę, na dyktafon i to się nadaje. Ja to potem czyszczę, poprawiam, robię efekty.

Pani przygoda z kabaretem się zaczęła od... galotów. Rzadkie.

– Byłam wtedy dzieckiem i całą sobą chciałam zwrócić na siebie uwagę. W związku z tym, że miałam poczucie, że jestem przezroczysta, niewidoczna, mała, bardzo wstydliwa i bojąca się relacji z innymi dziećmi, ze światem, bardzo się bałam. I bardzo, bardzo chciałam, żeby ktoś mnie przytulił, żeby ktoś się mną zajął. Potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa, bo go nie miałam.

Wiedziałam, że muzyka, sztuka to jest wyjście z sytuacji, że bardzo chcę to robić, i pędziłam na zajęcia do domu kultury w Lubinie. Pędziłam na wszystkie zajęcia i tam tańczyłam w zespole ludowym.

No i tańczymy po raz pierwszy, moja mama była akurat na widowni, co mnie bardzo cieszyło, chciałam, żeby była ze mnie dumna. Tańczyliśmy w strojach ludowych, dziewczynki miały galoty – kiedy byliśmy naprzeciwko widzowi, to się odwracałyśmy tyłem i podnosiłyśmy spódnicę. Kto to wymyślił, żeby małe dziewczynki... Teraz w życiu bym nie pozwoliła dziecku na coś takiego.

To były takie galoty z nogawkami?

– Z nogawkami, ale jednak. Usłyszałam śmiech na widowni. I to mi dało taką przyjemność, że już wtedy wiedziałam, że muszę robić wszystko, żeby ludzie się śmiali. I w klasie, w szkole już się tylko tym zajmowałam. Nauka mnie w ogóle nie interesowała.

Była pani utrapieniem nauczycieli, skoro na lekcjach rozśmieszała pani kolegów.

– Może utrapieniem nie, ale unikałam szkoły jak ognia. Przesiadywałam w toaletach, uciekałam, rysowałam coś tam na ścianach. Jeżeli ktoś widział jakieś napisy w szkole, to ja.

To jak udało się przez to przejść?

– Byłam sprytna. Tu zakombinowałam, tu coś ściągnęłam, czytałam lektury albo nie czytałam, albo tylko trochę. Potrafiłam na podstawie kawałka napisać świetne wypracowanie. Dobrze pisałam i tak sobie jakoś radziłam. Mojemu dziecku też powiedziałam: „Nie musisz mieć dobrych ocen, radź sobie”.

I sprawdziło się?

– I się sprawdziło. ●



FOT. JOANNA HELANDER

N



FOT. DONAT BRYCZYŃSKI/REPORTER

Na pokład samolotu do Sztokholmu wsiadalem z jedną myślą: jak to będzie po dwudziestu latach odwiedzić Joannę Helander w jej pracowni Konstepidemin. Joanna, oko absolutne pokolenia '68, kobieta z Rudy Śląskiej, która jako dwudziestolatka wywiesiła w oknie krakowskiego akademika elementarne żądanie: „Sowieci ręce precz od Czechosłowacji”. Odsiadka w PRL-owskim pierdlu – jak sama mówi – zrobiła z niej artystkę. Kobiety, które tam spotkała, ich trudny, niewidzialny los ofiar systemu komunistycznego odnajdziemy później na ikonicznych zdjęciach, które Helander zrobiła latem 70. i 80. w Polsce. Te urobione po pachy kobiety, w znoju i onucach, niczym na obrazach Zbyluta Grzywacza, stały się bólem fantomowym czasów słusznie minionych. Ale czy faktycznie minionych? Kiedy dziś oglądam słynne książki fotograficzne Helander, nie wydaje mi się, żeby cokolwiek z tego bólu bezpowrotnie minęło. Spójrzmy na legendarny debiut Helander „Kobiety”, jeszcze z lat 70. Wystarczy dziś odwiedzić niektóre zamrożone pod lodem czasu dzielnice Rudy czy Świętochłowic. Te kobiety dalej stoją w bramach, pod spożywczym, opierają się na pościeli wietrznej w oknach familoków. Minęło parę pokoleń, a one jak uparte kariatydy utrzymują szare sklepienie nieba, żeby nie runęło na głowy zawianym mężom i gromadzie dzieci grających w palanta. Zajmując swoje miejsce w samolocie, miałem pod przymkniętymi powiekami te obrazy. Patrząc na załogę i instruktaz bezpieczeństwa, zastanawiałem się, co Joanna czuła, kiedy już udało jej się uciec z Polski do Szwecji. Był to rok 1971. Nie pamiętam, czy uciekała wodą, czy niebem. Dopiero za sześć lat miałem się urodzić.

Dwadzieścia lat temu też leciałem do Joasi, która maczała palce w wielości inicjatyw kulturalnych na linii Polska – Szwecja. Ona i Bo Persson to był i jest pewny adres dla wszystkich, którzy chcą coś zrozumieć z losów emigracji politycznej, poczuć traumę polskiego antysemityzmu, wyobrazić sobie, jak wchodzi się w tkankę obcego, choć bardzo otwartego społeczeństwa. Joanna zawsze podkreśla, że w Szwecji natychmiast poczuła się jak u siebie, na swoich zasadach osobistej wolności, pośród ludzi, którzy zobaczyli w niej wybitną fotografkę. Helander wystarczyła dekada, by stać się jedną z najważniejszych artystek w Szwecji. W 1983 r. została Fotografem Roku. Joasia, z domu Koszyk, założyła z Bo

enigmatyczne Kino Koszyk, kręcili razem filmy, organizowali pomoc dla ofiar stanu wojennego, a przede wszystkim regularnie odwiedzali Polskę. Wizyty te zaowocowały całą masą zdjęć, które stanowią idolatrię polskiej kultury niezależnej.

Silne związki artystyczne z Teatrem Ósmego Dnia, relacje przyjaźni z poetkami i poetami, wreszcie sztama z opozycją antykomunistyczną przyczyniły się do powstania zdjęć, które w niesamowity sposób uchwyciły coś, co chyba można nazwać duchem czasu, miejsc i nade wszystko ludzi. Ludzie na zdjęciach Helander są bowiem doposażeni w duchową wartość dodaną nie przy pomocy manipulacji w ciemni, tylko dzięki surowej przenikliwości spojrzenia artystki i decyzji, kiedy nacisnąć spust migawki. Kiedy Joaska staje się przed obiektywem, zawsze mówi: „Boczekiem, do światła”. I coś z tego światła zostaje przez nią człowiekowi dodane, zwłaszcza kiedy fotografuje ból i czas, ich egzystencjalny tandem napędzany siłą mięśni i zmarszczek. W jakimś sensie nawet dzieci na zdjęciach Helander mają zmęczone, dorosłe spojrzenia.

Pisze się czasem, że fotografie Helander są czule. Nie sądzę. Dla mnie pozostają rewersem artystki – „ciemnym świecidłem” jej faktycznie czulego usposobienia. Owszem, Joanna jest chodzącym dobrem, ale nie to stanowi o sile jej działań artystycznych. Najlepiej to widać, kiedy zaczyna fotografować. Jej twarz zmienia wyraz, staje się surowa. Mało tego. Wyczuwa się w niej coś w rodzaju podkurwienia. Zwłaszcza że przeklina rewolucyjną zmianę w technologii robienia zdjęć. Dziś każdy pstryka co popadnie. Im więcej zdjęć, tym mniej artystów fotografii. Dwadzieścia lat temu stanąłem w Konstepidemin przed Joaską, która w rękach miała swoją starą leicę. Rozpoczęło się nowe tysiąclecie, fotografia analogowa odchodziła w przeszłość, podobnie jak świat dawnych totalitaryzmów, a ten naostrzył etycznie pokolenie '68.

W Sztokholmie wylądowałem w czasie, który politycznie wydaje się rodzajem przesilenia. Oto z przytupem do parlamentu weszli szwedzcy demokraci. Mówiąc za Ryszardem Krynickim, to „faszyści, którzy zmieniają koszule”. Te nowe koszule są idealnie wykrochmalone w retoryce politycznego mainstreamu nakazującemu skrajnym ugrupowaniom poważną korektę wiecowego krzykactwa, które dało im świetny rezultat wyborczy. Rządze-

Nowy serwis

żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

FOT. JOANNA HELANDER



CO MNIE URZEKŁO

Oko absolutne

Minęło parę pokoleń, a te kobiety jak uparte kariatydy utrzymują szare sklepienie nieba, żeby nie runęło na głowy zavianym mężom i gromadzie dzieci grających w palanta.

KRZYSZTOF SIWCZYK

nie w Szwecji – odwrotnie niż w Polsce – to nie polityczny wiec nienawiści do imigrantów i mniejszości, tylko zimna, systemowa pragmatyka zarządzania społeczeństwem, które faktycznie przechodzi kryzys polityki otwartości, socjału i – podobnie jak inne dojrzałe demokracje – choruje na globalny lęk ekonomiczny. Z perspektywy Polski ta monarchia wydaje się wyposażona w dużą liczbę systemowych bezpieczników, które nie pozwolą na jej antydemokratyczny demontaż. A jednak, wychodząc z lotniska, poczułem pełną groźbę hasła: „Szwecja dla Szwedów”. Zwłaszcza że utarta, poświęcona doświadczeniami historycznymi opinia każe raczej głosić hasło: „Szwecja dla Polaków”.

Tak czy inaczej zacząłem się rozglądać za Joanną, przypominając sobie tytuł jednego z jej albumów: „Gdyby ta Polka była w Szwecji”. Bo Persson – dla przyjaciół Buba – którego spotykam na własnym spotkaniu autorskim, mówi, że jest, tylko już pojechała do Göteborga, gdzie jedziemy pociągiem. Buba przeklina szwedzkie koleje państwowe, które częstują go non stop spóźnieniami wynoszącymi często i trzy godziny. Tym razem w te trzy godziny już jesteśmy na targach książki. Gargantuiczne, umiejscowione w Gothia Towers targi to z pewnością nie miejsce dla literatury. Pełnią raczej funkcję terapeutyczną. W takim zalewie książek i autorów człowiek uzurpu-

jący sobie jakieś prawo do literackiej jedyności od razu zostaje postawiony do zdroworoządkowego pionu. Okazuje się tylko częścią masy przesuwanej w układzie trawiennym rynku, na którym książka wie-dzie żywot popołudniówki i schodzi z afisza jeszcze przed wieczorem. Trochę jak rzeczywistość traktowana za pomocą przekłętego słówka „narracja”. Rzeczywistość nie daje rady dożyć do wieczora w jakimś stabilnym kształcie. Po nocy jest już o wiorstę dalej w swojej własnej degrengoladzie.

Palę fajkę przed wejściem i widzę nagle Joannę: rzeczywistość, która się nie zmienia. W zawadiackim stroju, uśmiechnięta, w lenonkach. Witamy się po śląsku. Ta poliglotka bezpiecznie przeprowadza mnie po wystawienniczych boksach, znajduje spokojny pressroom, przynosi kawę. Siadamy, gadamy. Wreszcie wyjmuję aparat, strzela parę razy na oślep, a potem słyszę znajomą komendę: „boczek, do światła”. Światło bijące od Joanny być może dziś jest jeszcze ostrzejsze niż dwie dekady temu, o czym przekonuję się w Konstep-demin, gdy w kuchni gadamy o jej rówieśnikach i przyjaciółach. Nie chce mi się wierzyć, że ludzie, którzy zrobili mi wolną Polskę, znowu muszą się użerać z tej Polski najgorszymi demonami. Joaśka twierdzi, że w sumie dzisiejsza Polska nie jest jeszcze wariantem najbardziej dojmującym, że jesz-

cze mamy troszkę do dna. Ripostuję, że każdego następnego dnia pod butem Kaczyńskiego czuję się jak tytuł książki Stanisława Czystcha „Nie wierz nikomu”. I chyba o tym powszechnym braku zaufania do państwa, jego urzędników, policji, służb mówi mi się z Joasią najłatwiej, mając na uwadze, z kim rozmawiam. Wszak tę wspaniałą kolację, na którą złożyły się ogórki małosolne własnej roboty, śledzie, sery i wina, przyrządziła mi dziewczyna, która z niejednego pieca chleb jadła. Pokazuje mi kufrы po Żydach, w które pakowała swoje rzeczy przed ucieczką z Polski. Te nieme kufrы wypełniła pamiątkami, które jakoś ocalały z przeszłości. Być może dziś działają na wyobraźnię jeszcze mocniej.

Po chwili do kolacji dołącza Julian Birbrajer, mój wspaniały tłumacz, młodszy nieco od Joaśki. Opowiada o swoim roku 1968. Ludzie, z którymi jem i piję, ludzie o doświadczeniu aktualizującym się zawsze i wszędzie, ludzie, którzy starzeją się pięknie, w wielu językach zjednoczonej Europy, której szczęśliwie dożyli. Moje doświadczenie komuny jest zaledwie arka-dyjskim epizodem dzieciństwa i wczesnej młodości, której historia podarowała kar-nawał 1989 roku. Tym ludziom jestem jakoś podskórnie wdzięczny. Nie ma w nich bowiem kombatanctwa, nie roszczą sobie prawa do jakichś honorów, śmieją się, kiedy niektórzy z dawnych znajomych elegancko oddają ciała reżimowi z Nowogrodzkiej. Miałem to szczęście, że tych ludzi znałem i znam nadal, że dane jest mi się też z nimi starzeć, co bezapelacyjnie wyszło na zdjęciu, które zrobiła mi Joaśka. Po dwudziestu latach mam jeszcze resztkę włosów, chociaż oczy mówią, żeby nie wierzyć nikomu. Joaśka mówi, że to minie jak wszystko. Wierzę jej, bo do czasu ma oko absolutne. ●

◀ Dzień Kobiet, 1976 r.

▲ Fabryka cukierków, Godula, Ruda Śląska, 1976 r.

▼ Fryzjerki, Ruda Śląska, 1982 r.

FOT. JOANNA HELANDER



Z **DAMIANEM DUDĄ***, SZEFEM
POLSKICH RATOWNIKÓW W UKRAINIE,
ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Jaka jest twoja pierwsza myśl, gdy się budzisz na froncie?

– Zależy, czy obudziły mnie wybuchy, czy krzyk, że przyjechali ranni. Ale i tak pierwsze, co robię, to walczę, aby przedłużyć drzemkę chociaż o kilka minut, ponieważ nie wiadomo, kiedy będę mógł pójść spać. Potem zaczyna się proces adaptacji: dociera do mnie, gdzie jestem, kim jestem i co się dzieje.

Na froncie miejsce medyków zagranicznych jest najczęściej w transportach ewakuacyjnych bądź w punktach stabilizacyjnych. Nasza robota jest dość specyficzna, ponieważ bywało, że ratujemy żołnierzy bezpośrednio spod ognia, udzielamy pomocy, stabilizujemy i przygotowujemy do transportu do szpitala, ale zostajemy z żołnierzami, którzy dalej walczą. Działamy bezpośrednio w strefie zero.

Jak to wygląda w praktyce: gdzie śpisz, jak i w czym?

– Śpimy, gdzie się da. Od punktu stabilizacyjnego, gdzie mamy jakieś łóżko, po okopy, gdzie śpimy na karimatach na ziemi. Linia frontu z zasady nie jest miejscem do przebywania, więc kiedy sytuacja zmusi nas, by zostać dłużej, niż przewiduje zadanie, to śpimy gdzie bądź. Czasami zdarza się, jak ostatnio w Soledarze, że po drodze znajdujemy opuszczoną chatę, są łóżka i można by się położyć. Mimo wszystko i tak bierzesz karimatę i kładziesz się na podłodze.

Dlaczego?

– Bo masz świadomość, że im niżej leżysz, tym mniej będą latały odłamki, gdy ostrzał artyleryjski będzie tuż obok.

Zdarzyło się, że spaliśmy po dwie osoby w okopie metr na dwa. Gdy ktoś spał, drugi musiał siedzieć. Nie mogliśmy go rozbudować, ponieważ każde wyjście na zewnątrz kończyło się ostrzałem.

Gdy wiemy, że będzie dużo rannych, nawet nie wychodzimy ze sprzętu, tylko nakrywamy się spiworami. Jeżeli jest prawdopodobieństwo, że będzie trochę spokojniej, zdejmujemy kamizelki oraz helmy. Spanie bez sprzętu jest ważne, bo on bardzo obciąża kręgosłup i plecy. Staramy się przytulić do ścian albo spać w środkowym pomieszczeniu, żeby w przypadku uderzenia raketowego być względnie bezpiecznym.

A śnisz o czymś?

– O najzwyklejszych sprawach, na przykład że powinienem wymienić kanapę i dokupić coś w Ikei.

W wywiadach opowiadasz o horrorach wojny, których doświadczyliście, np. o Ukraińcu z wyciętym sercem, które Rosjanie wzięli najpewniej jako trofeum. Jak odreagowujesz te okropności, z którymi wracasz z frontu? Medytacja, sport, odmóżdżający serial na Netflixie?

– Na wojnie prawda umiera jako pierwsza, dlatego wszędzie podkreślam to, co naprawdę się tam dzieje. Natomiast ratownicy pola walki są taką klepsydą, z której okropieństwa muszą się po prostu osypać. Czasem to idzie szybciej, czasem wolniej. Przez pierwsze dni patrzysz na znajomych czy współpracowników, oni coś do ciebie mówią, ty ich słuchasz, ale myślami jesteś gdzie indziej. Łapię się na tym, że musisz się ściągać na ziemię, do sytuacji, w której funkcjonujesz. Cały czas mam kontakt z tymi chłopakami, pół mojego zespołu dalej jest pod Soledarem, więc tak naprawdę nie da się całkowicie odciąć. Każdy ratownik musi znaleźć swoją kotwicę, która będzie go trzymać w miejscu, w którym naprawdę żyje.

Co jest twoją kotwicą?



PRZYJACIÓŁKA RATOWNIKA

W okopie śni mi się, że powinienem wymienić kanapę i dokupić coś w Ikei.

– Najbliżsi, znajomi, praca i to, że mogę przekazywać doświadczenie w instytucjach zajmujących się bezpieczeństwem.

Tylko o rodzinie nie chcę, ale także nie mogę się wypowiadać, bo to kwestia jej bezpieczeństwa. Takie wywiady często wykorzystują Rosjanie.

Jak kontaktujesz się z nimi, będąc w strefie zero? Dzwonisz, piszesz esemesy? Raz na dwa, trzy dni?

– Co ty. Nie ma opcji raz na jakiś czas. Oni by chyba zwariowali, gdybym się odzywał raz na trzy dni. Tu chodzi także o ich komfort psychiczny. Kontaktuję się z nimi rano i wieczorem, jeżeli nie mam bezpiecznego internetu, to jest telefon satelitarny. Gdy nie możemy w ogóle zadzwonić, to umawiamy się na puszczanie sygnału, że żyję i że jest OK. Jeżeli nie ma z nami w ogóle kontaktu, to na froncie jest sieć ludzi, którzy się kręcą wokół nas, a bliscy medyków są dokładnie poinformowani, do kogo i w jakiej kolejności dzwonić.

Jeździsz do Ukrainy od prawdziwego początku tej wojny, czyli od 2014 roku. Jak te przeszło osiem lat zmieniło cię jako człowieka?

– Przede wszystkim pierwszy raz pojechałem, mając w głowie rosyjską propagandę. Na miejscu dotarło do mnie, że bardzo dużo źródeł, szczególnie z mediów prawicowych, które przecież nawołują do walki z Rosją, powiela propagandę Kremla. To jakieś szaleństwo.

Generalnie wszystkie doświadczenia z Ukrainy nauczyły mnie, żeby nie wypowiadać się na temat rzeczy, których nie

usłyszałem czy zobaczyłem. Że osąd spraw, na których się nie znam, jest nie tylko głupotą, ale także może pomóc propagandyście działającym na wojnie informacyjnej.

Wyjazdy do Ukrainy zmieniły też moje podejście do świata. Wcześniej przejmowałem się wieloma rzeczami, np. co kto o mnie powiedział, pomyślał, że nie mam czy nie umiem czegoś, co ma i umie ktoś inny i tak dalej. Tam okazało się, że to pierdoły. Odkryłem, że zwykły chleb może być największą uczcą, a zwykłe spojrzenie w gwiazdy budzi więcej emocji niż najlepsza sztuka teatralna czy hollywoodzki film. Przede wszystkim chodzi o to, że jeśli możesz spojrzeć w te gwiazdy, to znaczy, że dalej żyjesz, masz oczy, możesz wyjść z jakiegś nory i jesteś na tyle bezpieczny, aby podnieść głowę do góry. To pewnie brzmi trywialnie, ale na froncie nauczyłem się doceniać rzeczy, na które wcześniej w ogóle nie zwracałem uwagi.

Jaki moment był najtrudniejszy?

– Najtrudniej jest, gdy widzisz, jak ginie ludność cywilna. Jak rakiety spadają na miasta i doświadczasz śmierci ludzi, którzy chcą normalnie żyć. Gdy działaliśmy w Miłokajowie na południu Ukrainy, w Wielki Piątek rakiety uderzyły w pobliżu cerkwi i zabiły trzy osoby, a dotkliwie zraniły kilkanaście. Rozumiesz? Wielki Piątek, golgota, a ty jeździsz dookoła i widzisz porozrzucone ciała. Podkreślę, że była to cerkiew moskiewska. W takim momencie dociera do ciebie bezsilność. Kiedy jesteś żołnierzem i idziesz na front, to wiesz, co się może wydarzyć, i jesteś na to przygotowany. Jako ratownicy też jesteśmy świadomi,

FOT. GETTY IMAGES



mu była w stanie tak skutecznie się bronić i odbić dużą część terytorium. Ale ten konflikt mogą porównać do biegacza: nikt nie może przebiec sprintem całego maratonu. W pewnym momencie każdy straci siły i zacznie zwalniać. Ukraina jest dzisiaj wojną po prostu zmęczona i z każdym dniem to widać coraz mocniej.

Czyli choć ukraiński przekaz medialny podnosi morale i krzepi serca, sytuacja jest coraz gorsza?

– Ciągłe wyginana gałąź w końcu pęknie. Zmęczenie materiału jest normalną rzeczą. To nie jest tak, że można rzucić każdą liczbę ludzi na front. Ten kraj nie jest z gumy.

podstawowe elementy oraz nawyki zachowania w rejonie konfliktów zbrojnych.

Na pewno do odsiewu są osoby, które mają problemy w kraju i niepozałatwiane sprawy. Ludzie, dla których front jest ucieczką. Jeżeli ktoś nie ma wyprostowanej sytuacji w domu i musi uciekać w wojnę, to prędzej czy później to wyjdzie kosztem ludzi wokół.

Masz na myśli konflikt z prawem czy raczej balast emocjonalno-psychiczny?

– Na przykład sprawy finansowe, rodzinne, problemy w związku, żona albo dziewczyna, która nie chce z tobą być. Cokolwiek, co cię rozprasza i myślami trzyma w kraju.

Żołnierze NATO są przyzwyczajeni do poligonów z ogrzewanymi namiotami i stołówek, do których zawsze dojedzie jedzenie. Ukraińcy są gotowi spać w styczniu w norach ziemnych. Jak trzeba, złapią zdziczałą świnię, wypatroszą i zjedzą. Takie rzeczy nie mieszczą się w głowach zachodnich wojskowych

A cywile? Czy morale zwykłych ludzi jest wciąż tak wysokie jak w zeszłym roku?

– Różnie jest. Niektórzy wierzą w zwycięstwo, inni chcą wierzyć, ale to coraz trudniejsze. Ale jedna myśl nie zmienia się u wszystkich: nie mamy innego wyjścia. Albo my ich, albo oni nas.

Jeszcze w czasie Majdanu część Ukraińców była prorosyjska, ale po obrazach z Buczy oraz Irpinia ludzie nie mają żadnych złudzeń, że to są dwie różne cywilizacje. W ciągu ostatniego roku sporo Ukraińców zdało sobie sprawę, że nie można stać w rozroku.

À propos Buczy i cywilizacji: co czuje człowiek, gdy wchodzi do piwnicy, w której leży 30 zamordowanych cywilów?

– Widziałem doły śmierci w Buczy i Borożiance i za każdym razem czułem tę samą przeszywającą bezsilność. To zostaje w człowieku chyba na zawsze.

Jaka jest najważniejsza cecha charakteru, którą powinien mieć ratownik chcący jechać na front?

– Idealnym ochotnikiem powinna być osoba, która potrafi pracować w chaosie. Jeszcze w Polsce poznałem wielu ludzi, którzy mieli doświadczenie ze służby w kraju, a przyjeżdżali do Ukrainy i nie byli w stanie podjąć żadnych zadań, bo paraliżował ich brak informacji.

Okazało się, że w świecie procedur natowskich, gdzie wszystko jest ustalone od A do Z, można było funkcjonować na zasadzie algorytmu: nie wyjdzie jedno, to robię drugie, wydarczy się to, więc odpowiadam tamtym. W Ukrainie tak się nie da. Niektórzy ochotnicy mówili, że nie pójdą do walki bez pełnych danych, a ukraińscy żołnierze odpowiadali, że sorry, ale oni nie dostali wszystkich potrzebnych informacji, ale mogą dostać paragraf niewykonania rozkazu.

Jeżeli ktoś chce pracować na froncie, to musi mieć świadomość, że wojna to przede wszystkim chaos. Albo jest sporo wzajemnie wykluczających się informacji, albo jest ich kompletny brak. To samo z ogniem: nie jest oczywiste, że strzela do ciebie wróg, może strzelać jednostka przyjacielska, ponieważ nie wie, po czyjej jesteś stronie.

Na co najbardziej zwracacie uwagę przy rekrutowaniu? Jak wykonujecie odsiew?

– Staramy się brać ludzi, którzy mają doświadczenie, po pierwsze, medyczne, a po drugie, bojowe. Jeżeli ktoś nigdy nie walczył, to żeby przynajmniej był na wojnie jako wolontariusz czy dziennikarz i miał te

Jakie jeszcze cechy mogą wykluczyć kandydata?

– Brak cierpliwości, karności, umiejętności pracy w zespole i zbyt duża brawura.

Brawura? Na przykład medyk bierze broń i idzie strzelać?

– Niestety, to się zdarza, gdy medycy idą o krok za daleko, robiąc coś, co na pewno może skończyć się zgonem. Zgony są wpisane w pracę na froncie, ale chodzi o sytuacje, w których ktoś podbija to prawdopodobieństwo. Na przykład gdy podczas jazdy z rannym dochodzi do konfliktu, ponieważ jakaś osoba „wie lepiej”. Po każdym takim spieciu musimy natychmiast usiąść i przegadać ten problem, ponieważ w okolicznościach frontu to będzie narastać i stanie się zagrożeniem.

A co z opieką psychologiczną po akcji? Ratowników pewnie też dotyka PTSD, zespół stresu pourazowego.

– Wiadomo, że medycy, którzy pracują na linii frontu, są bardziej na to podatni niż ci, którzy pracują w punktach stabilizacyjnych i odbierają rannych żołnierzy. U nas dawka bodźców i ryzyka jest zdecydowanie większa. W naszym zespole na szczęście tego jeszcze nie zaobserwowaliśmy, ale zakładamy, że prędzej czy później to się może pojawić. Oczywiście po powrocie do Polski staramy się zachować higienę psychiczną. Rozmawiamy z bliskimi, terapeutami i przepracowujemy rzeczy, które nam ciążyą. To, że teraz z tobą rozmawiam i mówię o swoich doświadczeniach, a nie duszę ich w sobie, też jest formą autoterapii.

Przypomina mi się słynny film „Hurt Locker. W pułapce wojny”, którego bohater jest uzależniony od wojny i jeździ na kolejne misje do Iraku, żeby poczuć adrenalinę frontu. Spotkałeś się z czymś podobnym?

– Nie chcę się wypowiadać o naszym zespole, ponieważ nasi przeciwnicy też czytają, słuchają i zbierają wykaz naszych słabych stron, ale ogólnie to tak. Ten film bardzo nie odbiega od rzeczywistości frontu.

Czego najbardziej potrzeba działającym w strefie zero medykom?

– Przede wszystkim sprzętu do transportu rannych, czyli samochodów oraz ich dopancerzenia. Średnia długość życia samochodu na froncie to miesiąc. Nasz wytrzymał miesiąc i tydzień, więc i tak długo. Do tego sprzęt ochrony osobistej oraz mundury, które się co chwilę spierają, psują i prze-

dzierają. Wojna jest taką studnią, do której można wrzucić dowolną ilość sprzętu, a i tak będzie brakowało.

Jak ja – zwykły facet – mogę pomóc? Co, gdzie i komu wysłać? Stawiać bardziej na pieniądze pod konkretne zbiórki czy na sprzęt mniejszy niż samochód?

– Oprócz tego, że można nas wesprzeć pieniężnie, można się zgłosić na naszym profilu facebookowym, gdzie udostępniliśmy ankietę kontaktową. Jeżeli ktoś chce nam pomóc, to nie musi się od razu pakować i jechać na front, prowadzimy także działalność informacyjną, humanitarną.

Będziesz wracał do Ukrainy?

– Oczywiście. Ruszę, jak tylko zbiorę kolejny zespół i zatroszczę się prawnie o nasze bezpieczeństwo. My dotychczas nie mieliśmy ubezpieczenia i jeżeli coś by się nam stało, to nasze rodziny płaciłyby za sprowadzenie naszych zwłok i nie dostałyby żadnego odszkodowania.

Kto miałby was ubezpieczyć?

– W Polsce takiej oferty nie ma, ale są zagraniczne firmy, które ubezpieczają osoby działające w rejonach konfliktów zbrojnych. To są potężne stawki, na które dotychczas nie było nas stać, ponieważ działaliśmy za własne pieniądze.

Kiedy przez Polskę przelewały się pierwsze fale oddolnej pomocy, a ludzie skrzykiwali się na Facebooku, były doniesienia o fatalnej logistyce. Zdarzało się, że rzeczy, zamiast trafiać do żołnierzy czy medyków, zalegały w punktach tranzytowych. Teraz jest lepiej?

– Niestety, to był całkiem duży problem, np. kiedy Ukraińcy bronili się pod Kijowem, we lwowskich magazynach zalegała kupa broni i sprzętu. Na szczęście wolontariusze oraz działacze humanitarni dość szybko się połąpali, jak to powinno działać, i materiały docierają do okopów już bez problemów. Minał prawie rok, więc sprawny system kanałów, którymi broń czy sanitarka płynie na front, a ciuchy czy sprzęt do punktów stabilizacyjnych, wytworzył się niejako naturalnie.

Dostrzegasz jakąś fundamentalną różnicę między żołnierzami ukraińskimi a międzynarodowymi ochotnikami?

– Ukraińcy są w stanie bardzo mocno zredukować swoją strefę komfortu. Na przykład żołnierze NATO są przyzwyczajeni do poligonów, gdzie są ogrzewane namioty oraz stołówki, do których zawsze dojedzie jedzenie. Ukraińcy są gotowi spać kilka miesięcy w norach ziemnych, nawet w styczniu, i żywić się konserwami. W sytuacjach ekstremalnych złapią zdziczałą świnię, wypatroszą, oporządzą i zjedzą. Takie rzeczy nie mieszczą się w głowach zachodnich wojskowych.

Czego ci życzyć przy kolejnych wyjazdach?

– Ukraińcy mówią, że chcą jedynie spokoju tego nieba. Ja też się pod tym podpiszę. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Damian Duda

szef Ochotniczego Zespołu Medyków Pola Walki oraz Wydziału Polityki Informacyjnej w Rządowym Centrum Bezpieczeństwa

NASZA EUROPA

Mario Vargas Llosa

TNIJCIE PRZYMIOTNIKI

Nieśmiertelność to byłaby nuda. Chyba lepiej umrzeć. Jak najpóźniej, ale jednak.

Manuel Jabois

EL PAÍS

Mario Vargas Llosa, 86-letni noblista z Peru, podejmuję mnie przy Calle de la Flora w centrum Madrytu, w mieszkaniu, do którego niedawno powrócił po siedmiu latach spędzonych pod innym słynnym adresem – w domu Isabel Preysler, gwiazdy telewizji (i byłej żony Julia Iglesiasa), przy Puerta de Hierro. „Nareszcie w swojej bibliotece” – powie pisarz w polowie wywiadu, częstując mnie winem i żartując, że to prawie jak powrót do Itaki.

Autor „Miasta i psów”, „Rozmowy w »Katedrze«”, „Zielonego domu” w tym miesiącu oficjalnie stanie się członkiem Académie Française, jako jeden z nielicznych cudzoziemców w historii tej założonej w 1634 r. przez kardynała Richelieu instytucji i pierwszy, który nie ma na koncie książki napisanej po francusku.



Francuscy akademicy nazywani są „nieśmiertelnymi” za ich dewizą: „À l’immortalité”. Nieśmiertelność to byłaby nuda. Chyba lepiej jest umrzeć. Jak najpóźniej, ale jednak.

Dzieło jest nieśmiertelne?

– Kiedy myślę, co po mnie pozostanie, myślę raczej o moich dzieciach i wnukach, nie o swoich książkach. Chociaż może kilka zasługiwałoby na to, żeby mnie nieco przeżyć. „Rozmowa w »Katedrze«” i „Wojna na końcu świata” – to dwie, które kosztowały mnie najwięcej. Ale nie myślę ani o śmierci, ani tym bardziej o trwaniu mojego „dzieła”.

O czym w takim razie?

– Codziennie z nienawiścią zauważam kolejne symptomy starzenia się, jak staję się ludzką ruiną. Na przykład pamięć: zawsze szczyliłem się doskonałą, a dziś nawet jeśli coś z niej wydobywam, to są to cienie dawnych obrazów, ubogie w detale. Twarze owszem, ale imiona często przepadły.

Popada pan w nostalgię?

– Do pewnego stopnia, niestety. Ciekawe, że lata uniwersyteckie pamiętam nadal wyraźnie, natomiast po nich następuje mgła. Albo chmury, od których zmieniających się kształtów zależy, czy wspomnienia są przyjemne, czy smutne. Z dzieciństwa w Boliwii, gdzie przeniosła się moja rodzina, pamiętam mnicha, który nauczył nas czytać: brata Justiniano. Był to mały, stary Włoch, kazał nam przy nauce tańczyć. To było fantastyczne – czytanie. Oznaczało wielką zmianę, niemal z dnia na dzień wkroczyłem w świat, który był nieskończony, w przeciwieństwie do Cochabamby, która była małym miastem. Mogłem podróżować w przestrzeni i w czasie. Książki oznaczały przygodę, zwłaszcza zakaza-

ne. Matka zabroniła mi czytać książkę, którą trzymała na szafce nocnej. Pamiętam ją wyraźnie: żółta okładka z niebieskimi literami: „Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpacz” Pabla Nerudy. Pamiętam kilka wersów z początku: „Mi cuerpo de labriego salvaje te fecunda y hace saltar al hijo del fondo de la tierra”. Dzikie ciało, ziemia, zapładnianie? Nie wiedziałem, o co chodzi, ale podejrzewałem, że czai się tam grzech...

A pański ojciec? Rozstał się z pana matką, gdy miał pan rok, bo z zazdrości zamknął ją w domu, podczas gdy sam miał kochanki i dzieci z nimi. Do dziesiątego roku życia był pan przekonany, że ojciec nie żyje. Tymczasem on wtedy wrócił. – Nigdy nie było między nami łatwego porozumienia, zawsze było ogromne napięcie. Powiedzmy, że to była moja wina; miałem mu za złe, że zabrał mi uwagę matki, ale był też człowiekiem bardzo sztywnym, twardym. Mój wybór, by pisać, był sposobem na przeciwstawienie się jego władzy.

Wspominał pan, że ojciec był zawsze zdziwiony i właściwie nie lubił, gdy znajdował swoje nazwisko nawet w takich gazetach jak „The New York Times”. – Miał wyobrażenie, że wszyscy pisarze i poeci to albo pijacy, albo pederasci: to go przerażało. Syn, który spędza noc na pijackich orgiach: takie było jego wyobrażenie o literackim powołaniu. Umieścił mnie w Colegio Militar Leoncio Prado, ponieważ uważał, że wojsko wybije mi literaturę z głowy. I tu się pomylił, bo właśnie w Leoncio Prado zacząłem pisać zawodowo: pisałem listy w imieniu żołnierzy, którzy nie mieli pojęcia, jak należy odpisywać do swoich ukochanych. To była dobra zabawa – czytanie tej korespondencji miłosnej...

Czasem we wspomnieniach wymyka się panu uwaga: „Jakim cudem udało mi się tyle napisać?”. To dlatego, że pisanie jest czynnością niemal mimowolną, jak oddychanie? – O nie. Dla mnie to był zawsze ogromny wysiłek, na granicy cierpienia, a jednocześnie cały czas musiałem się poprawiać. Pisałem w prymitywnym, barokowym stylu, a w gazecie trzeba było trzymać się deadline’ów. Więc codziennie od rana mówiłem sobie: wycinaj przymiotniki! To ważne: jak najmniej przymiotników.

„Zawsze starałem się oddawać prozę na usługi opowieści, a nie odwrotnie”. – O właśnie, niech bohaterowie opuszczą papier i żyją na własną rękę. Ważne było, aby postaci nie przeszkadzały językowi, ale też by język służył ludziom powołanym do życia w danej powieści. To była moja obsesja. Już nie teraz, ale gdy pisałem pierwsze powieści.



Flaubert – dzięki niemu jestem tym, kim jestem. Oszukał ojca, lekarza, wymyślając swoją chorobę – kłamał, że ma zakłócenia wzroku, udawał omdlenia – byle nie musieć spełniać jego oczekiwań

Wpływ Flauberta?

– Ten Francuz był jednym z objawień mojego życia, dzięki niemu jestem tym, kim jestem. Flaubert oszukał ojca, wymyślając swoją chorobę – kłamał, że ma zakłócenia wzroku, udawał omdlenia – ponieważ ojciec, lekarz, dyrektor szpitala, koniecznie chciał, aby syn wykonywał porządną wolną zawód. Ale zrezygnował – i zamknął Flauberta w domu na wsi, w Croisset. A potem, po pięciu latach pisania dzień w dzień, Flaubert wyrzucił z siebie „Panią Bovary”.

Powątpiewałem w sens bycia pisarzem w kraju takim jak Peru, w którym nie było wydawnictw, a księgarni bardzo mało.



Matka zabroniła mi czytać książkę, którą trzymała na szafce nocnej. Pamiętam: żółta okładka z niebieskimi literami: „Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpacz” Nerudy. Dzikie ciało, ziemia, zapładnianie? Nie wiedziałem, o co chodzi, ale podejrzewałem, że czai się tam grzech

Dlatego marzyłem o wyjeździe do Francji. Tylko – to zabawne – kiedy mi się to udało, Francuzi nagle zaczęli czytać Latynosów. Borgesa, Cortáзара, Fuentesa, a potem Garcíę Márqueza. Dopiero w Paryżu zacząłem czuć się Latynosem i odkryłem, że granice w Ameryce Południowej są sztuczne: co odróżnia Peru od Kolumbii czy Boliwii? Nic, absolutnie nic. Za to problemy są wspólne, jak wojskowe zamachy stanu. Pierwszego wieczoru po przyjeździe do Paryża kupiłem egzemplarz „Pani Bovary” w księgarni La Joie de Lire, która była otwarta do północy. I potem czytałem ją do świtu. Olśnił mnie absolutnie precyzyjny, elegancki i jednocześnie bardzo funkcjonalny język.

A wcześniej w Peru?

– Tam z udręki wyciągnął mnie Sartre. Od razu, gdy rozpocząłem studia, zapisałem się do Alliance Française i zaprenumerowałem dwa francuskie czasopisma. A tam Sartre – mocny, pewny głos, który przekonuje: możesz być z małego kraju na zadupiu, gdzie prawie wszyscy są analfabetami, ale nadal możesz to potępiać, pisać o tym. Byłem wiernym wyznawcą Sartre’a, dopóki nie przeczytałem w latach 60., że powie- dział dwóm afrykańskim pisarzom: „Musie- cie robić rewolucję, a dopiero potem literaturę”. Wydało mi się to zdradą.

Nie wiem, czy w grę wchodzi tu dojrzewanie, czy ewolucja, ale wiele osób, które zaczynają od Sartre’a, kończy bliżej Camusa. – Camus nie miał takiego wykształcenia, nie był tak czytany jak Sartre, ale był większym realistą. Poznałem go. Powiedziano mi, że by- wa w jednym z teatrów przy bulwarach. Posze- dłem z egzemplarzem pisemka, które wydawa- liśmy w Limie. Zagaadnałem po francusku, a on

odpowiedział po hiszpańsku. Kilka miesięcy później zginął w wypadku samochodowym.

Wydawczyni zmarłego niedawno Javiera Mariasa powiedziała, że jeśli miał pierwszy akapit, to miał już powieść. – Ja muszę wiedzieć, jak kończy się historia. I zanim zacznę pisać naprawdę, robię ma- sę notatek, konspekty, których później nie uwzględniam, ale i tak ich potrzebuję. Wszyst- ko na małych karteczkach. Muszę mieć jas- ność, co zamierzam zrobić.

Pamiętam takie jedno popołudnie w Pa- ryżu... Pierwszym latynoamerykańskim pi- sarzem, którego tam poznałem, był Cor- tázar. Kiedyś powiedział do mnie: „Dziś po obiedzie wiem, że muszę napisać jedno sło- wo: »rayuela« [gra w klasy] – i nie wiem, co się potem stanie”. „Jak to, zaczynasz bez planu?” – powiedziałem. „Tak, stukam w klawisze i jest tak, jakby palce urucha- miały pamięć” – odparł. No więc ja nigdy nie miałem takiej lekkości.

Hemingway pisał o Paryżu: „Byliśmy tam biedniejsi i szczęśliwsi”. – W Limie oglądałam francuskie filmy i marzyłem o francuskim stylu życia. Ale np. Cortázar żył bardzo skromnie. Nie miał nic, do- piero później przeniósł się do XIV dzielnicy. Wydaje mi się, że moją pierwszą ważną powieścią jest „Rozmowa w »Katedrze«”. Solidniejsza, bardziej złożona, wykracza po- za opis wielkich peruwiańskich problemów. Widziałem kiedyś, jak dwóch hycli zabija dragami jakieś psy, które najpierw wsadzi- li do wora. Wszedłem wzburzony do knajpy na piwo; nazywała się La Catedral. Tam wy- myśliłem historię młodego człowieka, któ- ry podejrzewa, że jego ojciec był homoseks- ualistą, co w tamtych czasach w Peru było czymś strasznym, hańbą. Ten człowiek spo- tyka dawnego szofera ojca, teraz zabijające- go bezpańskie psy, i próbuje się dowiedzieć, czy on sypiał z jego ojcem.

Było w tym coś freudowskiego?

– W tamtym czasie nie czytałem Freuda.

Kiedy mówił pan o niechęci do nadmia- ru przymiotników, pomyślałam o Garcíi Márquezie, który używa ich więcej. – Byłem wielkim promotorem „Stu lat samot- ności”, zaczernilem o tej powieści wielkie mo- rze papieru. A Márqueza poznałem właściwie przez listy. Ja mieszkałam wtedy w Anglii, on w Meksyku. Próbowaliśmy napisać powieść o wojnie między Peru a Kolumbią, która to- czyła się w amazońskiej dżungli.

Powieść na cztery ręce?

– Tak, ale to było niemożliwe, bo on wiedział o wiele więcej o tej wojnie. Zostało z tego spo- ro listów, które teraz znajdują się w archi- wum w Princeton. Zostałbym w Anglii, bo lubiłem uczyć na uniwersytecie. Ale pewnego dnia przy- jechała agentka literacka Carmen Balcells i kopniakiem otworzyła drzwi mojego do- mu, niosąc prezenty dla moich dzieci, i po- powiedziała: „Dziś po południu wyjeżdżasz do Barcelony”. Trzeba było ulegać Carmen Balcells albo ją zabić, nie było żadnego po- między. Więc uległem. Barcelona – pięć wspaniałych lat. To wła- śnie tam dzięki Balcells spotkali się pisarze la- tynoamerykańscy i hiszpańscy, którzy przed- tem zawsze odwracali się od siebie. To by- ła inna Barcelona, nienaznaczona tym dziw- nym pędem do niepodległości, za to wiel- kim marzeniem Katalończyków było wtedy po prostu nowe społeczeństwo, wolne spo-

NASZA EUROPA



FOT. AP / JOSÉ OLIVA

Byłem wiernym wyznawcą Sartre’a, dopóki nie przeczytałem w latach 60., że powiedział dwóm afrykańskim pisarzom: „Musicie robić rewolucję, a dopiero potem literaturę”. Wydało mi się to zdradą

Powątpiewałem w sens bycia pisarzem w kraju takim jak Peru. Dlatego marzyłem o wyjeździe do Francji. Tylko – to zabawne – kiedy mi się to udało, Francuzi nagle zaczęli czytać Latynosów

leczeństwo, demokracja. Hiszpanie jeździli do Barcelony, by poczuć się Europejczykami. Wszystkie wielkie wydawnictwa były w Barcelonie. Byłem pod wrażeniem, kiedy przyjechali tam wielką falą Latynosi – tak jak my kiedyś do Paryża – bo w Barcelonie trzeba było być, właśnie tam wydawać książki.

Dlaczego ją pan opuścił?

– Bo w końcu wszyscy gdzieś odchodzą. Poza tym mój język zaczął tracić coś peruwiańskiego, a przecież od tego zależałem jako pisarz. Wróciłem do kraju.

Czytam nagłówek tekstu, którego autorem jest Jaime Bayly, uważany za pana następcę: „Minie trzysta lat, zanim my, Peruwiańczycy, doczekamy się kolejnego geniusza rangi Vargasa Llosy”. Za dwa miesiące wyda książkę zatytułowaną „Los genios”.

– A kim są ci geniusze?

Pan i García Márquez.

– Ach tak, nie uprzedzał mnie.

12 lutego 1976 r. García Márquez poszedł przywitać się z panem w Mexico City, a pan walnął go w twarz – to pewnie najsłynniejszy i najbardziej tajemniczy cios boksinerski w historii literatury, ale obaj odmówiliście o tym kiedykolwiek opowiadać i tylko zerwaliście stosunki. Co może doprowadzić do zerwania takiej przyjaźni?

– Kobiety, oczywiście.

Zobaczmy, co Bayly opowie w swojej w książce.

– Ta książka, jeśli będzie o tym, będzie stem kłamstw.

Startował pan w wyborach, opowiadał się też za innymi, którzy startowali, także zwykle bez powodzenia.

– Taka jest spuścizna Sartre’a: zawsze stać po stronie, którą uważa się za słuszną. Ostatnio stanąłem przeciwko prezydentowi Peru, którego zmuszono do ustąpienia, gdy spróbował zamachu stanu. Mówił, że musimy położyć kres górnictwu w Peru – akurat tam jest to nonsens, ponieważ jeśli Peru ma kiedykolwiek rosnąć i rozwijać się, to właśnie dzięki górnictwu: w górach znajduje się fantastyczny zbiór minerałów.

Z powodu pańskiego ostatniego związku interesowały się panem hiszpańskie tabloidy. Jak im się wymknąć?

– Nie składając żadnych oświadczeń. Nie złożyłem żadnych na temat Isabel. Chociaż przez miesiąc pod moimi drzwiami od siódmej rano stali dziennikarze.

Ale żył pan przez kilka lat w „cywilizacji spektaklu”, którą sam potępił w swoim eseju. Nie uważa pan, że noblista w związku z telewizyjną celebrytką to ciekawy temat dla pisarza?

– Doświadczenie było wspaniałe, ale nie literackie. Nie da się go przerobić na powieść. Za to... skończyłem książkę o muzyce peruwiańskiej.

Żałuje pan czegoś?

– Absolutnie niczego, z zasady. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

KOREA PÓŁNOCNA

250 kilometrów od Warszawy

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **DARIĄ CZULCOWĄ***, BIAŁORUSKĄ DZIENNIKARKĄ SKAZANĄ PRZEZ ŁUKASZENKĘ, ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Wiktorias Bieliaszyn: Odsiedziałaś dwa lata w białoruskim więzieniu za działalność dziennikarską i relacjonowanie protestów przeciwko sfałszowaniu ostatnich wyborów prezydenckich. Z kolonii karnej wyszłaś we wrześniu.

Daria Czulcowa: Opuszczenie kolonii karnej na Białorusi nie oznacza wcale, że odzyskujesz wolność. Nawet jeśli nie otaczają cię grube mury i drut kolczasty, czujesz wewnętrzny paraliż. Dobrze wiesz, że nie możesz wyrażać opinii, które mogłyby się nie spodobać reżimowi. Nie możesz mówić niczego, co może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Na Instagramie podziękowałam wszystkim osobom wspierającym mnie w ostatnich latach. Natychmiast rodzina i znajomi kazali mi je usunąć: „Będziesz dziękować, jak wyjedziesz z kraju”.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak bardzo zastraszone ludzi. Białoruś, którą zobaczyłam, różni się od tej, z którą rozstałam się na czas odsiadki. Oczywiście były wtedy represje, wielu Białorusinów doświadczyło tortur, ale ludzie mimo wszystko mieli w sobie wewnętrzną wolność: wychodzili na protesty, krytykowali władzę, sprzeciwiali się bezprawiu. Kiedy wyszłam z więzienia, poczułam się, jakbym dostała obuchem w głowę, bo tamtej Białorusi już nie ma. Jest coś, co przypomina Koreę Północną, ludzie ze strachem analizują każde słowo.

Początkowo w areszcie docierały do mnie wiadomości, że ludzie nadal wychodzą na ulice. Z czasem było ich coraz mniej, aż zupełnie ucichły. Zrozumiałam, że połowa spośród aktywnie protestujących wychodziła z kraju, a pozostali nie mogą nic zrobić, bo skala represji jest bezprecedensowa.

Jak na to wszystko reagowali pracownicy kolonii karnej?

Większość jest przesiąknięta białoruską i rosyjską propagandą. We wszystkich, którzy sprzeciwiają się reżimowi, widzą wrogów. Uważają, że zdradziliśmy swoją ojczyznę i kieruje nami ktoś z zewnątrz.

Ale zauważyłam, że wyraźnie odczuwali dysonans, obserwując nas, bo więźniowie polityczni różnią się od większości innych osadzonych. Nikt z nas nie siedział za zabójstwo, kradzież czy rozbój. Widziałam, że zaczynają dostrzegać ludzi, a nie zdrajców, jednak to niczego nie zmieniało.

W kolonii karnej w Homlu, gdzie odbywałaś wyrok, wielu było więźniów politycznych?

Początkowo szczęściu, może siedmiu, a potem nas przybywało, aż w końcu w każdej grupie więźniów było trzech, czterech. Kiedy jesienią wychodziłam, wciąż ich przybywało. Owszem, protesty zostały zduszone, ale to nie znaczy, że władze się uspokoiły, przeciwnie, represje są jeszcze silniejsze niż w 2020 r., kiedy Białoruś nie schodziła z pierwszych stron gazet. Organy ścigania uważnie analizują wszystkie dostępne zdjęcia z marszów i wyłapują tych, którzy brali w nich udział. Na wiele lat za krótki można trafić za komentarz w internecie czy zwykły lajk. Więzienia wypełnione są dzisiaj głównie takimi przestępcami.

Ludzie, którzy zostali pozbawieni wolności za udział w pokojowym proteście czy komentarz na Facebooku, godzą się z tym czy żałują, że nie siedzieli cicho?



Kiedy musisz prosić o każdy skrawek papieru toaletowego, nie masz czasu na rozmyślanie.

– Bywa różnie. Niektórzy się radykalizują, zdają sobie sprawę, że to chore, by za coś takiego wtrącać człowieka do więzienia. Inni pokorniej, starają się nie rozmawiać z innymi więźniami politycznymi, by nie mieć dodatkowych problemów. Nie wiem jednak, co czują. Nikt specjalnie się tym tam nie dzieli.

A ty?

– Ja niczego nie żałuję. Po co żałować, skoro to wszystko już się wydarzyło? Było, minęło. Trzeba żyć dalej. Tylko mój mózg nie może się przyzwyczaić do tego, że ten czas tak upłynął. Kiedy mnie aresztowano, miałam 23 lata, a za miesiąc skończę 26. To taka wyruwa w życiorysie.

Masz poczucie, że ukradziono ci czas?

– Gdybym tak myślała, to oznaczałoby, że żałuję. Te dwa lata były... dziwne, ale tłumaczę sobie, że nawet dziwne doświadczenie może być lekcją. W więzieniu poznałam wspaniałych ludzi, miałam też okazję przyjrzeć się drugiej stronie – pracownikom reżimu, tym, którzy są go popierają. Zrozumiałam, że tacy ludzie rzeczywiście istnieją. Wcześniej nie miałam z nimi do czynienia.

Kiedy wybierałaś zawód, zdawałaś sobie sprawę, że bycie dziennikarzem oznacza niebezpieczeństwo?

– Tak, choć dopóki mnie nie zatrzymali, nigdy nawet nie byłam aresztowana. Owszem, zdarzały się grzywny czy zatrzymania i wiedziałam, że relacjonowanie protestów może skutkować pobiciem, torturami, utratą wolności, ale to mnie nie przerażało. Podchodziłam do pracy zadaniowo, nie oceniałam ryzyka.

A twoi rodzice?

– Mama, nawet kiedy stałyśmy już na uczelni w kolejce do sekretariatu z kompletem

dokumentów, starała się mnie przekonać do zmiany zdania: „Dasza, a może jednak inny kierunek?”. Byłam zdeterminowana. Kiedy zaczęłam już pracować, prosiła, żebym codziennie wieczorem dzwoniła. Chciała mieć pewność, że nie jestem w areszcie.

Nie wyobrażam sobie życia w kraju, w którym dziennikarze mają czas, by pisać teksty o tym, że gdzieś urodziła się panda albo ośmioraczki. Chciałabym, żeby było inaczej, wszyscy o to walczymy, ale na razie niczego innego po prostu nie znamy.

U nas w redakcji wszyscy mają kontakty nie tylko do siebie nawzajem, ale też do naszych bliskich, żeby w razie zatrzymania jak najszybciej ich poinformować. Podczas protestów 2020 r. każdy przychodził do redakcji z plecakiem bezpieczeństwa – pasta do zębów, szczoteczka, bielizna, mydło. Tak samo żyli ludzie w ZSRR. Każdy miał przygotowaną walizeczkę, bo wiedział, że w pewnym momencie po niego przyjdą.

Sprawa przeciwko tobie i Kaciarynie Andriejewej była pierwszym postępowaniem karnym przeciwko dziennikarzom.

– Od samego początku protestów struktury siłowe organizowały polowania na dziennikarzy. Początkowo przetrzymywano nas w komendach, by uniemożliwić nam pracę, później zaczęły się aresztowania. Niemniej to był szok. Wiedziałam, że najprawdopodobniej odsiedzę swoje, ale spodziewałam się raczej aresztu administracyjnego, nie sprawy karnej i więzienia.

Dziwnie to zabrzmiało, ale dopóki wyrok ostatecznie nie zapadł, niewiele o tym myślałam.

Dlaczego?

– Bo miałam inne problemy, zwłaszcza na początkowym etapie, czyli w ciągu pierwszych dni w areszcie Okrestino.

Kiedy siedzisz w przepełnionej celi, w której brakuje powietrza, i musisz prosić o każdy skrawek papieru toaletowego, nie masz czasu na rozmyślanie. Zastanawiasz się, jak umyć zęby bez szczoteczki i pasty, jak umyć głowę, która swędzi cię z brudu, jak się ogrzać i jak poradzić sobie z atakami paniki, bo razem z 12 innymi osobami dzielisz dwa metry kwadratowe. Próbujeś przeżyć i nie zwariować.

Później, już w areszcie śledczym, przesłreni było więcej, ale liczba problemów się nie zmniejszała, a pojawiły się dodatkowe. W dalszym ciągu katastrofa, jeśli chodzi o warunki sanitarne i podstawowe czystości higieniczne plus obcowanie z ludźmi, których początkowo się boisz i z którymi w normalnym życiu raczej byś się nigdy nie spotkała.

O czym wtedy myślałaś?

– Cały czas powtarzałam sobie, że to nie na zawsze, że kiedyś ten stan się zakończy. Wszyscy tak robili, to pomagało nie oszaleć. Zaobserwowałam, że polityczni zachowywali się z dużą godnością i starali się ten czas maksymalnie wykorzystywać, chodzić na siłownię, czytać... Przepraszam, że przerywam, ale nie chcę się rozsytać. Bo to za dobrze brzmi, siłownia, czytanie, kiedy się słucha z boku. Życie w kolonii karnej jest straszne.

Wielu więźniów politycznych usiłowało przekonać do podpisania prośby o ulaskawienie.

– Nade mną też „pracowali”. Raz w miesiącu na prywatną rozmowę wzywała mnie zastępczyni kierownika kolonii: „Dasza, po co ci to wszystko? Jesteś taka młoda, poproś o ulaskawienie. Wyjdiesz stąd, znajdziesz chłopaka, wyjdiesz za mąż, urodzisz dzieci”. Ze wszystkich sił powstrzymywałam się, by nie krzyknąć jej w twarz, że jest mi to potrzebne, bo chcę żyć w wolnym kraju, a nie, jak ona, w gównianej dyktaturze. Tak samo rozmawiali ze mną strażnicy, a nawet inni więźniowie. Odpowiadałam, że nie popełniłam żadnego przestępstwa, więc z jakiej racji mam prosić o ulaskawienie.

Ale to nie było najgorsze. Innych politycznych szantażowano, straszono konsekwencjami wobec nich samych, innych więźniów albo rodziny. Po takich wielogodzinnych rozmowach ludzie wracali wyczerpani, z pustym wzrokiem.

Nie kusiło cię, żeby się ugiać?

– Ani przez moment. Może dlatego, że mój wyrok nie był wysoki i wiedziałam, że wytrzymam. Czulałam też, że nie muszę, bo nie mam dzieci ani rodziców, którymi musiałabym się opiekować. Zupełnie nie oceniam ludzi, którzy się na to zdecydowali.

Inna sprawa, że szybko okazało się, że to fikcja, wypuszczono tylko cztery osoby, które poprosiły o ulaskawienie. W dodatku takie, które nie były znane szerszej publice.

Inne formy nacisku na politycznych?

– Jest ich wiele. Regularnie podrzucają przez innych, współpracujących z administracją więźniów żyłki, tabletki, nożyczki – wszystko, co oficjalnie zabronione. A później przeprowadzają rewizję. Polityczni trafiają do celi karnej, pozbawia się go widzeń i paczek od rodziny. Oprócz tego administracja więzienia zleca więźniom śledzenie politycznych, donoszenie, zapisywanie każdego wypowiedzianego

słowa, „trzymanie w izolacji”, czyli ignorowanie, albo na odwrót – poniżanie. Jesteś w ciągłym zagrożeniu, bo przenoszą cię do innego oddziału, gdzie więźniowie współpracują z władzami. Nie możesz spać, nie możesz jeść. Ludzie chudną po 10 kg w ciągu miesiąca, bo współwięźniowie im grożą albo podrzucają rzeczy zabronione czy oskarżają o kradzież, co pozwala na dodatkową karę.

Administracja obiecuje współpracującym, że wyjdą wcześniej albo dostaną dodatkowe przywileje. Ale nawet jeśli nie spełnia obietnic, ludzie i tak donoszą. Niektórym sprawia to wyraźną przyjemność. Widzisz radość w ich oczach, kiedy cię poniżają.

Spotkałaś wśród pracowników kolonii karnej osoby, które przejawiały oznaki człowieczeństwa?

– Pod koniec odsiadki byłam nawet w stanie z niektórymi rozmawiać. Oni już wiedzieli, kim jestem. Przekonali się, że nie plotkęję, nie donoszę na innych więźniów i na nich. W pewnym momencie zorientowali się, że co prawda nie uda się mnie nakłonić do współpracy, ale mogą się czuć przy mnie swobodnie, bo nawet jeśli coś usłyszę, to zostanie to między nami. Zdarzyło się nawet, że ze względu na to zaufanie zostałam potraktowana lżej, niż powinienam.

Opowiesz?

– W kolonii karnej nie możesz pomagać. Nie możesz się dzielić jedzeniem czy czymkolwiek innym. Ale ja pomagałam jednej dziewczynie, do której paczki nie przychodziły. Kiedy prze-



Ani przez moment nie kusilo mnie, żeby się ugiąć.

Może dlatego, że wyrok nie był wysoki i wiedziałam, że wytrzymam.

I czułam, że nie muszę, bo nie mam dzieci

niesiono ją do innego oddziału, wyspała mnie. Doniosła, że od kilku miesięcy przekazuję jej rzeczy. Chciała uchronić siebie przed inną karą, która jej groziła. Przez kilka dni strażnik dawał mi do zrozumienia, że coś jest nie tak, ale nie mówił wprost. Potrafił powiedzieć, jak gdyby nigdy nic, że ta dziewczyna mnie pozdrawia. Od razu było jasne, że chodzi o coś innego. W końcu powiedział mi na osobności, że ja tej dziewczynie pomagam, a ona na mnie donosi. Mógł mnie pozbawić na kilka miesięcy widzeń z rodziną, ale tego nie zrobił. Zabronił mi jedynie chodzić na siłownię.

Tylko że na takie ludzkie zachowanie można liczyć tylko wtedy, kiedy nikt nie widzi. W obecności innych pracowników każdy z nich, nawet najbardziej ludzki, staje się właściwym psem.

System działa tak, by nawet ci, którzy go tworzą, bali się reżimu. Ludzie donoszą na siebie nawzajem, walczą o stanowiska i pensje, nie ufają sobie, bo każdy ma na każdego haka.

A jak na to wszystko reagowali twój bliscy?

– Pierwsze listy od mamy sprowadzały się do „a nie mówiłam?”. Musiałam jej wyjaśnić, że czuję się przez to o wiele gorzej i że jeśli chce mnie wesprzeć, musi być silna, bo ja nie żałuję swojej decyzji i postąpiłabym dokładnie tak samo.

Najtrudniejsze było pierwsze długie widzenie. Mama z siostrą przyjechały na dobę, zajęłyśmy specjalny pokój. Najpierw długo rozmawiałyśmy, wszystko pozornie w porządku. Zsunęłyśmy wieczorem łóżka, by spać razem. W nocy obudził mnie płacz mamy, po chwili ja też zaczęłam płakać, a po mnie – moja siostra. Płakałyśmy bez słowa bardzo długo. To był jedyny moment słabości.

Mama poparła twoją decyzję, by nie ubiegać się o amnestię?

– Mama akceptuje moje życiowe wybory, za co jestem jej wdzięczna. Nawet jeśli wyraża niezadowolenie, nie próbuje mnie przekonać do zmiany zdania, bo wie, że to niemożliwe. Mam to zresztą po niej. W pewnym momencie też podjęła trudną, ale słuszną decyzję, która zaważyła na naszym życiu, nie oglądając się na opinie innych.

Pamiętasz, jak się dowiedziałas, że zaczęła się wojna?

– Tego samego dnia do któregoś z więźniów przyjechał adwokat. Dowiedzieliśmy się więc wszyscy wyjątkowo szybko. Tego rodzaju wiadomości trudno się przyjmuje, kiedy przebywasz w więzieniu. Z jednej strony wiesz o tym, z drugiej, nie do końca zdajesz sobie sprawę, jakie to ma znaczenie. Trzeba też pamiętać, że propaganda działa, zwłaszcza w takich miejscach jak więzienie. Nie brakowało osób, które wierzyły w demilitaryzację Ukrainy.

A jak oceniasz nastroje białoruskiego społeczeństwa?

– Nie jestem w stanie ich ocenić, nie mieszkając tam. No i przebywam w specyficznym kręgu, bo to głównie niezależni dziennikarze i działacze, dla których jest jasne, że Rosja napadła na Ukrainę, a Białoruś jako państwo w tym współuczestniczy.

A „zwykli” Białorusini, jeśli Łukaszenka wyda rozkaz, pójdą walczyć?

– Nie pójdą walczyć sami z siebie. Jeśli Łukaszenka dostanie rozkaz od Putina, że ma się czynnie włączyć do wojny, to będzie porażka. Białorusini wiedzą, że to nie jest ich wojna. Rozumieją, co się dzieje. Tych z mózgami wypranymi przez propagandę jest mniej.

Białorusini nie zmienili poglądów od 2020 r. To, że milczą, nie znaczy, że pogodzili się z tym, że Łukaszenka nadal jest u władzy. Wręcz przeciwnie, o ile wcześniej większość go tolerowała, o tyle teraz większość szczerze go nienawidzi.

To dlaczego w 2020 r., kiedy była nadzieja na obalenie reżimu, funkcjonariusze struktur siłowych nie przeszli na stronę protestujących?

– Dobre pytanie, sama często się nad tym zastanawiałam. Rozmawiałam o tym z siłowikami, którzy nas przewozili z miejsca na miejsce. Mówili, że mają kredyty, stabilną pensję, mieszkanie służbowe. Pytałam wtedy, czy mogą wyjechać na urlop z Białorusi. Okazywało się, że nie, że nigdy nie byli za granicą, ale nie widzieli w tym problemu. Samochód, mieszkanie, lichy, ale stała pensja znaczą dla nich więcej niż wolność. Ci ludzie nie myślą o przyszłości. Ani swojej, ani kraju.

Na przykład pracownicy kolonii karnej podlizywali się tym stojącym wyżej w hierarchii, bo święcie wierzyli, że z czasem do pracy w tym samym miejscu zostaną przyjęte ich dzieci. Zadowala ich to, co mają. Tych, którzy walczą o demokrację czy wolność, traktują jak szaleńców, a samo słowo „wojownik” czy „opozycjonista” jako obelgę.

Na nich trzyma się ten reżim? Bo przedstawiciele białoruskich oficjalnych elit muszą zdawać sobie sprawę, że to wszystko zmierza ku katastrofie.

– Na Putinie. Myślę, że gdyby nawet cały OMON i wojsko przeszły w 2020 r. na stronę protestujących – a nie przeszłyby, bo ludzie z pagonami mają wiele do stracenia albo wierzą propagandzie – to na Białoruś wkroczyłaby rosyjska armia i czołgi zrównałyby z ziemią białoruskie wioski. ●

*Daria Czulcowa

● białoruska dziennikarka telewizji Biełsat. Za relacjonowanie protestów przeciwko sfałszowanym wyborom prezydenckim została w 2021 r. skazana na dwa lata więzienia. Uzasadnienie: „organizacja działań rażąco naruszających porządek publiczny”



SKAZANY za niezłomność

Andrzej Poczobut

Dziennikarz „Wyborczej”, laureat Grand Press z tytułem Dziennikarza Roku 2021 i jeden z przywódców zdelegalizowanego przez białoruski reżim Związku Polaków na Białorusi, został skazany na 8 lat więzienia z karą zaostrzonego rygoru. Pamiętamy.

wyborcza.pl/poczobut

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ojciec Ludwik Wiśniewski OP opublikował ostatnio trzy książki, które pozwalają głębiej przyjrzeć się jego myśli na temat Polski, Kościoła, polityki i świata wartości. Broni ich z determinacją i wiernością od lat 60. XX wieku, kiedy był sławnym duszpasterzem akademickim w Gdańsku, gdzie wychował całe pokolenie wybitnych polskich opozycjonistów z Aleksandrem Hallem i Bogdanem Borusewiczem na czele. A potem były duszpasterstwa akademickie we Wrocławiu i Lublinie.

W czasach PRL-u aktywnie wspierał opozycję demokratyczną i wschodni-niemiecka Stasi umieściła go na liście 60 najbardziej niebezpiecznych polskich opozycjonistów.

Te książki to dwa tomy jego refleksji pisanych od 1996 do 2020 r., noszące tytuł „Czarne z białym”. Pierwszy tom ma podtytuł „Zapiski niepokorne” (2020), drugi – „Zapiski niewygodne” (2021), bardzo w stylu o. Ludwika (oba opublikowało jezuickie wydawnictwo WAM). Trzecia to rozmowa rzeka przeprowadzona przez Annę Bimer – „Trzeba krzyczeć”.

Ich oryginalność i niezwykłość polega na tym, że dzięki nim możemy śledzić to, jak bardzo wnikliwym był obserwatorem i uczestnikiem polskiej debaty politycznej po 1989 r., ale także intelektualistą mocno skupionym na współczesnych ważnych dyskusjach teologicznych i filozoficznych.

W zapiskach widać pasję i talent filozoficzny, szkoda trochę, że wybierając swoje powołanie jako duszpasterza, nie miał już czasu na dogłębne studia. Mogliśmy mieć poza wspaniałym, odważnym kaznodzieją także wybitnego tomistę, którego prace mogłyby ożywić i wzmocnić dość słaby polski dyskurs teologiczny (wiem



Ojciec Ludwik Wiśniewski

zwoleń Kościołowi na nowo odkryć swoją istotę i stać się ubogim i cichym, ale żarliwym duchowo.

O. Wiśniewski akcentuje mocno dwie sprawy – rzeczywiste uznanie autonomii ludzkiego sumienia i prowadzenie autentycznego dialogu z innymi religiami i kulturami. Proponuje konkretne rozwiązania.

Bardzo mocno podkreśla, wbrew wielu tradycjonalistycznym teologom, prymat indywidualnego sumienia nad Magisterium Kościoła. Za św. Tomaszem powtarza, że sumienie jest najwyższą normą moralną i zawsze trzeba iść za jego głosem, nawet jeśli jest błędne, nawet wtedy, kiedy wybór, jaki sugeruje własne sumienie, różni się od wskazań kościelnego nauczania.

Katolicycy teologowie boją się takiego stanowiska i najczęściej głoszą tezę, że jeżeli człowiek jest świadomy rozbieżności między sumieniem ja a świadomością moralną Kościoła, powinien podporządkować się wyrokowi Magisterium. O. Wiśniewski uważa, że takie postawienie sprawy nieweczy autonomię sumienia i nie pozwala ludziom dojrzywać poprzez podejmowanie osobistych decyzji, gwałci suwerenność osoby i jej rozeznanie tego, co jest dobre, a co złe.

Mówi Annie Bimer: „Chyba zanikła w nas wiara w dobroć i mądrość stworzonego przez Boga świata, w tym człowieka. (...) W Kościele dotąd tli się strach, że konkretny człowiek nie sprost swemu powołaniu i nadużyje swojej autonomii. Jasne, że może nadużyć, ale człowieka, który przede mną staje, powinienem traktować poważnie”.

Wprzeciwieństwie do tradycjonalistycznie myślących katolików, którzy uważają, że Biblia i nauczanie Kościoła już wszystko nam objawiły i musimy jedynie powtarzać zawarte w nich prawdy, o. Ludwik wierzy, że Ewangelia nie jest do końca odkryta, że wciąż

PATRZ, GDZIE CZARNE, GDZIE BIAŁE

Straszny to czas dla proroków, kiedy niewysłuchani muszą zamilknąć

Anna Karoń-Ostrowska*

oczywiście, że o. Ludwik bardzo żywo zaprzeczyłby temu, co piszę, unieważniając moją opinię).

Pisanie o nim jest trudne, bo jak pisać o kimś, kto jest wzorcem z Sèvres, jak być kapłanem i duszpasterzem, jednym z ostatnich księży tej klasy co Władysław Kornilowicz, bracia Ali i Tadeusz Fedorowiczowie, bp Jan Pietraszko, Józef Tischner czy Adam Boniecki – wykształceni, „światowi”, znający filozofię i teologię, żywo zainteresowani tym wszystkim, co się dzieje w kulturze, a jednocześnie pochłonięci pracą duszpasterską, którą rozumieją jako autentyczną, osobistą, wierną przyjaźń z ludźmi, którzy się wokół nich gromadzą. Mądrzy, samodzielnie myślący, pokorni, ale nigdy nie służalczy wobec hierarchii Kościoła, precyzyjnie i dobitnie odróżniający dobro i zło, a jednocześnie wyrozumieli wobec ludzkich słabości i błędów. Jak pisać, nie popadając w nieznośny pochwalny ton, który dla nich wszystkich i dla każdego z nich, z o. Ludwikiem na czele, byłby nie do zaakceptowania?

Rezygnuję zatem z przymiotników w najwyższym stopniu, odsuwam też od siebie smutek, że ten liczący już ponad 86 lat dominikanin należy, być może, do ostatniego pokolenia tych, co tak w Kościele poloneza wodzą, i zajmę się analizą jego wizji przyszłości Kościoła i polskiego społeczeństwa.

We wstępie do II tomu notatek o. Wiśniewski napisał: „Najpierw skąd się wziął tytuł »Czarne na białym«? Otóż blisko 60 lat temu, kiedy byłem jeszcze studentem, przed święceniami kapłańskimi, wydaliśmy piśmko, którego byłem redaktorem. Miało tytuł »Czarne na Białym«. To nasze piśmko, wystukiwane na maszynie i ukazujące się w kilkunastu egzemplarzach, w swojej nazwie nawiązywało do białego i czarnego koloru dominikańskiego habitu i zarazem do dominikańskiej dewizy »Veritas« – »Prawda«. Tylko wtedy człowiek może dotrzeć do prawdy, kiedy zdolny jest do zobaczenia tego, co czarne, jak i tego, co białe. Dając moim zapiskom tytuł »Czarne na białym«, nieskrótnie myślę, że są one kłamrą łączącą moją młodość ze starością”.

Wstęp kończy wyznanie, że pisząc, myślał przede wszystkim o swoich młodych współbraciach z zakonu dominikańskiego. Tylko czy oni zechcą to kiedyś przeczytać?

Rozmowy z Anną Bimer („Trzeba krzyczeć. W obronie deptanych wartości”, Rebis 2019) pozwalają w systematyczny sposób prześledzić bardzo nowoczesne poglądy o. Ludwika na przyszłość Kościoła i Polski.

Współczesność widzi ostro i bez złudzeń. Ma głęboką świadomość tego, że bez radykalnych reform świątynie będą pustoszeć. Bliska jest mu „prorocza”, jak mówi, wizja młodego prof. Ratzingera, jeszcze z 1969 r., Kościoła przyszłości, który musi zacząć od nowa, odkryć nowe formy posługi kapłańskiej wobec ludzi świeckich, sprawdzonych w życiu rodzinnym i wykonujących inne zawody. Kościoła, który może stać się małą wspólnotą, który będzie musiał zrezygnować z przepychu i triumfalizmu, odciąć się od politycznych wpływów zarówno z prawej, jak i lewej strony. Ta bolesna, oczyszczająca przemiana po-

jest przed nami, że Duch Święty może przemawiać do indywidualnego człowieka i pozwolić mu pełniej odczytywać ducha Ewangelii niż sformalizowanemu nauczaniu Magisterium. Uważa, powołując się na swoje bardzo długie doświadczenia jako spowiednika, że dla Kościoła dialog między hierarchią a wspólnotą wierzących jest niezbędny i życiodajny.

Wspomina książkę z lat 60., która miała być pomocą dla spowiedników, ze wstępem ks. bp. Wojtyły, która zalecała bardzo dokładne i szczegółowe wypytanie penitenta o sprawy związane z jego życiem seksualnym, z mocnym zaakcentowaniem zagadnień antykoncepcji. Brak obietnicy, że już nigdy nie będzie jej stosować, miał być równoznaczny z odmową rozgrzeszenia.

Dla o. Wiśniewskiego pomysł, by tak niedelikatnie ingerować w ludzką prywatność, był nie do przyjęcia. Kiedy zapytał starszego, mądrego kapłana, co w takiej sytuacji ma robić, usłyszał: „Chyba masz swój rozum!”. I tego postanowił się trzymać przez całe swoje duszpasterskie życie,

szanując indywidualne rozeznanie swoich podopiecznych.

Jeżeli chodzi o gorący i wciąż podejmowany temat celibatu, o. Ludwik jest zarówno tradycjonalistą, jak i propagatorem nowego projektu związanego z rozwiązywaniem tej kwestii. Twierdzi, że celibat jest wielkim osiągnięciem Kościoła katolickiego, którego zazdrośczać mu zarówno protestanci, jak i prawosławni. Ale uważa, że należy uprościć zasady zwalniania księży z celibatu i pozwolić im odchodzić bez rucania na nich anatemy. Tak to analizuje:

„Trzeba nareszcie nauczyć się patrzeć na tę sytuację po ludzku. Myślę, że w Kościele przyszłości tak właśnie będzie. Goriwy kapłan wypalił się, przeliczył się ze swoimi siłami po prostu i odchodzi. Młody człowiek, który decyduje się na kapłaństwo, musi wiedzieć, że gdyby nie sprostał, nikt go nie będzie potępiał i izolował. Ofiarował Kościołowi dziesięć, piętnaście lat służby, ludzie są mu wdzięczni. A teraz chce prowadzić swoje życie także pięknie, choć inaczej. Wychowawcy w seminarium powinni uczyć przyszłych kapłanów żyć w celibacie i zarazem przekonywać, że wielkim złem jest prowadzić podwójne życie, na co nigdy nie można się zgodzić”.



Siadał w habicie dominikańskim naprzeciw oskarżyciela i wpatrywał się w niego.

Komunistyczni sędziowie się ploszyli

O. Wiśniewski ma jedno niezrealizowane marzenie, do którego spełnienia przymierzał się kilkakrotnie, jednak przełożeni chyba uznali jego projekt za zbyt nowatorski. Chciał stworzyć „dom-klasztor”, do którego można przyjąć młodych ludzi na określony czas. Miałoby to być miejsce dla ludzi zdecydowanych na życie świeckie, ale takich, którzy chcieliby doświadczyć też tego, co znaczy być mnichem. Byłby to klasztor z normalnym życiem zakonnym, ale bez ślubów, na pewien czas, żeby posmakować piękna i surowości takiego życia, wzbogacić swoje doświadczenia.

To były bardzo realne plany – dom miał powstać w Kotlinie Kłodzkiej z widokiem na Śnieżnik. Potem, w czasie pięcioletniego prowadzenia parafii katolickiej w Petersburgu, o. Ludwik znalazł drewnianą szkołę na trasie Petersburg – Psków. Nic z tego nie wyszło, brakowało pieniędzy i odwagi decydentów.

Szkoda. Jaki piękny mógłby być polski Kościół, gdyby nie lekceważono i szanowano takich natchnionych wizjonerów jak o. Wiśniewski. W jak innym miejscu moglibyśmy teraz być.

Niestety, to nie jest jedyna taka inicjatywa, której pozwolono obumrzeć, życie tego starego, doświadczonego dominikanina pełne jest podobnych wspańniętych inicjatyw, z których nic nie wynikało. O. Ludwik się nie skarży, ale gdzieś pod jego słowami wyczuwa się żal i gorycz.

Wstrząsająca jest opowiadana przez niego historia o wieloletnich próbach nawiązania dialogu z inaczej myślącymi. Mimo wielu zawodów, jakich doznał, zawsze wierzył w możliwość rozmowy, porozumienia się. Czy był naiwny?

Jeszcze w latach 80., „za komuny”, podejmował próby dialogu z Gierkiem, Jaruzelskim, Mieczysławem F. Rakowskim. Wierzy w wewnętrzne inspiracje, jakie podpowiada mu sumienie, mówi An-nie Bimer:

„Niektórzy mówią: a po co, to nic nie da. Moje myślenie jest inne. Ja nie myślę w kategoriach skuteczności, ale powin-

ności. Powinienem to i to powiedzieć, powinienem tak i tak się zachować. I tyle. A czy to będzie skuteczne i w jakiej mierze, to już nie ode mnie zależy. Zresztą wydaje mi się, że jeżeli słowa i działania płyną z troski o prawdę i dobro, to takie działanie jest zawsze skuteczne, bo potrzebne. Powinno się zawsze działać tak, jak mówi sumienie, i nie oczekiwać natychmiastowych owoców”.

To głos sumienia, któremu był wierny, kazał mu w Gdańsku, w sądzie PRL-u, podczas rozpraw opozycjonistów siadać w habicie dominikańskim naprzeciw oskarżyciela i wpatrywać się w niego. Wtedy wzbudzało to w sądach konsternację i burzyło ustalony porządek, komunistyczni sędziowie się ploszyli. A jak jest dziś?

O. Ludwik mocno przeżywa dramatyczną sytuację w polskim społeczeństwie i Kościele. Wciąż zamierza prosić o audiencję Jarosława Kaczyńskiego, którego oskarża o publiczne zakłamywanie rzeczywistości społecznej, religijnej i politycznej. Chyba na razie to spotkanie nie doszło do skutku.

Jednak najtrudniejsze i najboleśniej-sze, a zarazem najbardziej bulwersujące są wspomnienia na temat prób podjęcia dialogu wewnątrz Kościoła. Zaczął w 2010 r. listem do ówczesnego nuncjusza apostolskiego z propozycją cyklu wielkich debat o najbardziej palących polskich problemach. Swoją inicjatywę uzasadniał tak:

„Wydaje się, że piętą Achilleśa naszego polskiego Kościoła, w tym biskupów i kleru, jest nieumiejętność komunikowania się ze zmieniającym się światem”.

W odpowiedzi dostał jedynie potwierdzenie odbioru listu, ale ani nuncjusz, ani biskupi, do których wysłał kopie listu, nie podjęli inicjatywy.

W 2012 r. zaproponował zorganizowanie „grupy dialogu” o. Rydzyskiemu. Napisał do niego: „Nie wystarczy dyskusje w mediach i wypominanie sobie potknięć i pomyłek, ale potrzebne jest stanięcie – oko w oko – i rozpoczęcie braterskiej rozmowy. Jeśli nie uczynią tak dzieci jednego katolickiego Kościoła, zgorszenie będzie rosło, a my przyczynimy się do niszczenia Kościoła”. Odpowiedź nadeszła od współpracownika o. Rydzyskiego, który podziękował za list i napisał, że jest on bardzo zajęty.

W 2013 r. o. Wiśniewski opublikował w „Tygodniku Powszechnym” artykuł „Dokąd zmierzasz, polski Kościele?” i rzucił inicjatywę okrągłego stołu, do którego zasiadą razem biskupi, księża i świeccy reprezentujący odmienne wizje tego, co wydarza się w Kościele, by rozmawiać o tym, jak mimo różnic budować przyszłość. Zasugerował, że taką wielką debatę powinien zwołać przewodniczący Episkopatu Polski, bo jemu nikt nie śmie odmówić. Jednak przewodniczący nie mógł zwołać takiego spotkania...

Inicjatywę podjął bp Antoni Dydycz, który postanowił w Drohiczynie zorganizować „braterską debatę”, zaprosił nawet na nią o. Wiśniewskiego, ale... odwołał ją na dwa tygodnie przed terminem.

Nieustępłiwym dominikanin zaproponował inne wyjście: „Niech Ojciec zaprosi tych wszystkich, których chciał zaprosić na debatę – na spotkanie modlitewne (...). Niech sobie pokłęczą przez godzinę przed Najświętszym Sakramentem biskupi, kapłani i świeccy – na równych prawach – niech wszyscy słuchają, co Bóg ma im do powiedzenia. (...) Najlepiej byłoby, żeby takie »godziny modlitwy« odbywały się raz w miesiącu”. Również z tego projektu nic nie wynikało.

Ostatnią próbę, coraz bardziej zmartwiony tym, co się dzieje w kraju i w Kościele, podjął w 2017 r., wysyłając list do wszystkich biskupów, ale nie otrzymał żadnych odpowiedzi ani propozycji podjęcia dialogu. Wtedy chyba się załamał i mając świadomość, że jest głosem wołającego na puszczy – zamilkł. „Cóż może mieć do zaproponowania prosty zakonnik?” – pyta.

FOT. MICHAŁ LEFECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki*

Nasze życie rośnie

*Nasze życie rośnie jak trwoga i lęk,
nasze życie rośnie jak kolejka po chleb;*

*nasze życie rośnie jak trawa, jak kurz i jak mech
jak pajęcza sieć, szron i kolonia pleśni,
nasze życie rośnie nieubłaganie jak kaszel i śmiech;
niezależnie od wojen, rozejmów, rokowań,
odprężenia, zmian klimatu, ONZ,
tajnego wyzysku i jawnej tyranii,
pychy czarnych limuzyn i bezdusznych sędziów,
sług bezceństwa, poddanych nicości,
trujących gazet i przeszczepów serca,
tajnych układów i jawnego kłamstwa,
drwiny z naszych świętości,
zatrucia atmosfery i trzęsienia ziemi;*

*nasze życie rośnie niepowstrzymanie, na zgłiszczach
i przez najgłuchszy sen,
ponad nami, wokoło i przez nas, którzy jesteśmy
jego marnotrawnymi synami,
nasze życie rośnie jak ukryty wzrost cen, science fiction,
jak ciśnienie krwi, imperia fikcji,
obawa przed spóźnieniem do pracy lub spojrzeniem w oczy;*

*nasze życie rośnie jak plód i jak głód,
nasze życie rośnie jak flora i fauna
ale nasze życie nie rośnie jak nienawiść, żądza odwetu
czy pragnienie zemsty
i nawet wtedy, kiedy nie wie, czego chce,
nasze życie chce żyć*

jak człowiek
1977

***Ryszard Krynicki** - ur. w 1943 r., poeta, tłumacz, wydawca. Zaliczany do pokolenia '68 (Nowej Fali). Sygnatariusz Listu 59 (1975), zbiorowego protestu przeciw zmianom w konstytucji PRL, w latach 1976-80 objęty zakazem druku. Związany z opozycją demokratyczną i działalnością podziemną. W 2021 r. otrzymał za całokształt twórczości Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius”. Utwór za: Krynicki, „Wiersze wybrane”, wydawnictwo a5, Kraków 2014

Książka rozmów nosi tytuł „Trzeba krzyczeć”, bo o. Wiśniewski uważa, że jeśli nie udaje się rozmawiać, przestają być ważne merytoryczne argumenty, nie można już odwoływać się do systemu transcendentálnych wartości, takich jak prawda, dobro, piękno, sprawiedliwość, bo nie znaczą one dla wszystkich tego samego – trzeba krzyczeć w ich obronie. I krzyczał. Czy został usłyszany? Ostatni taki głośny krzyk podniósł, przemawiając w katedrze gdańskiej na pogrzebie prezydenta Pawła Adamowicza.

Teraz 86-letni o. Ludwik Wiśniewski, zmęczony i ciężko chory na astmę, nie ma już siły krzyczeć. Czy czuje się bezradny, załamany? Tego nie wiemy. Mam nadzieję, że nie.

Straszny to czas dla proroków, kiedy niewysłuchani muszą zamilknąć, bo Kościół zagubił Ducha. Głuchy na błagania, by stanął w prawdzie i naprawiał wyrządzone krzywdy, niechętny podjęciu rzetelnego, uczciwego dialogu z wiernymi i światem, skupiony na sobie samym, byle tylko ocalić swą fasadę, odsłania codziennie pogłębiający się kryzys chrześcijaństwa w Polsce i w Europie. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Anna Karoń-Ostrowska

• doktor filozofii, wykładowca akademicki, od 1993 r. w redakcji „Więzi”. Autorka książki „Dramat spotkania człowieka z Bogiem i z drugim w myśli Karola Wojtyły – Jana Pawła II”, współautorka m.in. „Dzieci Soboru zadają pytania”. Autorka rozmów z ks. Tischnerem „Spotkanie” i „Oby wszyscy tak milczeli o Bogu!”, współautorka książki „Zapatrzenie. Rozmowy ze Stefanem Swieżawskim”

Adam Michnik poleca

JACY TAM UKRAIŃCY, TO ZWYKLI RUSINI

Dmowski do prezydenta Wilsona, 1918: „Państwo ukraińskie nie może pozostać istotnie niezależnym”.

Andrzej Friszke*

W „Encyklopedii powszechnej” Orgelbranda z 1867 r. czytamy, że w dawnym języku polskim słowo „ukraina” oznacza ziemię leżącą na kresach, na pograniczu państwa. Ukrainą nazwano w XVII i XVIII wieku kraj położony nad Dnieprem.

W wieku XIX kulturę i tradycję dawnej Rusi odkryli poeci romantycy, zwłaszcza Taras Szewczenko. Zgodnie z przekonaniem romantyzmu kultura ludu, jego język, obyczaje to geneza i treść narodów. Sięgnięto więc do tradycji Kozaków, podobnie jak Mickiewicz sięgał do podań dawnej Litwy.

Słowniki i gramatyki dawnej mowy tworzyli Czesi, Ukraińcy, Litwini, za tym poszły druki w narodowych językach i aspiracje polityczne do odrębności, własnej oświaty, kultury, tworzenia rodzimej elity narodowej. Pojęcie „Ukraińcy” zaczęto odnosić do ludu zamieszkującego te ziemie – nad Dnieprem, ale i w zaborze austriackim. Podczas Wiosny Ludów 1848 r. w Galicji po raz pierwszy powstały we Lwowie różne od polskich reprezentacje z żądaniami narodowej i językowej odrębności.

W ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku w autonomicznej Galicji rozwinęły działalność ukraińskie organizacje oświatowe. Tworzono sieć kooperatyw gospodarczych wspierających ukraińskich chłopów. Zwrócenie się do wsi było naturalne – z rolnictwa żyło 77 proc. ludności, przeważnie utrzymującej się z małych gospodarstw do 5 ha. Obok nich istniały folwarki polskiej szlachty zajmujące blisko 40 proc. ziemi tego regionu. Odrębność i konflikt językowy i narodowy nakładały się na ostre podziały klasowe.

Ukraińskie organizacje społeczne i ekonomiczne dawały podstawę do rozwoju ruchu politycznego, który miał swą reprezentację w sejmie Galicji. Wchodził on w spór z Polakami rządzącymi Galicją o prawa do ukraińskiej szkoły, języka, ziemi, ostatecznie o podział kraju na część polską i ukraińską.

Wschodniej Galicji, rozciągającej się od Sanu do Zbrucza, ludność ruska (ukraińska), zwykle wyznania greckokatolickiego, stanowiła 54 proc., Polacy 40 proc., Żydzi 6,6 proc. We Lwowie, stolicy Galicji, Polaków było 64 proc., Żydów 25 proc., Ukraińców 11 proc. Wsie, które otaczały Lwów, były jednak ruskie, w miasteczkach przeważali Żydzi, obok nich Polacy i Ukraińcy (Rusini).

Ukraińcy czy Rusini? Spór o nazwę tego ludu dzielił już wtedy. Polacy zwykle mó-

wili o Rusinach, jakby nie przyjmując do wiadomości, że kształtują się szybko w nowoczesny naród. Słowo „Rusini” miało ich utrzymywać na poziomie grupy regionalnej, wywoływało więc opór. Ukraińcy uważali się za naród, z własną przeszłością, kulturą i aspiracjami.

W Cesarstwie Rosyjskim, za Zbruczem, na Wołyniu, Podolu, nad Dnieprem, państwo nie dopuszczało do żadnych dążeń kolidujących z wizją jednej niepodzielnej Rosji, spojęnej prawosławiem i kultem cara, legendą Trzeciego Rzymu. Mowa ludu, ruska, była traktowana jako gwara, którą eliminuje rosyjska szkoła. Druki w języku ukraińskim były zakazane.

Samodzierżawie rosyjskie wykluczało istnienie wszelkich form samorządów, organizacji oświatowych nierosyjskich. Do rewolucji 1917 r. język ukraiński był tępiozny. Na Ukrainie naddnieprzańskej aparat państwa był rosyjski, ale elitę ekonomiczną tworzyli w wielkiej mierze Polacy – właściciele wielkich majątków rolnych i przetwórci, np. cukrowni. Od setek lat trwał podział klasowy na ruski lud roboczy oraz polską szlachtę, nadal bogatą i wpływową.

Dramatyczne dzieje konfliktów dwór – wieś opisał francuski historyk Daniel Beauvois, tłumacząc, dlaczego po rewolucji 1917 r. konflikt klasowy okazywał się silniejszy od podziałów narodowych i aspiracji państwowych.

Na Ukrainie naddnieprzańskej aparat państwa był rosyjski, ale elitę ekonomiczną tworzyli Polacy – właściciele wielkich majątków rolnych i przetwórci, np. cukrowni. Od setek lat trwał podział klasowy na ruski lud roboczy oraz polską szlachtę, nadal bogatą i wpływową

Wydanej w 1911 r. książce „Ukraina i sprawa ukraińska” socjalista i bliski współpracownik Piłsudskiego pisał: „W zaborze austriackim Rusini stanowią naród w całkowitym znaczeniu tego wyrazu, naród z dnia na dzień pomnażający swe zdobycze kulturalne, społeczne i polityczne, na Ukrainie rosyjskiej są oni w znacznym jeszcze stopniu materiałem etnograficznym. A jednak właśnie tu, na Ukrainie rosyjskiej, znajduje się środek ciężkości całej sprawy ukraińskiej”.

Autor tych słów, Leon Wasilewski, ocenił pesymistycznie, że w Galicji „walka polsko-ruska będzie się toczyła, bo jest ona nieunikniona tam, gdzie dwie narodowości – uprzywilejowana społecznie i politycznie i upośledzona – wspólnie jeden kraj zamieszkują”.

Wasilewski był jednym z przywódców PPS-u. Rozwijał koncepcję wspierania ruchów narodowych w Imperium Rosyjskim z nadzieją, że doprowadzą one do podziału Rosji i powstania na wschód od Polski państw narodowych – Litewsko-Białoruskiego i Ukraińskiego. W listopadzie 1918 r. zostanie ministrem spraw zagranicznych w pierwszym rządzie odrodzonej Polski.

Poglądy przeciwnie głosił Dmowski. Wzywał do obrony polskiego, narodowego

stanu posiadania, nieustępowania ruchowi ukraińskiemu, stanowczej walki o utrzymanie dominacji. Powinna się toczyć o panowanie na danym obszarze języka i kultury, bo narody sobie nie ustępują, ale walczą ze sobą o przewagę, wchłaniają żywioły słabsze.

Jesienią 1918 r., gdy już od roku istniało państwo ukraińskie nad Dnieprem, Dmowski jako przewodniczący Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu pisał w memoriale dla prezydenta Wilsona: „Państwo ukraińskie nie może pozostać istotnie niezależnym i musi podpaść nieuchronnie pod protektorat niemiecki”. Zarazem część zachodnia ukraińskich ziem, „gdzie żywioł polski jest liczniejszy”, winna „należeć do państwa polskiego, część zaś wschodnia powinna być zostać w posiadaniu rosyjskim”.

Pół roku później, gdy na ziemiach Ukrainy trwała wojna niepodległościowej armii Symona Petlury i bolszewików, a od południa nacierał biały generał Denikin, Dmowski na publicznym spotkaniu polsko-francuskim mówił: „Bolszewizm, ukrainizm były to spekulacje pangermanizmu w celu rozczłonkowania Rosji i utworzenia z niej pod swym protektoratem państwerek ruskiego, litewskiego i białoruskiego, otaczających małą Polskę, całkowicie sparaliżowaną przez wpływy niemieckie”.

Dmowski oczywiście był wrogiem bolszewizmu, ale spodziewał się, że w przy-

szewików ziemiach powstały załączki państwa litewskiego, a Ukraina miała okrzepnąć pod rządami popieranego przez Berlin atamana Skoropadskiego.

Jednak w listopadzie 1918 r. Niemcy wojnę przegrały, na Zachodzie musiały podpisać rozejm, a wśród jego warunków było opuszczenie przez niemieckie armie ziem ukraińskich i białoruskich. Wchodziła na nie Armia Czerwona z proklamacjami powstania radzieckich republik – Litewsko-Białoruskiej i Ukraińskiej. Na Ukrainie tymczasem rząd Skoropadskiego upadł, powstała Ukraińska Republika Ludowa, nad rozsypującą się armią przejął dowództwo Petlura. Musiał się zmagać z nacierającymi bolszewikami, z próbującym wskrzesić białą niepodzielną Rosję Denikinem, a na zachodzie ścierał się z Wojskiem Polskim.

Polska odrodziła się w listopadzie 1918 r. Powstanie jej rządu, początek budowania armii następowały, gdy trwała już walka o Lwów, rozpoczęła 1 listopada. Miasto przejęli tego dnia Ukraińcy galicyjscy, korzystając z chaosu, jaki nastąpił w czasie rozpadu Austro-Węgier. Proklamowali Zachodnio-Ukraińską Republikę Ludową, jako jej siła zbrojna wystąpili Ukraińscy Strzelcy Siczowi, wojsko ochotnicze.

Walka o Lwów trwała 21 dni. Jej wynik przesądził 21 listopada oddział Wojska Polskiego, który przybył z Przemyśla. Polacy zdobyli Lwów, ale armia ukraińska była twardym przeciwnikiem, wojna w Galicji trwała do lipca 1919 r., kiedy oddziały polskie dotarły do Zbrucza, wypierając wojsko ukraińskie na terytorium Ukrainy Petlury.

Wojna trwale dzieliła Polaków i Ukraińców. Po obu stronach tworzyła pamięć walki, ofiar, negatywnego obrazu przeciwnika. Po polskiej stronie silne było uczucie triumfu, ale i pogarda dla „buntowników”.

Pokonani Ukraińcy oceniali, że znajdują się pod polską okupacją, i liczyli na interwencję mocarstw Zachodu. Prezydent ŻURŁ i inni czołowi politycy udali się za granicę i tam tworzyli władze emigracyjne, zabiegając w Paryżu o nieuznanie polskiej suwerenności nad Galicją Wschodnią. Dla Ukraińców z Galicji wrogiem numer jeden była Polska, dla Ukraińców z Kijowa – Rosja.

Walki w Galicji jeszcze trwały, gdy polska klasa polityczna utrzymywała się w podziałach, także w sprawie Ukrainy. Narodowcy oczekiwali rozstrzygnięcia zbrojnych i nie chcieli odstąpić od zasady polskiej suwerenności nad Galicją Wschodnią. Podzielały to stanowisko partie centrum i większość lwowian. Szans na wykreowanie bardziej kompromisowej polityki właściwie nie było.

Aczej jako sondaż, apel o myślenie polityczne należy zauważyć stanowisko pisma „Rząd i Wojsko” wydawanego przez ludzi z otoczenia Piłsudskiego. „Musimy dążyć do tego, aby pod opieką Polski z części dawnej Galicji Wschodniej, Podola i Wołynia powstał zaczątek państwa ukraińskiego” – pisano w numerze z 25 maja 1919 r.

W tym samym numerze Adam Skwarczyński wyrażał myśl zasadniczą: „Rosja jest naturalnym naszym przeciwnikiem, który zamknięty być winien w ści-



• **Dziesiętnik Ukraińskich
Strzelców Siczowych** FOT. NAC

śle rosyjskich granicach, odcięty od wpływu na kształtowanie się nowego porządku w Europie”. Polska musi „stać się ośrodkiem krystalizacyjnym wolnych sfederowanych narodów, rządzących się zbiorową wolą, nie dyktaturą” – inaczej stanie się tworem słabym, „miotanym sprzecznymi tendencjami wielkich antagonizmów europejskich”.

Słowa wydanego przez Piłsudskiego w kwietniu 1919 r. manifestu do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego winny się odnosić i do Ukrainy. Skwarczyński przestrzegał przed szukaniem zemsty na Ukraińcach z Galicji, a wspominając doznającą ciosów od Denikina i bolszewików Ukrainę naddnieprzańską, zaznaczał: „Rolą Polski jest dać im oparcie i pomóc im do rozpoczęcia akcji na nowo”.

Z takiego myślenia obozu Piłsudskiego wynikły decyzje o zawieszeniu broni z armią Petlury, a następnie podjęcie negocjacji, które ostatecznie zakończy podpisanie układu o współdziałaniu w kwietniu 1920 r. i zaraz potem wyprawa na Kijów.

Ofensywa podjęta na Ukrainie przez Wojsko Polskie i współdziałające parotysięczne zgrupowanie Petlury doprowadziła 7 maja do zajęcia Kijowa. Władzę w stolicy Ukrainy zamierzano przekazać Ukraińcom, liczone na szybki rozwój wojsk Petlury. Cios tym planom zadała ofensywa Armii Czerwonej, która zmusiła do odwrotu, a po dwóch miesiącach bolszewicy znaleźli się pod Warszawą.

Zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej uratowało kraj, bolszewicy zostali odepchnięci na wschód, ale kontynuowanie wyczerpującej wojny przekraczało polskie możliwości. Polska przestała grać kartą ukraińską, Petlura i jego żołnierze zostali internowani. Ostatecznie w traktacie ryskim w marcu 1921 r. wytyczono granicę między Polską a Rosją sowiecką, która podzieliła ziemie zamieszkane przez Ukraińców i Białorusinów.

Po ustaleniu granic w Ukraińskiej Republice Rad mieszkało 23 mln ludzi, w Rzeczypospolitej Polskiej 4,5-5 mln Ukraińców (15 proc. obywateli). Stanowiło to poważny problem. Znaleźli się w Polsce nie z własnej woli. Od Polaków dzieliły ich język i kultura, religia (grekokatolicka w Galicji i prawosławna w dawnym zaborze rosyjskim) i struktura klasowo-warstwowa (ogromna większość Ukraińców to ludność wiejska – chłopci i robotnicy rolni).

Ukraińcy Galicji żyli z pamięcią niedawnej państwowości zniszczonej przez Polskę, odmawiali zgody na „polską okupację”, marzyli o odrodzeniu własnego państwa przez twardy bojkot polskiej państwowości i nie wykluczali perspektywy powstania narodowego, szukali sojuszników na Zachodzie zainteresowanych rewizją powojennego ładu (zwłaszcza Niemcy). Zaostrzało się napięcie między mieszkającymi w Galicji Ukraińcami a Polakami tworzącymi ponadmilionową społeczność.

Na Wołyniu Ukraińców było 1,5 mln, blisko 70 proc., Polaków ok. 10 proc., większość ludności miast stanowili Żydzi. Ludność ukraińską od Polaków dzieliła bariera religii, języka i statusu społecznego. Dominowało pragnienie uzyskania przez chłopów ziemi, silnie oddziaływał mit sowieckiej Ukrainy, gdzie ziemię dworską chłopci przejęli.

Państwo polskie było wobec tych problemów bezradne. Lewica nieśmiało proponowała autonomię dla Galicji Wschodniej, do czego Polska zobowiązała się wobec mocarstw Zachodu. Polacy jednak jej dać nie chcieli, obawiając się, że szybko doprowadziłoby to do oderwania kraju ze Lwowem od państwa polskiego. Ukraińcy nie ukrywali, że autonomia to za mało.

W atmosferze wrogości Ukraińcy Galicji bojkutowali w 1922 r. wybory do polskiego parlamentu, Polacy zaś nie chcieli stworzenia samorządu terytorialnego w obawie, że stanie się drogą do secesji kraju. Nie dopuszczono do zalegalizowania obieca-

nego Uniwersytetu Ukraińskiego. Ukraińcy stworzyli więc uniwersytet w Pradze czeskiej. Stanie się on jednym z ośrodków rozwoju ruchu radykalnego i terrorystycznego – Ukraińskiej Organizacji Wojskowej. UWO dokona m.in. nieudanych zamachów na Piłsudskiego i prezydenta Wojciechowskiego.

Legalne stronnictwa ukraińskie – partia narodowo-ludowa, radykalna i socjaldemokratyczna – opowiadały się za legalnymi metodami oporu i sprzeciwu, ale zwalczały myśl o kapitulacji.

Bolszewicy na Ukrainie sowieckiej przez kilka lat rozwijali wizję tworzenia ukraińskiego państwa ludowego, służącego robotnikom i chłopom, dającego wolność od „panów”. Wiara, że sowiecka Ukraina stanie się podstawą uformowania samodzielnego państwa ukraińskiego, oddziaływała także na polityków i intelektualistów dalekich od komunizmu.

Nadzieje związane z sowiecką Ukrainą zaczęły się załamywać w 1927 r., gdy Moskwa potępiła ukraińską ugrupowanie z ministrem oświaty Ołeksandrem Szumskim, jego samego i bliskich mu ludzi wyeliminowała z władz partii ukraińskiej i z administracji, a w 1930 r. przystąpiła do eksterminacji elit, a zarazem do kolektywizacji wsi, co skutkowało Wielkim Głodem i śmiercią 2-3 mln Ukraińców.

Dla Ukraińców obywateli polskich pozostawała tylko droga ugody z państwem polskim, której próbowała Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna (istniejąca w Sejmie od 1928 r.). Uгода jednak była w zasadzie nieosiągalna. Ukraińcy chcieli minimum praw, a w perspektywie samorządu i autonomii. Polska nie chciała ich dać, chciała jednolitości i spójności państwa oraz uprzywilejowania języka polskiego.

Obok popieranych przez Kościół grekokatolicki i metropolitę Andrzeja Szeptyckiego umiarkowanych polityków średniej i starszej generacji wpływ na radykalną młodzież zyskiwała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, utworzona w 1929 r. przez plk. Jewhena Konowalca. W młodości działacz ukraińskiego ruchu studenckiego we Lwowie, stał się sławnym oficerem ukraińskiej armii z okresu 1918-20, dowódcą Strzelców Siczowych walczących z bolszewikami, był samodzielny i niepokorny wobec politycznych autorytetów. W 1920 r. stworzył UWO, a w 1929 r. właśnie OUN.

Propagowanie twardego oporu i sięgania do aktów terroru wobec „okupantów” polskiego i sowieckiego łączył z perspektywą powstania zbrojnego, a zarazem szukał poparcia w Berlinie, który był zainteresowany osłabieniem Polski.

Po 1930 r. wśród krajowych działaczy OUN rozwinął się nurt jeszcze radykalniejszy, którego liderem był Stepan Bandera.

W 1989 r. miałem okazję rozmawiać z Wołodymyrem Janiwem, w latach 1932-34 członkiem kierownictwa krajowego OUN Bandery, i pytałem o horyzont ideowy tego kręgu. Mówił, że czytali radykalnych ideologów ukraińskich, interesowała ich też rewolucja irlandzka i faszyzm włoski. Pewien wpływ wywierała na nich polska literatura romantyczna. W czasie uwięzienia w Berezie Kartuskiej w 1934 r. Janiw czytał Piłsudskiego i „odkrywał go”, adaptując do dotychczasowego światopoglądu opowieść o działaniach bojowych, np. napadzie na pociąg w Bezdanych.

Dążeniem grupy banderowskiej było poruszenie mas, mobilizacja narodu, pokazanie własnej siły. Stąd terroryzm. Dopuszczalność zbrodni uzasadniali moralnie hasłem: „Gwałt niech się gwałtem odzyska”. Rok 1933 w ZSRR, Wielki Głód, nie zmienił stosunku do Polski. Mieli obawy, że w ślad za zamachami władze polskie uderzą w odwecie w ukraiński ruch organiczny – czytelnie ludowe, szkolnictwo prywatne, spółdzielczość. Ale zwyciężała zasada „im gorzej, tym lepiej”, bo szybciej dojdzie do rewolucji.

Grupa banderowska chciała narzucić przywództwo całemu narodowi drogą re-

wolucji narodowej i zmiecenia ze sceny politycznej ugrupowań „starych”, „ugodowych”, „kunktatorskich”. Tyle Janiw.

Radykałowie dokonywali więc zamachów – w 1931 r. zabili znanego polityka, rzecznika ugody polsko-ukraińskiej Tadeusza Hołówkę. Janiw oceniał, że mogła to być samodzielna akcja „dołów” organizacji (Hołówko został zastrzelony, gdy przebywał w sanatorium). W 1934 r. w centrum Warszawy zastrzelili szefa MSW Bronisława Pierackiego. Wówczas rząd utworzył obóz koncentracyjny w Berezie i zamknął w nim radykałów podejrzewanych o działania skrajne i terrorystyczne; w pierwszym „rzucie” trafili tam organizatorzy polskiego Obozu Narodowo-Radykalnego i Ukraińcy z OUN. Później organizatorów zamachu z grupy Bandery sądzono. Główni oskarżeni, w tym Bandera, dostali dożywocie.

Władzom bezpieczeństwa udało się zahamować rozwój terrorystycznych akcji OUN, ale jej działalność trwała, silnie oddziaływała na młodzież. Do zdecydowanej aktywności „banderowcy” przystępują w czasie II wojny światowej, pisząc dramatyczną i krwawą historię, uderzając zamachami także w umiarkowanych przywódców z otoczenia Konowalca. On sam zostanie w 1938 r. w Rotterdamie rozerwany przez bombę w zamachu zorganizowanym przez NKWD.

Leon Wasilewski, piłsudczyk, 1911: walka polsko-ukraińska będzie się toczyła, bo „jest nieunikniona tam, gdzie dwie narodowości – uprzywilejowana społecznie i politycznie i upośledzona – wspólnie jeden kraj zamieszkują”

25 maja 1926 r. z rąk zamachowca inspirowanego przez sowieckie GPU zginie w Paryżu Symon Petlura. Zamach był najpewniej reakcją na przewrót majowy Piłsudskiego. W notatce dla kierownictwa partii bolszewickiej Feliks Dzierżyński pisał: przewrót Piłsudskiego „jest wyrazem nacjonalistycznych sił w Polsce skierowanych przeciwko »Rosji«. Obiektami przejęcia przez Polaków będą Białoruś i Ukraina”.

W Moskwie widziano groźbę odnowienia stosunków Piłsudski – Petlura. Należy z tym przekonaniem wiązać okoliczności zamachu na Petlurę, ale też przystąpienie do walki z „ukrainizacją” sowieckiej Ukrainy i wzmoczonej akcji GPU wobec ukraińskich autonomistów, a także wobec Polaków mieszkających w ZSRR. Obawa przed polskim wywiadem i jego zdolnościami penetracji w ZSRR była istotnym elementem określającym politykę Stalina wobec Białorusinów, Ukraińców i polskich komunistów.

Nie były to obawy realne. Polityka polska nie była w stanie podjąć realnej gry z Moskwą przy użyciu kwestii ukraińskiej, tym bardziej białoruskiej.

Wkrótce po zawarciu traktatu ryskiego Stanisław Grabski, przed 1914 r. lider endecji w Galicji, „zasłużony” w walce z „ukraińskimi rozczepieniami”, od 1919 r. prezes Związku Ludowo-Narodowego (endecji), pisał: „Warunkiem niezbędnym utrzymania posiadanych granic jest przeobrażenie państwowego terytorium Rzpłitej w narodowe terytorium polskie. (...) Wołyń, Polesie, ziemia nowogrodzka – to terytorium narodowo nieokreślone”. Trzeba dążyć do tego, by stały się to ziemie narodowo polskie.

Trudniej będzie w Galicji, „z chwilą jednak, gdy chłopci rusińscy zrozumieją, że władza Polski nad Wschodnią Małopolską jest trwale ustalona, staną się w ogromnej większości równie lojalnymi wobec Warszawy, jak lojalnymi byli wobec Wiednia”. Grabski opowiadał się przeciw dopuszczaniu mniejszości do decydowania choćby w skali gminy.

Grabski kierował głównym ugrupowaniem prawicy, miał wielki wpływ na politykę wobec mniejszości narodowych, m.in. jako minister oświaty. Przyjęte wówczas ustalenia powodowały zmniejszanie się liczby szkół ukraińskich i białoruskich, wzrost liczby polskich i dwujęzycznych.

Polski Episkopat zajmował stanowisko podobne do wyrażonego przez Grabskiego, a lwowski arcybiskup Józef Teodorowicz należał do zdecydowanych przeciwników Ukraińców. Grekokatolicki metropolita abp Andrzej Szeptycki był izolowany i traktowany jako obcy, nie miało znaczenia, że był wnukiem Aleksandra Fredry.

Podobnie jak Grabski myśleli liczni ludzie prawicy, także urzędnicy administracji i szkolnictwa. Oczekiwali podporządkowania, zmęczenia przeciwnika, wymuszenia uległości. Taki ton dominował w polityce polskiej i działaniach władz lokalnych do maja 1926 r.

A po przewrocie majowym? Pamiętano piłsudczykom ich wypowiedzi z pierwszych lat po 1918 r. o potrzebie szukania kompromisów. Piłsudski jednak, kiedy zdołał władzę, nie zamierzał próbować eksperymentów, antagonizować Polaków na Kresach, drażnić dodatkowo prawicę. Zdecydował się na politykę kontynuacji z wielkimi ustępstwami wobec praw mniejszości.

W 1930 r. Polska przeprowadziła akcję pacyfikacyjną w galicyjskich wsiach wymierzoną w chłopów. Była to odpowiedź na akcję antypolską OUN polegającą na dywersji, przecinaniu linii telefonicznych i podpalaniu składów zboża. Pacyfikacja uderzała ślepo w zwykłych ludzi, wywoływała upokorzenie, złość.

A przecież wśród piłsudczyków byli nadal ludzie rozumiejący, że nie da się budować stabilnej państwowości w konfrontacji z kilkoma milionami tworzącymi mniejszości narodowe. Rady i propozycje Hołówki nie były wysłuchiwane, ciekawe materiały analityczne Instytutu Badań Spraw Narodowościowych w nikłym stopniu wpływały na decydentów. Roczniki pisma „Sprawy Narodowościowe” pozostały w bibliotekach jako świadectwo wnikliwych analiz.

Piłsudski rozumiał jednak, że sprawa Ukrainy może być ważnym polem rywalizacji i konfliktu z Rosją. Z tego przekonania wynikało powierzenie Henrykowi Józewskiemu [jako wojewodzie wołyńskiemu] eksperymentu na Wołyniu. Polak z Kijowa, piłsudczyk, minister w rządzie Petlury, był człowiekiem zaufania Piłsudskiego, co dawało mu dużą samodzielność. Zmierzał do stworzenia na Wołyniu Piemontu ukraińskiego, propolskiego, zarazem odciętego od wpływu nacjonalistów z Galicji.

Polacy zachowywali dominację w administracji, ale na niższe szczeble dopuszczono Ukraińców. Miały się rozwinąć ukraińskie szkoły, prasa, język ukraiński miał wejść szeroką falą do nadal posługującej się rosyjskim Cerkwi prawosławnej. W dwudziestoleciu polityka Józewskiego była czymś szczególnym.

W Warszawie od 1932 r. wydawano miesięcznik „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, gdzie prócz aktualnych spraw omawiano historię ukraińskiego ruchu narodowego, dzieje wojen 1917-20, pokazywano ukraińskich twórców kultury. Pismo, kierowane do Polaków i Ukraińców znających język polski, ukazywało Ukrainę nad Dnieprem, jej dzieje i kulturę, raczej omijało problemy Galicji i konfliktów trwających na tej ziemi.

„Biuletyn” związany był ze sferami polskiego wywiadu, gdzie czynna była grupa tzw. prometeistów. Byli to oficerowie, piłsudczycy, przekonani, że Polskę czeka wojna z Rosją, należy więc wspierać, także finansowo, antykomunistyczne wychodźstwo mniejszości narodowych z Rosji. Utrzymywano np. kontakty z emigracyjnym rządem URL, dotowano pisma, a w kraju zabiegano o utrzymanie na etatach 49 ukraińskich oficerów kontraktowych pochodzących z armii Petlury.

„Prometeiści”, współpracujący m.in. z Wasilewskim, Hołówką, Józewskim, ale też tak miarodajnymi piłsudczykami jak Walery Sławek, nie reklamowali głośno swoich działań, ale wspierali analizy i działania publicystyczne, jak wspomniany „Biuletyn”.

Z tym kręgiem inspiracji i inicjatyw wiąże się też pisma wydawane przez Jerzego Giedroycia – „Bunt Młodych” i „Politykę” – w których zrozumienie wagi kwestii ukraińskiej było dostrzegane.

W obozie rządzącym dominowało jednak myślenie w kategoriach bieżącej walki politycznej i doraźnych korzyści. Na pierwszy plan wysuwały się zmagania polityczne najpierw z Centrolewem, potem z rosnącą w siłę prawicą nacjonalistyczną. Polacy na Wołyniu – w większości pracownicy administracji, policji, kolejarze, nauczyciele oraz osadnicy wojskowi – często z niezrozumieniem i niechęcią przyjmowali pro-ukraińską politykę Józewskiego.

Po śmierci Piłsudskiego (1935) dążeniem jego następców było poszerzenie zaplecza obozu rządzącego, próbowali przyciągać narodowców. Uгода z politykami Galicji zawarta w 1935 r. pozostała w dużej mierze na papierze, a samodzielność Józewskiego i jego proukraińskość budziły złość.

W MSW wpływy uzyskiwała grupa oficerów myślących podobnie, jak kiedyś wykladał Grabski: należy zwiększyć polski stan posiadania, rozbić ruch ukraiński, który może być tylko antypolską irredentą. Rozwinięto ruch szlachty zagrodowej o antyukraińskim ostrzu, podkreślano odrębność narodową Łemków i Bojków, w ukraińskiej Cerkwi widziano zagrożenie.

W 1938 r. przeprowadzono niesłychaną akcję na Chełmszczyźnie, burząc 91 cerkwi i 26 domów modlitwy, wszystko pod hasłem usuwania ukraińskości z tego terenu. Wojsko podjęło także próbę przymusowego nawracania na katolicyzm na Wołyniu, symbolem stała się wieś Hrynki. Nie mogąc skutecznie przeciwstawić się tym antyukraińskim działaniom, Józewski podał się do dymisji. ●



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

*prof. Andrzej Friszke

● ur. w 1956 r., historyk, autor ponad 20 książek o najnowszej historii Polski. Ostatnia ukazała się książka „Zawód: historyk”, rozmowa z nim Jana Olszka i Tomasza Siewierskiego.

Wykład, który publikujemy, wygłosił 20 grudnia 2022 r. na Uniwersytecie Warszawskim w ramach cyklu „8 wykładów na nowe tysiąclecie”. Tytuł, śródtytuły i skróty – „Wyborcza”

Cały tekst: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Giedroyc: Niepodległa Ukraina i jej uczestnictwo w europejskim związku federacyjnym to dla Polski sprawa pierwszorzędnej znaczenia

Cz. II eseju prof. Friszkego za tydzień

BORN IN THE USA

Statua Wolności zmieniła zdanie

Kolumbia przyjęła więcej ludzi niż USA i nic się nie stało. W wielu miastach Ameryki jest więcej pracy niż chętnych. To dlaczego Biden fotografuje się przy murze Trumpa?

Maciej Jarkowicz

Latem 2021 r. wiceprezydentka Kamala Harris pojechała w pierwszą podróż zagraniczną – do Gwatemali. Tematem rozmów była imigracja. Dziesiątki tysięcy Gwatemalczyków wyruszały na niebezpieczny szlak, aby dostać się do USA. Harris powiedziała w przemówieniu transmitowanym przez telewizję: „Chcę, żeby to było jasne dla ludzi z tego regionu, którzy z narażeniem życia zmierzają do naszej granicy – nie przyjeżdżajcie. Nie przyjeżdżajcie”.

Nie posłuchali. Rok później, w czerwcu 2022 r., w przyczepie ciężarówki przy bocznej drodze niedaleko San Antonio znaleziono 53 martwych migrantów. Było pośród nich 20 Gwatemalczyków, pozostali pochodzili z Meksyku, Salwadoru i Hondurasu. Zginęli w mękach, gdy zepsuła się klimatyzacja w stalowej przyczepie. Temperatura w Teksasie przekraczała 40 stopni. Gdy policja otworzyła kontener, znalazła ciała, również dzieci, jedno na drugim przy jedynej szczelinie, z której dochodziło powietrze.

Administracja ogłosiła właśnie nowy pakiet restrykcji antyimigracyjnych. Korzysta z przepisu kodeksu federalnego pozwalającego wydalić z kraju każdego przybysza, który może roznosić chorobę zakaźną. Sztuczkę tę w pandemii wymyślił Trump. Teraz Biden z jej użyciem upraszcza procedury deportacji i automatycznej odmowy azylu. Prawo do azylu, a ściślej – do złożenia wniosku – straci nie tylko każdy, kto próbował dostać się do USA nielegalnie, ale również wszyscy, którzy w drodze do Stanów nie złożyli wniosków azylowych w krajach tranzytowych. Przy okazji Biden powiedział: „Jeśli próbujesz uciec z Kuby, Nikaragui albo Haiti, nie zjawiaj się na naszej granicy”.

Działania administracji mają powstrzymać rekordową falę migracyjną. Tylko w listopadzie służby graniczne odnotowały ponad 200 tys. prób przedostania się ludzi z Meksyku do USA poza przejściami granicznymi. W całym roku 2022 takich zdarzeń było 2,76 mln – o milion więcej niż rok wcześniej. To największy napływ ludności do Stanów od ponad dwóch dekad. Sytuacja wydaje się na tyle poważna, że w styczniu Biden pojechał do granicznego El Paso w Teksasie i z ochotą dawał się fotografować na tle wysokiego muru, symbolu władzy jego poprzednika (choć akurat ten kawałek zaporę powstał przed Trumpem).

Czy rzeczywiście tak zwany kryzys graniczny stanowi zagrożenie dla Ameryki?

Po pierwsze: dane wyolbrzymiają skalę zjawiska. Tysiące przybyszów z Południa dokonują kilkunastu albo kilkudziesięciu prób przejść z Meksyku do USA. Za każdym razem odnotowywani są na nowo.

Po drugie: Ameryka w skali świata, a nawet regionu, nie jest prymusem, jeśli chodzi o przyjmowanie uchodźców. W 2021 r. liczba wniosków azylowych w przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców w Kolumbii wynosiła 297, w Peru 161, w USA 39. W latach 2018–21 napływ azylantów do Kolumbii wzrósł

o 914 proc., w Kostaryce o 368 proc., w Peru o 133 proc., a w USA o 81 proc.

Od 2015 r. Kolumbia przyjęła 5,5 mln uchodźców z Wenezueli. Niezamożny kraj, przez dekady degradowany wojną domową był zdolny szybko zbudować infrastrukturę dla przybyszów. Wenezuelczykom otwarto ścieżki wejścia w rynek pracy, system ochrony socjalnej, edukacji. Podobnie zachowała się Polska w obliczu uciekinierów z Ukrainy. Potężne fale uchodźcze przyjmowały w ostatnich latach Liban, Jordania, Turcja czy Grecja.

USA mają nieporównywalnie silniejszą gospodarkę od tych krajów. Mają też miejsce na nowych ludzi. Wskaźnik gęstości zaludnienia jest jednym z najniższych na świecie – wynosi 37 osób na km kw. (w Polsce to 124 osoby).

Mitem jest zarówno to, że dobre dla kraju jest tworzenie programów imigracyjnych wyłącznie dla wykształconych osób, jak i to, że przybysze zabierają pracę miejscowym. W niektórych miastach USA wakatów jest trzy razy więcej niż ludzi szukających zatrudnienia. W skali kraju w branżach budowlanej, handlowej i usługowo-gastronomicznej brakuje łącznie miliona pracowników. Pracę podejmują w nich najczęściej młodzi ludzie bez wyższego wykształcenia. Dokładnie tacy, jacy – w większości – uciekają do Ameryki z krajów Południa nękanych przemocą i biedą. Rząd, choćby na wzór Kolumbii, mógłby stworzyć dla nich system osiedlania się. Programy imigracyjne otwierałyby legalny dostęp do kraju dla setek tysięcy ludzi, kierowały na szkolenia, do branż i regionów, w których nowe osadnictwo jest najbardziej potrzebne. Pomagałyby w zapewnieniu dachu nad głową i opieki zdrowotnej, w nauce języka. Rozładowałyby napięcie na granicy, zmniejszyły liczbę nielegalnych przejść, pomogło gospodarce, dało kopa amerykańskiej soft power.

Dlaczego tak się nie dzieje? Dochodziśmy do sedna: ponieważ od ponad 30 lat mimo wielokrotnych prób Kongres nie jest zdolny przyjąć nowej ustawy imigracyjnej. Każdą debatę zatapiają demagogi i populisci przy użyciu starej, dobrej nienawiści do obcych. Wizja ich inwazji jest najlepszym orężem. Tak jak była nim w Polsce, kiedy do Unii napływali uchodźcy z Syrii, i jak jest dziś, kiedy rozgrywa się tragedia na granicy z Białorusią.

Bez pomocy Kongresu prezydent działa po jedynkę, za pomocą dekrétów. Biden zakończył haniebne rozdzielanie rodzin migrantów. Otworzył nowy program dla przybyszów z Kuby, Nikaragui, Haiti i Wenezueli. Każdego miesiąc 30 tys. ludzi z tych krajów dostanie wizę humanitarną pozwalającą przez dwa lata żyć i pracować w USA – krok w dobrym kierunku, choć niewielki w stosunku do skali wyzwania, jakim jest globalna migracja ludności.

Jednocześnie administracja coraz bardziej zdecydowanie przepycha uchodźców poza swoją granicę.

„Dajcie mi tylko swoich biednych tłumy całe. Obejmę ich gościnnie moimi ramionami” – napisano we wnętrzu Statuy Wolności witającej przybyszów w nowojorskim porcie. Dziś Ojczyzna Wolności śle inne wołanie: „Nie przyjeżdżajcie. Nie przyjeżdżajcie”.

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowicz płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalny-sklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl



Niezawodny rzutnik granatów

Jeśli Czarnek sam by się nie znalazł, to Kaczyński musiałby poszukać innego.

Dominika Wielowieyska

Prosta zasada znów znajduje potwierdzenie: im więcej bogojczyźnianych frazesów, tym większa bezczelność w uwłaszczaniu się na państwowym majątku. Za aferą „Willa plus” nie stoi sam minister edukacji Przemysław Czarnek, lecz cały PiS. Partia rządząca prowadzi świadomą politykę przejmowania majątku państwowego, aby zabezpieczyć finansowo swoich na czas w opozycji.

Główny ciężar tej operacji wziął na siebie Czarnek, bo Kaczyński wie, że będzie szedł w zaparte i „Willę plus” zrealizuje bez zażenowania. We wtorek minister ogłosił, że fundacje chcą podpisać aneksy do umowy i będą mogły sprzedać swoje wille nie za pięć, ale za 15 lat. Które? Nie wiadomo. Widać, że PiS się przestraszył, więc koryguje plan. To jednak niewiele zmienia, z najmu też można dobrze żyć.

Czarnek sprawdza się w załatwianiu spraw na rympał, ale są ważniejsze powody, dla których staje się pierwszoplanową twarzą PiS. Warto przypomnieć jego dokonania i poglądy. W 2002 r. bezskutecznie startował do Rady Miasta Lublina z poparciem Ligi Polskich Rodzin. LPR prowadziło kampanię przeciwko wejściu Polski do Unii. Potem postawił na PiS i przez cztery lata był wojewodą lubelskim. Ale o zarządzaniu województwem wiemy niewiele, wojewoda był natomiast znany z radykalnych i obraźliwych wypowiedzi pod adresem różnych grup społecznych, które powinny go wykluczyć z polityki. W nagraniu na swoim kanale na YouTube mówił, że Marsz Równości służy promocji „zboczeń, dewiacji i wynaturzeń”. W TVP Info apelował: „Brońmy rodziny przed tego rodzaju zepsuciem, deprawacją. Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym”.

Czarnek był też znany z wystąpień antyukraińskich. W Sahryniu odbyły się uroczystości upamiętniające ofiary akcji prewencyjno-odwetowej AK i Batalionów Chłopskich dokonanej w marcu 1944 r. Wojewoda ogłosił, że mogło tam dojść do znieważenia narodu polskiego, które należy karać na podstawie nowelizacji ustawy o IPN. Następnie doniósł na prezesa ukraińskiej organizacji do prokuratury.

Działalność wojewody bardzo się spodobała Kaczyńskiemu. Przed wojną w Ukrainie rząd PiS stosunki z naszym sąsiadem traktował po macosze. Wagę do nich przywiązywał Lech Kaczyński, Jarosław miał inne zdanie. Kaczyńskiemu spodobała się też homofobia Czarnka.

Za swoje zasługi wojewoda w 2019 r. dostał dobre miejsce na liście i został posłem, a rok później objął resort edukacji. Właśnie taka postać była potrzebna prezesowi PiS, bo wypowiedzi nowej partyjnej gwiazdy podgrzewały wojnę religijną i kulturową. A to z kolei – zdaniem prezesa – jest korzystne dla PiS. A przy okazji odciąga uwagę od zubożenia polskiej szkoły.

Kondycja edukacji ministra interesuje w ograniczonym zakresie. Dla niego priorytetem jest pogonienie „lewaków i komunistów”. Kaczyński wie, że oświata jest dobrym polem walki kulturowej, a im bardziej radykalne są pomysły Czarnka, tym lepiej, bo mobilizują tradycyjalistyczną Polskę.

Poza tym Czarnek stanowią antydotum na bunt Ziobry, lidera Solidarnej Polski, który usiłował się wyemancypować i zagarnąć pod skrzydła najbardziej radykalny elektorat prawicowy. PiS nie mógł Ziobrze oddać pola, potrzebny był ktoś taki jak Czarnek, równie antyunijny jak Solidarna Polska. Ktoś, kto jak Czarnek wyrzuca z gabinetu flagę unijną i oznajmia, że „tak niepraworządne tworzy Unia Europejska, tak niepraworządne działania jak Komisja Europejskiej nigdy nie widzieliśmy” – ale jest wierny. Ba, minister, stając się liderem frakcji nacjonalistyczno-radiomaryjnej w samym PiS, nie tylko zapobiega wzmocnieniu Solidarnej Polski, ale też blokuje odpływ wyborców do Konfederacji.

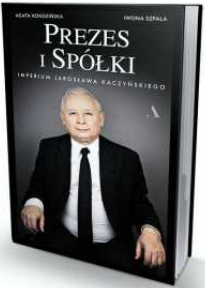
Czarnek dwukrotnie forsował zmianę ustawy oświatowej, która odbierała rodzicom prawo decydowania, jakie organizacje mogą w szkołach organizować spotkania z uczniami. Kompetencje w tej sprawie oddawał kuratorom powoływany przez ministra. Prezydent Duda dwukrotnie tę nowelizację zawetował, ale Czarnek zapowiedział kolejny projekt. Bo chodzi nie o to, by króliczka złapać, tylko by go gonić. Wojna ma być brutalna i ma zmusić jak największą liczbę wyborców, którzy stronią od radykalizmu, do jednoznacznego opowiedzenia się po stronie PiS. Czarnek wrzuca granat, prowokuje mocną ripostę drugiej strony, wpadamy wszyscy w emocjonalny korkociąg. W efekcie polityczne centrum jest spychane do defensywy, a konserwatywni umiarkowani wyborcy mówią: „Mamy wątpliwości co do PiS, no ale jak widzimy, co robi i mówi lewica, włosy nam stają dęba i jednak zostaniemy przy Kaczyńskim”.

Ten sam polityczny cel przyświecał pomysłowi na podręcznik Wojciecha Roszkowskiego do nowego przedmiotu historia i teraźniejszość. Czarnek był promotorem tej książki, mimo że nie spełnia standardów podręcznika, jest natomiast publicystycznym strumieniem świadomości, w którym są błędy faktograficzne oraz treści dyskryminujące wiele grup społecznych: lewicę, feministki, LGBT+, dzieci z in vitro, ateistów.

PiS się uwłaszcza w imię Boże, by walczyć z lewactwem. A kto wyprowadza pieniądze publicznych piętnuje, ten jest zdrajcą polskiego narodu katolickiego. Bo to wszystko dla dobra Polski.

Gdy we wtorek w Sejmie Przemysław Czarnek wołał do opozycji: „Kłamiecie, mierzycie nas swoją brudną, złodziejską miarą”, kamery pokazywały siedzącego w ławach rządowych zadowolonego Jarosława Kaczyńskiego. Widać, że minister edukacji spełnił i nadal spełnia oczekiwania prezesa, nawet z nadstatkiem.

Książka Agaty Kondzińskiej i Iwony Szpali „Prezes i Spółki. Imperium Jarosława Kaczyńskiego” dostępna w księgarniach, na Kulturalny-sklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl





W ieś Milan w stanie Ohio nie wyróżnia się absolutnie niczym szczególnym. Choć może to kogoś w niewielkim stopniu zainteresować, trudno jednak uznać za zajmujące to, że pierwotnie nazywała się Beatty, że powstała w miejscu dawnej misji protestanckiej Petquotting czy że ostatecznie mieszkańcy zdecydowali się na nazwę Milan, rzecz jasna za Mediolanem.

Ale Milan stał się sławny za sprawą wydarzenia z 11 lutego 1847 roku. Właśnie wtedy i właśnie tam przyszedł na świat Thomas Alva Edison, człowiek hurtowo wpadający na genialne rozwiązania i produkujący wynalazki.

W szkole, co jest tradycyjną przypadłością genialnych umysłów, nie mógł się za bardzo dogadać z nauczycielem. Ten próbował dość brutalnymi metodami wtłoczyć mu do głowy wiedzę, która go kompletnie nie interesowała. Wytrzymał w placówce raptem kilka miesięcy. Pisać, czytać i rachować nauczyła go matka, swego czasu szkolna nauczycielka. W edukacji pomagał mu też ojciec, a mnóstwo wiedzy przyswajał samodzielnie, gdyż dzieckiem był nader ciekawskim.

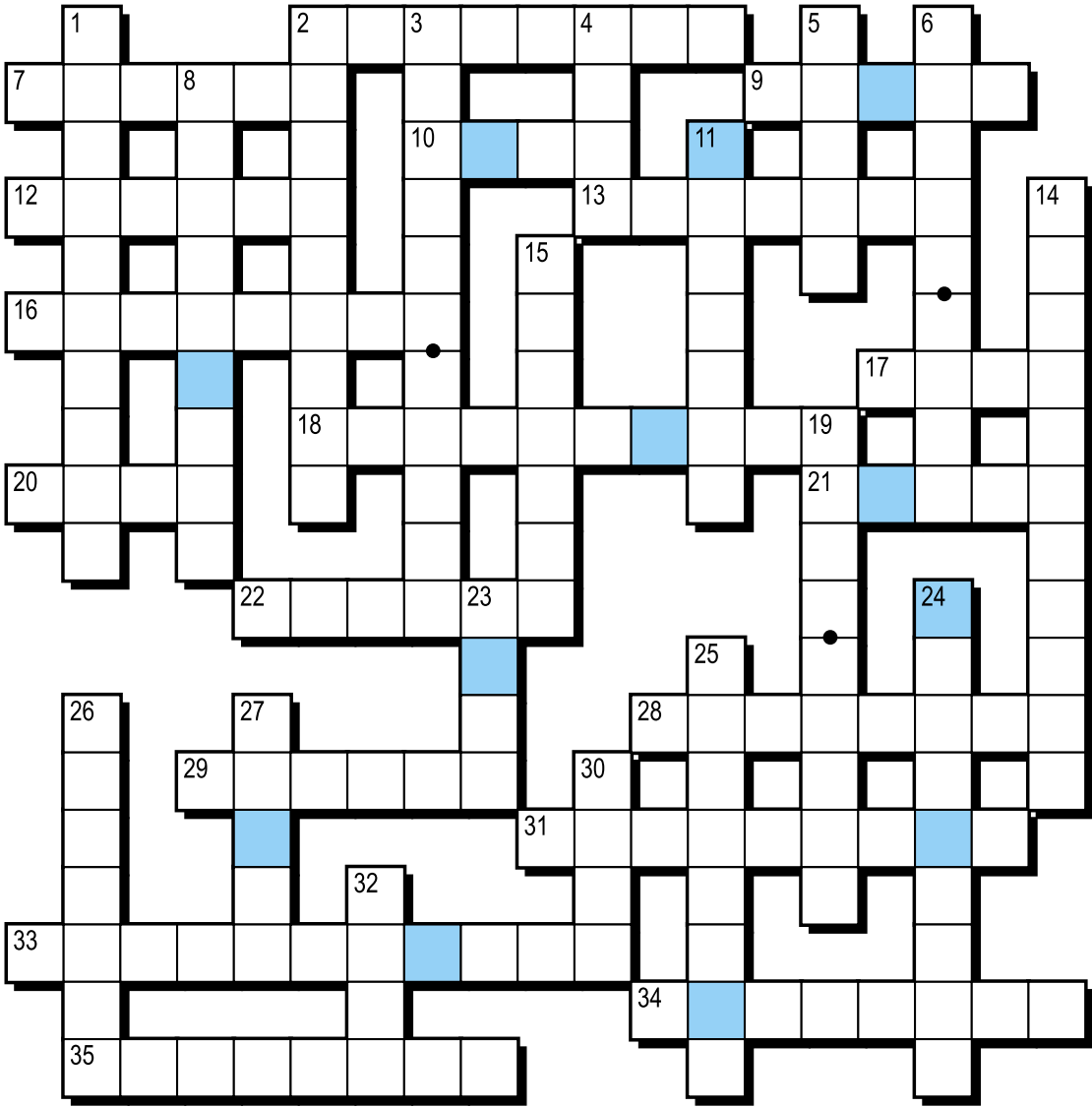
W wieku 22 lat pokazał w Kongresie USA urządzenie do automatycznego głosowania. Wystarczyło nacisnąć „tak” lub „nie”, a rezultat głosowania płynął specjalnym sygnałem do zliczającej głosy maszyny. Wynalazek nie znalazł uznania wśród polityków. Wtedy uznał, że kolejne jego wynalazki mają przynosić zysk, po prostu wpisał w pasję i odkrywaniu aspekt biznesowy.

Stąd tworzenie fabryk wynalazków, stąd zaciepła walka o patenty – pierwszy złożył w 1868 roku (łącznie w samych USA miał ich przeszło tysięcy), stąd miesięczne limity odkryć, które wyznaczał współpracownikom.

Nie wszystkie działania Edisona były etyczne, bardzo często zresztą nie tyle odkrywał coś nowego, ile udoskonalał urządzenie już istniejące i natychmiast chronił je patentem. Ale to jego nazwisko pierwsze przychodzi na myśl, kiedy pomyślimy o wynalazcach.

Dlatego dzień urodzin Thomasa Alvy Edisona Amerykanie obchodzą jako Dzień Wynalazców – w Europie świętowany jest 9 listopada, w dniu urodzin Hedy Lemarr, austriackiej wynalazczyni i... aktorki, która opracowała system transmisji fal radiowych. My oddamy hold genialnym umysłom dziś, a o pomoc w opracowaniu krzyżówki poprosiliśmy Piotra Cieślińskiego, szefa działu nauka „Gazety Wyborczej”, członka Rady Upowszechniania Nauki PAN i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Do dzieła, odkrywcy! ●



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 38 z 4.02:

Poziomo:

- 1) Network 7) memy 9) mowa
- 10) fake news 12) piosenka
- 13) tiktok 16) Facebook
- 17) Snapchat 19) Skype
- 20) komentarze 23) reklama
- 26) internauta 28) Elon 29) kciuk
- 32) filmik 35) holding 36) hashtag
- 37) influencer 38) Harvard

Pionowo:

- 2) emotikony 3) Whatsapp
- 4) smartfony 5) ekran 6) Twitter
- 8) Musk 10) fani 11) Nasza Klasa
- 14) relacja 15) dane 18) Meta 19) serwer
- 21) menu 22) nicki 24) LinkedIn
- 25) Messenger 27) Twitch 30) kursor
- 31) blog 32) fotka 33) ikony 34) forum

HASŁO: INSTAGRAM

WYNALAZKI

Hasła Piotra Cieślińskiego oznaczono inicjałami (PC). Litery w kolorowych polach czytane kolejno rzędami utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) John Montagu, hrabia ..., brytyjski arystokrata, któremu przypisuje się wynalezienie kanapki
- 7) bracia Orville i Wilbur, pionierzy lotnictwa
- 9) Alfred od dynamitu
- 10) wynalezione w Mezopotamii ok. 3500 lat p.n.e.
- 12) Isaac, odkrył prawo powszechnego ciążenia, zbudował pierwszy teleskop zwierciadlany

- 13) zawiera uran, moderator oraz chłodziwo. Pierwszy zaprojektował Enrico Fermi (PC)
- 16) zawód Józefa Hoffmana – wynalazcy m.in. spinacza biurowego
- 17) kromeczka chleba po zastosowaniu wynalazku Charlesa Strite’a
- 18) są na drugim miejscu – po Chińczykach – pod względem liczby składanych wniosków patentowych (PC)
- 20) pierwsza ofiara wynalazku Dedala (PC)
- 21) działa dzięki falom odkrytym przez niemieckiego fizyka Heinricha Hertza (PC)

- 22) imię postaci z określenia 33 poziomo
- 28) Luis Jacques, uważany za wynalazcę fotografii
- 29) chroni wynalazek
- 31) dziś już nie ma w nim kineskopu (PC)
- 33) nazwisko wynalazcy lampy naftowej
- 34) opatentował ją William Brockedon (szukaj w aptece)
- 35) inna nazwa sterowca, zapożyczona od niemieckiego konstruktora (PC)

Pionowo:

- 1) Stefan, inżynier, autor licznych wynalazków z dziedziny żegluga i lotnictwa

- 2) imię Ulama, matematyka nazywanego ojcem chrzestnym bomby wodrowej
- 3) największy konkurent Thomasa Edisona (PC)
- 4) ... Sikorsky, konstruktor śmigłowców
- 5) Alessandro, włoski naukowiec, zbudował pierwsze ogniwo galwaniczne
- 6) Amerykanin, pionier przemysłu samochodowego
- 8) Jan, zapisał się dużą czcionką w historii druku
- 11) Guglielmo, przesłał pierwszy sygnał radiowy przez Atlantyk (PC)
- 14) bracia ..., wynaleźli balon na ogrzane powietrze
- 15) ci wynalazcy to mają!

- 19) Węgier, którego sześciu podbił cały świat
- 23) Samuel kojarzony z rewolwerami
- 24) jeden z wynalazków Galileusza (nie rtęciowy)
- 25) Lewis, zaprojektował pierwsze pióro
- 26) ... Sendzimir, inżynier nazywany „Edisonem metalurgii”
- 27) ... Watt, skonstruował silnik parowy
- 30) Karl, wynalazca pierwszego samochodu
- 32) Alexander Graham, Szkot, wynalazca telefonu

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!